

Pod płonącą banderą

C. N. Parkinson



calibre 0.9.27

C. N. PARKINSON
Pod płonąca banderą
Z języka angielskiego przełożyła
Jadwiga Milnikiel
Książka i Wiedza Warszawa 1980

Tytuł oryginału:

THE FIRESHIP

© C. Northcote Parkinson 1975

Okładkę i strony tytułowe projektował Jerzy Rozwadowski

Weryfikacja terminów morskich

J. Jackowicz

Redaktor

Maryla Siwkowska

© Copyright for the Polish edition by

Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza

„Prasa-Książka-Ruch”

Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, Warszawa 1980

Redaktor techniczny

Kazimierz Kolasiński

Korektorzy H.

Leś-Cichal i H. Konarska

ROZDZIAŁ 1

Sprzymierzeniec

Fregata *Meduza*, odbywająca swój rejs powrotny z Morza Śródziemnego, tkwiła nieruchomo niemal w zasięgu widzenia Falmouth. Żagle jej łopotwały bezradnie i bezużytecznie pod mdłym i szarym niebem. Komandor Morris, człowiek, którego takie opóźnienie nie potrafiło załamać, natychmiast wydał rozkaz rozpoczęcia ćwiczeń żeglarskich, by zająć czymś załogę. Mieli opuścić fokstengę pozorując jej wymianę, a następnie wciągnąć ją na miejsce i otaklować na nowo. Każda wachta miała kolejno wykonać na czas to samo zadanie. Ćwiczenie takie wymagało opuszczenia stengi aż do podwężzi wantowych pod fokmarsem. Nawet w warunkach zupełnej ciszy nie była to łatwa sprawa. Marynarze oczywiście robili takie rzeczy już przedtem, i to Bóg wie ile razy, było to bowiem jedno z najczęstszych ćwiczeń załogi. Po wydaniu rozkazu marynarze z prawoburtowej wachty zabrali się do roboty metodycznie i dokładnie, nie opuszczając niczego i starając się uzyskać ostateczny wynik, który mógł być zaakceptowany przez bardzo wymagającego pierwszego porucznika. Oficer wachtowy złożył raport o ukończeniu zadania. Zapisano dokładny czas trwania próby. Był on zaledwie o trzy sekundy lepszy od poprzedniego rekordu. Wtedy rozkaz został powtórzony i z kolei marynarze z lewoburtowej wachty żwawo rzucili się do takielunku. Z bardziej widocznym i dramatycznym wysiłkiem przechodzili z pośpiechem przez kolejne fazy. Pocąc się, gorączkowo usiłowali poprawić czas. Kiedy dowódca wachty zameldował ukończenie zadania, porucznik Rothary z zegarkiem w ręku mógł ogłosić, że uzyskali czas lepszy o jedną minutę i dwanaście sekund od najlepszego dotychczasowego wyniku. Marynarze z lewoburtowej wachty zaczęli głośno wyrażać swą radość, a kapitan oznajmił krótko: „Dobra robota!” A więc został ustanowiony nowy rekord. Załoga otrzymała wreszcie sygnał na obiad. Jeden jedyny człowiek nie wyglądał na zbyt szczęśliwego. Był to bosman - zauważył w ćwiczeniach parę drobnych

niedociągnąć, którymi należało się zająć. Po południu niebo się przejaśniło i powiał orzeźwiający wiaterek od zachodu. Żagle wypełniły się, a odkosy dziobowej fali zaczęły połyskiwać bielą. Natychmiast podjęto rejs, fregata bowiem otrzymała rozkaz zameldowania się u dowódcy Floty na Nore.

Dwaj oficerowie, których osobista sprawność i sprawność ich podkomendnych zostały tego ranka poddane próbie, stanowili zupełnie odrębne typy. Lewoburtową wachtą dowodził John Meade, pełen energii młody człowiek z rodziny marynarzy, bystry i powszechnie lubiany. Dowódcą wachty ze sterbortu był Ryszard Delancey. Jego obecność na pokładzie była nieco przypadkowa; znalazł się tu w wyniku szturmu na wybrzeże hiszpańskie. Delancey, osadzony w więzieniu po rozbiciu okrętu u wybrzeży biskajskich, uciekł z garstką załogi, w przebraniu przemknął się przez Hiszpanię, zorganizował zasadzkę na kuriera i zdobył pewną niezwykle ważną informację dotyczącą planów hiszpańskiego admirała Lángara. W czasie akcji ratowniczej został zabity porucznik Halsted i na jego miejsce komandor Morris wyznaczył Delanceya. Trzy rzeczy w tej sprawie były warte podkreślenia. Informacje Delanceya sprawdziły się: admirał Lángara rzeczywiście płynął do Tulonu, jak to było przewidziane, żeby przyłączyć się do floty francuskiej.

Brytyjska Flota Śródziemnomorska, zupełnie nie przygotowana do tego, żeby stawić czoło tym zdwojonym siłom, została wycofana ze swej pozycji, a wiele jej okrętów otrzymało zadanie defensywne, w oparciu o porty brytyjskie. Jednym z tych okrętów była *Meduza*. Na dodatek została ona zakwalifikowana do remontu. Po utarczce pod Léon komandorowi Morrisowi zaoferowano dowództwo okrętu liniowego *Bulwark* (74), z wyznaczeniem miejsca w kanale. Jego przeniesienie na większy okręt było nieco spóźnione. Wzmianka o nim w „Gazette” przypomniawszy o jego istnieniu komuś w admiralicji. W rejsie powrotnym Morris zdawał sobie już sprawę, że jego pobyt na *Meduzie* dobiegał właściwie końca.

Delancey wiedział o tym także. Wkrótce po zadokowaniu się w Chatham jak zwykle rozpoczną się rozpaczliwe zabiegi, by zdobyć gdzieś stanowisko. Ale jakiego stanowiska właściwie pragnął? Nie miał zupełnie stosunków, żadnych powiązań z wpływowymi ludźmi, którym tak wielu zawdzięczało swoją błyskotliwą marynarską karierę. Uzyskanie stanowiska pierwszego porucznika marynarki było jego jedyną szansą na awans. Gdyby okręt, na którym on sprawuje taką funkcję, zdobył przypadkiem nieprzyjacielski okręt o równym lub większym znaczeniu, prawdopodobnie kapitan dostałby tytuł szlachecki, a on, jako pierwszy porucznik, otrzymałby awans na mastra i dowódcę. Ale Delancey wiedział, że bardzo niewielu poruczników, którzy w ten sposób zostali awansowani, otrzymało naprawdę dowództwo okrętu. Dawano im ten stopień jako wyraz uznania, a potem pozostawali bez pracy przez całe lata, jeżeli w ogóle nie na zawsze.

Meduza w dobrym tempie przebyła kanał i zarzuciła kotwicę w Nore. Po zameldowaniu się na okręcie admirałskimi Morris otrzymał rozkaz wprowadzenia swego okrętu do Chatham. Tam okazało się, że był on w gorszym stanie i wymagał większej naprawy, niż przypuszczał okrętowy cieśla. Drewno zbutwiało poniżej linii wody, a i cała część rufowa musiała być gruntownie odremontowana. W tej sytuacji kapitan Morris opuścił okręt, otrzymał bowiem dowództwo *Bulwarka*. Większość załogi *Meduzy* została przeniesiona na inne okręty, a dowództwo nad resztą, jaka została, objął Rothery. Ponieważ nie było kłopotów z otrzymaniem urlopu, niektórzy oficerowie zeszli na ląd, żeby nękać admiralicję, pisać do swoich protektorów lub odwiedzić rodzinę. Delancey nie miał ani protektora, ani domu, postanowił więc wykorzystać większość wolnego czasu na kręcenie się wokół doków. Wiedział coś niecoś na temat budowy okrętów, kiedyś bowiem odbywał służbę na wybrzeżu

w Ameryce. Teraz miał okazję dowiedzieć się z tego zakresu czegoś więcej. Poza tym fascynował go widok statków w suchym doku, kiedy się na nie spogląda z dołu. Robił szkice z tego niezwykłego punktu obserwacji i doszedł do przekonania, że niektóre z tych szkiców oprócz profesjonalnej dokładności wykonania miały również walory artystyczne. Często bywał na molo, kiedy holowano jakiś statek, ogołocony do niższych masztów, z ogromnymi marsami, wyglądającymi zadziwiająco potężne na tle nieba. Poznawszy doki Chatham, spotykał się „Pod Żłotym Kogutem” z innymi oficerami, którzy nie mieli dokąd pójść, z awansowanymi bosmanami i działomistrzami, którzy nie mieli żadnych szans na dalszy awans, ale znali marynarkę od zarania swego życia, kiedy to zaczęli służbę. Grupie, do której przyłączył się tego wieczoru, przewodził stary „Łom” Crowley, który walczył pod sir Charlesem Saundersem w Quebecku, a teraz miał mało ważne stanowisko w stoczni. Zwykle dotrzymywali mu towarzystwa dwaj weterani-porucznicy: Wetherall i Dumbell, oraz jacyś przygodni oficerowie. Trzeciego wieczoru stary Wetherall oświadczył, że słyszał, jakoby *Glatton* miał niebawem powrócić do doku dla dokonania pewnych zmian i napraw. Inni obecni natychmiast okazali zainteresowanie tą nowiną. Delancey przypomniał sobie ostatnią akcję tego okrętu przeciw francuskiej eskadrze. Dowodził nim kapitan Henry Trollope, a cała sprawa wymagała ogromnego nakładu sił. Nie pamiętał już dokładnie szczegółów, ale przyszedł mu z pomocą Wetherall.

- Trollope płynął, by połączyć się z admirałem Duncanem nie opodal Helvoetsluys. Któregoś wieczoru spotkał się z czterema francuskimi fregatami: dwie rejowe korwety, jedna korweta ożaglowana jako bryg i kuter. Proporcja sił musiała wynosić mniej więcej sześć do jednego na niekorzyść *Glattona*.

- Raczej siedem lub osiem do jednego - wtrącił Dumbell.

- Sama tylko fregata dowódcy francuskiej eskadry była prawdopodobnie większa niż *Glatton*.

- No, zgoda. Może i tak. W każdym razie rozgorzała nocna walka, która się zaczęła od wymiany ognia w zasięgu strzału z pistoletu. Francuskie okręty doznały takich uszkodzeń, że jeden z nich w niedługim czasie zatonął w porcie Flushing. Mówiąc krótko, przerwały akcję i zwiały.

- A *Glatton*? - zapytał Delancey.

- Był na nim tylko jeden zabity - odparł Wetherall. - Kapitan Strangeways z artylerii, który wrócił na swoje stanowisko po założeniu zaciskowego bandaża na udo, zemdlął z utraty krwi i zmarł zaraz potem, jak go odniesiono znowu na dół. Było tylko kilku rannych. Poza tym, że żagle okrętu zostały zniesione niemal doszczętnie, *Glatton* i jego załoga ponieśli niewielkie szkody.

- Co za niezwykła historia! - zawołał Delancey i zamówił następną kolejkę. - Jak to możliwe?

- Powiem panu - odparł stary Crowley. - *Glatton* był jednym z dziewięciu okrętów przeznaczonych do handlu z Indiami Wschodnimi, a odkupionych w zeszłym roku od ich właścicieli i przerobionych na okręty wojenne.

- I na dodatek diabła warte - mruknął Dumbell.

- Za wąskie - przyznał Crowley. - I za mało miejsca na odrzut dla dział. Tak czy inaczej, zrobiono z nich okręty wojenne. Wążący tysiąc dwieście pięćdziesiąt sześć ton *Glatton* otrzymał pięćdziesiąt sześć armat.

- Uczyniło to z niego coś pośredniego między fregatą a okrętem liniowym - powiedział Dumbell - a w gruncie rzeczy do niczego jako jedno i jako drugie.

- Niech i tak będzie - zgodził się Crowley. - Dowództwo na nim otrzymał Trollope, który w czasie ostatniej wojny był kapitanem na *Rainbow*, a jeszcze wcześniej na *Kite*. Jeden z najinteligentniejszych oficerów w naszej służbie. Zaproponował, by *Glatton* został uzbrojony tylko w

karonady - sześćdziesięcioośmioletniczek na dolnym i trzydziestodwulecietniczek na górnym pokładzie. Ani jednego długiego działka na okręcie! Ministerstwo Marynarki Wojennej zaakceptowało ten plan.

- Podczas gdy w sztabie artylerii wszyscy o mało nie dostali apopleksji - dorzucił Wetherall.

- I w taki właśnie sposób w czerwcu okręt ten został uzbrojony. Francuzi nie dowiedzieli się, z czego właściwie tak ich rąbnięto.

Szczegóły uzbrojenia *Glattona* były dla Delanceya nowiną. Zaczął coś podsumowywać na skrawku papieru; po paru minutach podniósł głowę.

- *Glatton* prawdopodobnie daje salwę burtową z tysiąca pięciuset czterdziestu funtów, to znaczy większą niż takie trzy okręty pokładowe jak *Queen Charlotte*. To wystarczy, by zdmuchnąć z powierzchni wody każdego przeciwnika.

- Posłuchajcie! - zawołał Dumbell, - Dlaczego w takim razie nie uzbrojono w taki sam sposób wszystkich naszych okrętów?

- Bo to byłoby szaleństwo - odparł Crowley. - Tego rodzaju działka są bronią krótkiego zasięgu. Po takim spotkaniu wróg nie przybliży się już nigdy bardziej niż na pół mili, a wtedy oni nas zniszczą z dział długich o dalekim zasięgu, zanim my będziemy mogli otworzyć ogień

- Muszą być i inne trudności - rzekł Delancey - *Glatton* może nie mieć dostatecznej ilości pomieszczeń dla niezbędnej mu załogi. A poza tym.. jak się mierzy z tych krótkich dział? Sześćdziesięcioośmioletnica musi niemal całkowicie wypełniać furtę, nie zostawiając wcale miejsca na obrót..

- Ma pan rację! - wykrzyknął Crowley. - I to jest problem, który należałoby rozwiązać, kiedy *Glatton* znajdzie się w doku.

- Cieszę się, że będę mógł go obejrzeć - oznajmił Delancey.

Zmieniono temat rozmowy, zajęto się bardzo szeroko dyskutowaną ostatnio sprawą płac marynarzy. Żołnierze dostali podwyżkę, nie objęła ona jednak marynarki wojennej.

- Będą jeszcze z tego powodu kłopoty - rzekł Dumbell. - Zapamiętajcie sobie moje słowa, Nie w tym rzecz, że chłopcy potrzebują pieniędzy, ale w tym, że zadają sobie pytanie, dlaczego żołnierze mają być lepiej traktowani. Kto odnosił zwycięstwa? My. A kogo udało się wrogom pokonać? Piechurów!

Nie ulegało wątpliwości, że omawianie tego właśnie problemu zabierze im drugą połowę wieczoru, więc Delancey pożegnał towarzyszy. Niezależnie od wszystkiego przyznawał, że żołd marynarzy

jest krzywdząco niski. Uważał, że to głupota dawać tak mało ludziom, którym rząd tak wiele zawdzięcza. Stary Dumbell miał rację mówiąc o możliwości buntu. Przypuszczał, że z punktu widzenia ministra wszystko to wyglądało zupełnie inaczej. Z pewnością musieli borykać się z innymi żądaniami finansowymi, które należało zaspokoić, tym niemniej marynarze mieli swoją rację. Delancey wrócił na *Meduzę* pogrążony w rozmyślaniach.

Kiedy *Glatton* zarzucał kotwicę w Nore, Delancey znajdował się wśród tych, którzy się temu przyglądali. Był to okręt dziwaczny, ciągle jeszcze robiący wrażenie statku handlowego kursującego do Indii. Gdy stał obok innych okrętów wojennych, wyglądał wręcz brzydko. Kiedy został zaholowany do suchego doku, Delancey zjawił się znowu na molo i niebawem znalazł pretekst, by wejść na pokład. Wprawdzie znał kapitana Trollope'a z czasów poprzedniej wojny, ale nie przypuszczał, by ten zdołał go sobie przypomnieć. Niestety nie mógł się o tym przekonać, gdyż Trollope'a nie zastał na okręcie. Wyjechał spieszenie z Sheerness do Londynu, a tymczasem

dowództwo *Glattona* powierzył niezwykle sumiennemu pierwszemu porucznikowi, panu Aleksandrowi Grantowi. Delancey otrzymał pozwolenie wejścia na pokład, gdzie od razu zajął się studiowaniem różnych problemów, wynikających z niezwykłego uzbrojenia okrętu. Najpierw zapytał o krótkie działa z dolnego pokładu i o ich brak zwrotności.

- Ach, to jeszcze najmniejszy kłopot - rzekł Grant z lekkim zniecierpliwieniem. - Przy odległości, z jakiej otworzyliśmy ogień, to nie miało znaczenia. Jeżeli chodzi o naszą ostatnią akcję, to kłopot zaczął się od tego, że do obsługi tych dział mieliśmy o trzydziestu ludzi za mało. Gorsze natomiast było to, że przy wybuchu pocisku zajmowało się drewno u wylotu luf. Niech pan pójdzie i obejrzy.

Gdy tak stał na dolnym pokładzie *Glattona*, zupełnie ogołoconym przed zadokowaniem, trudno mu było wyobrazić sobie ten okręt w akcji. Pograżony w ponurym półmroku pokład zarzucony był przyrządami ciesielskimi i kowalskimi. Robotnicy skończyli już swoją robotę, ale kilku jeszcze kręciło się pogwizdując i szykując się do odejścia do domu. Grant pokazał mu liczne ślady spaleniźny.

- Nie wyrządziło to większych szkód, ale obudowa wokół każdej furty działowej musi być odnowiona.

- Nie widać, żebyście zbyt ucierpieli od ostrzału wroga.

- Bo też ponieśliśmy zdumiewająco małe straty. Te nieliczne, jakie miały miejsce, spowodowane zostały przez ogień z dużej odległości z tego piekielnego brygu i z kutra. Francuskie fregaty były tak zaskoczone, że strzelały na chybił trafił lub nie strzelały wcale.

- Spodziewam się, że po takim zwycięstwie wśród waszych ludzi zapanował znakomity nastrój.

- Częściowo, bo nie otrzymali za to żadnej premii pieniężnej.

- A czy mogli się tego spodziewać, walcząc z tak nierównej pozycji? No jakże to. Gdybyście wzięli pryzę, to francuski komodor zastrzeliłby się chyba po podpisaniu swego raportu, zanim jeszcze zdążyłby się zebrać sąd wojenny.

- Tak, ale jedna z ich fregat potem zatonała w porcie. Za nią właśnie żądaliśmy nagrody, odmówiono nam jednak. Powiedziano, że z pewnością powróci ona na wody.

- Być może powróci, ale gotów jestem założyć się, że kapitan Trollope wyklóca się o premie w admiralicji.

- Rzeczywiście jest w admiralicji, ale spór idzie wyłącznie o uzbrojenie okrętu. Sztab artylerii chce wszystko zmienić. Zresztą nigdy nie aprobował obecnego stanu rzeczy. Tymczasem kapitan chce, żeby wszystko zostało tak, jak jest, tak właśnie, jak on to zaplanował.

- A według pana jak będzie?

- No, cóż! Sądzę, że sprawa zostanie przedstawiona komisji, która zbierze się tutaj w przyszłym miesiącu, i gotów jestem założyć się, że kapitan postawi na swoim. Zwykle mu się to udaje.

Trollope wrócił z Londynu przed końcem miesiąca i Delancey złożył mu wizytę w jego kwaterze na wybrzeżu w Chatham. Okazało się, że był to człowiek taki, jakim go Delancey pamiętał: szczupły, nerwowy mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu i żywym sposobie mówienia. Najprawdopodobniej nie pamiętał, że już kiedyś spotkał Delanceya, ale okazał mu zainteresowanie, gdy ten tylko wspomniał o uzbrojeniu okrętu, a zwłaszcza gdy podjął problem, jaki przedstawiały wielkie karonady w zbyt małych otworach działowych. Delancey wyjaśnił swoje zainteresowanie tą kwestią i dodał, że odbywał służbę na lądzie w czasie oblężenia Gibraltaru.

- Może mi pan powiedzieć, czy tamto doświadczenie ma jakiś związek z tą sprawą?

- Być może ma, sir. Hiszpańscy artylerzyści obsługując swoje pływające baterie musieli strzelać

przez drewniane ambrazury grubości dziesięciu stóp. Dla ochrony przed zapaleniem wykładano otwór strzelniczy arkuszami blachy. Sądzę, że jest to skuteczny sposób ochrony drzewa.

- Jakim cudem pan się o tym dowiedział?

- Zrobiłem rekonesans i obejrzałem baterie, zanim jeszcze dokończono ich budowy.

Zanim spotkanie dobiegło końca, Trollope doszedł do wniosku, że Delancey jest wielce obiecującym oficerem. Tego wieczoru zjedli razem kolację i rozstali się z wyrazami wzajemnego szacunku.

Tak oto szczęśliwy przypadek zetknął ze sobą Trollope'a i Delanceya. Trollope miał własne poglądy i niewiele sobie robił z zasad sztuki żeglarskiej i dyscypliny, które na pokładzie *Meduzy* były traktowane jak Ewangelia. Kwestionował niektóre uświęcone zwyczaje i burzył niektóre zakorzenione przekonania. Potrafił zapytać „dlaczego” w okolicznościach, które zdawały się wymagać aprobaty i jednomyślności. Co więcej, jego ostatnie zwycięstwo dawało mu mocną pozycję, popartą autorytetem jego władzy oraz wciąż okazywaną mu przez społeczeństwo. Dojrzał w Delanceyu człowieka własnego pokroju, kogoś, kto interesował się raczej działaniami, a nie regulaminami, człowieka, który bardziej przypominał intelektualistę czy marzyciela, zatopionego w sobie, niż idealnego oficera, a jednocześnie był człowiekiem czynu, odważnym, niezawodnym w sytuacji dramatycznej. Tłumiąc wszelkie wątpliwości, jakie mogły mu się nasunąć, Trollope podjął decyzję. Kiedy się upewnił, że Delancey zgadza się na to - zaproponował dowódcy Floty w Nore (wiceadmirałowi Buckerowi), żeby młodemu oficerowi dano stanowisko drugiego porucznika pod Aleksandrem Grantem na *Glattonie*. Kapitan Morris zgodził się chętnie, a nominacja została zatwierdzona przez admiralicję w grudniu 1796 roku. W tym czasie, gdy Grant był na urlopie, Delanceyowi przypadło w udziale uczestniczenie w zebraniu komisji, która miała rozstrzygnąć drażliwą kwestię uzbrojenia *Glattona*. Zebranie to odbyło się w styczniu 1797.

Tego dnia doki spowiła zimna, kłębiasta mgła, kolumny masztów były ledwo widoczne, a i same okręty nie wydawały się niczym więcej jak kłębamii mgły. Na powozach, które właśnie wjechały do stoczni, paliły się lampy, a stangreci przed domem komisarza przestępowali z nogi na nogę. Kiedy nowo przybyli, zakutani w płaszcze i szale, podjechali na molo, do uszu ich dobiegł głośny huk młotów.

Kierując się bardziej tymi odgłosami niż wzrokiem, dotarli wreszcie do stóp schodni. Prowadziła ona na *Glattona*, który ciągle jeszcze był remontowany w doku. Na pokładzie powitał ich przewodnik, który, jak się okazało, był nadzorcą brygady stoczniowców. Zaprowadził ich do dziennej kajuty kapitana, oświetlonej latarniami i ogrzewanej przez przenośny piecyk. Miejsce obrad było częściowo zajęte przez przysadziste, potężne działo, mimo to zmieścił się jeszcze wypożyczony stół i kilka krzeseł. Odgłos walenia młotów był teraz jeszcze bardziej donośny. Ciesle zdawali się pracować gdzieś na śródokręciu. Honory domu czynił komisarz; przesadnie gestykulując wskazywał miejsca i zachęcał do zdjęcia płaszczy i peleryn. Po chwili wysłał gdzieś nadzorcę robót, a wkrótce kucie młotów ustało. Jeszcze tylko z oddali dolatywał odgłos piły i kopyt koni przejeżdżających przez molo. Wreszcie komisarz uciszył zebranych i wszyscy zajęli miejsca wokół stołu.

- Panowie, poczytuję sobie za zaszczyt przywitać was serdecznie w stoczni Jego Królewskiej Mości w Sheerness. Niektórzy z was znają się, jednakże wymienię kolejno nazwiska dla użytku mego kancelisty, pana Fairhalla, który będzie notował to, co zdecydujemy. A więc obecni tutaj są: kapitan Trollope, który dowodzi tym okrętem, komandor White z Ministerstwa Marynarki Wojennej, pan Lucas z Ministerstwa Marynarki Wojennej, pan Rodgers ze Sztabu Artylerii i wreszcie pan Burrows

z tej stocznii. Naszym zadaniem jest rozważyć, jaki rodzaj dział należy zamontować na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości *Glattona*, posiadającego pięćdziesiąt sześć dział i liczącego tysiąc dwieście pięćdziesiąt sześć ton wyporności. Jest on jednym z dziewięciu statków kupionych w zeszłym roku od Wschodnioindyjskiego Towarzystwa Okrętowego. Statki te, zbudowane w celach handlowych, różnią się w konstrukcji

od okrętów wojennych, przeznaczonych do innych zadań. Są one węższe i mniej na nich miejsca dla obsługi dział. Dla tych i innych powodów postanowiono je wyposażać w osiemnastofuntowe działa na górnym pokładzie i trzydziestodwufuntowe karonady na pokładzie dolnym. Kapitan Trollope zaproponował jednakże, żeby na *Glattonie* zamontować sześćdziesięcioośmifuntowe, nie trzydziestodwufuntowe, karonady na niższym pokładzie i trzydziestodwufuntowe krótkie działa na pokładzie górnym. Plan ten został zaakceptowany i *Glatton* przeprowadził uwieńczoną sukcesem akcję w czerwcu ubiegłego roku. Jednakże Sztab Artylerii uważa, że okręt ten powinien otrzymać inne uzbrojenie, takie, jakie zostało przewidziane na początku. Uważałem za stosowne, byśmy się spotkali na pokładzie okrętu *Glattoni* i obejrżeli znajdującą się przed nami sześćdziesięcioośmifuntową karonadę. Oddaję głos panu Rodgersowi, by nam przekazał swoje uwagi na ten temat.

- Jestem panu ogromnie zobowiązany, sir James, i będę się starał nie zatrzymywać panów dłużej, niż to będzie konieczne. Karonady zostały wynalezione pod koniec ostatniej wojny przez pana Gascoigne z huty Carron, niedaleko Falkirke w Szkocji. Nie muszę chyba mówić, że jest to krótsza i lżejsza wersja działa z ruchomym podwoziem, wyrzucająca cięższe pociski o krótszym zasięgu, posiadająca lawetę z suwakiem przejmującym odrzut i wymagająca mniej ludzi do obsługi. Działo to weszło do powszechnego użytku w 1779 roku, a jego użyteczność została sprawdzona po raz pierwszy w starciu między fregatą *Fiora* a francuskim okrętem *Nimphe*. Postawiono sobie wtedy pytanie, czy okrętowi nie wystarczyłoby uzbrojenie jedynie w krótkie, ciężkie działa. W ten sposób w marcu 1782 roku na próbę uzbrojono *Rainbow*. Dowództwo okrętu powierzono kapitanowi Trollope'owi. Nie mamy dowodu na to, że eksperyment

ten został uwieńczony sukcesem.

- Jak pan może coś takiego powiedzieć?! - zawołał kapitan White. - Kapitan Trollope zdobył *Hébé*, a cóż to była za cenna zdobycz! Wszystkie dzisiejsze ciężkie fregaty są kopiami *Hébé*. Był to najpiękniejszy okręt, jaki sobie można wyobrazić!

- Wiemy o tym wszyscy - rzucił Rodgers.

- Ale jego zdobycie o niczym nie świadczy. Poddał się bez walki.

- Poddał się, jak tylko jego kapitan zorientował się, jakiego kalibru działom ma stawić czoło - wtrącił z naciskiem Trollope. - Teraz powtórzyliśmy ten eksperyment, uzbrajając *Glattona* w ten sam sposób i z tym samym mniej więcej rezultatem. Cała francuska eskadra uciekła przed jednym okrętem!

- Była to nocna akcja - oponował Rodgers - i Francuzi nie mieli żadnych informacji na temat przeciwnika. Teraz cała francuska marynarka wojenna dostała ostrzeżenie w okólniku wydanym przez ich Ministerstwo Marynarki Wojennej.

Nie było zajadłej dyskusji i Delancey podziwiał zrećność, z jaką kapitan Trollope załatwiał opozycję, biorąc górę nad Lucasem i Borrowsem i izolując Rodgersa od reszty komisji. Po dwudziestu minutach wyłoniła się sprawa zabezpieczenia wylotów luf i wtedy Trollope zwrócił się o pomoc do Delanceya, który uważał, że jako młodszy oficer powinien przedstawić sprawę możliwie

krótko.

- Problem ten został już rozwiązany przez Hiszpanów, sir Henry, kiedy ci przysposabiali swoje pływające baterie w czasie oblężenia Gibraltaru. Załatwili całą sprawę wykładając otwory burtowe arkuszami blachy cynowej.

- To ich jednak nie uratowało - rzekł Rodgers.

- Ale też nie spalili się od iskry z wylotów własnych dział.

Rozległy się wybuchy śmiechu, ale ku zdziwieniu Delanceya nie było już dalszej dyskusji na temat zabezpieczania wylotów. Może dlatego, że cyna uważana była za bardzo cenny materiał. Zaistniała natomiast rozbieżność zdań co do tendencji do przewracania się tych krótkich ciężkich dział po wystrzeleniu pocisku. Wreszcie sir Henry doszedł do wniosku, że dyskusja ciągnie się za długo.

- No cóż, istnieją problemy - przyznał - ale pan Burrows i ja sądzimy, że potrafimy je rozwiązać. Dlatego wolno mi chyba uznać, że większością głosów zgodziliśmy się, żeby *Glatton* pozostał przy obecnym uzbrojeniu, dopóki nie będzie innych zaleceń.

Pan Rodgers zmarszczył brwi i pokręcił przecząco głową, ale inni mruknęli potakująco, wobec czego komisarz zamknął zebranie.

Udając się do domu, by odpocząć przy kominku, Delancey pomyślał, że po zebraniu na pokładzie *Glattona* można było dojść do jednego wniosku: ziąb doprowadził do stosunkowo szybkiej decyzji.

ROZDZIAŁ 2

Bunt

W kwietniu 1797 roku po wyjściu z doku *Glatton* stał zakotwiczony w Nore. Został na nowo otaklowany, zachował jednak tę samą załogę co przedtem i przez jakiś czas musiał odczekać u ujścia Tamizy w celu przeprowadzenia tego, co dziś nazwalibyśmy próbą artyleryjską. Po powrocie do Nore kapitan Trollope zameldował admirałowi Bucknerowi, iż próby wypadły pomyślnie i że działa, tak jak zostały zamontowane obecnie, zdały egzamin, że różne zmiany okazały się celowe i okręt jest gotów do służby czynnej. Po wysłuchaniu tego raportu Buckner zabrał Trollope'a na pokład okrętu admirałskiego i oznajmił w ścisłym zaufaniu, że w Spithead zbuntowała się flota kanału. Ta zdumiewająca wiadomość dotarła doń tego ranka, a już jutro znajdzie się niewątpliwie na szpaltach gazet. *Glatton* miał natychmiast odpłynąć w kierunku wybrzeża holenderskiego, zawożąc przy okazji tę wiadomość admirałowi Duncanowi.

- Istnieje możliwość rozszerzenia się buntu - wyjaśnił Buckner - ale przynajmniej załogom okrętów znajdujących się obecnie na morzu oszczędzi się złego przykładu. Ja sam wydałem rozkaz, by wszystkie okręty gotowe do odpłynięcia wyruszyły w morze.

Kapitan Trollope nie potrzebował dalszego przynaglania i znalazł się z *Glattonem* na morzu, zanim wiadomość o buncie stała się publiczną tajemnicą. Zaraz też posłał po swego pierwszego porucznika i wyjaśnił mu sytuację. - Będziemy musieli mieć się na baczności,

panie Grant - zakończył. Po tym oświadczeniu zdał sobie sprawę, że *Glatton* miał wyjątkowo dobrą kadrę oficerską i był doskonale dowodzony. Trollope uprzedził porucznika, iż być może na okręcie znajdują się niezadowoleni, którzy będą narzekać. Grant oświadczył, że tak jest istotnie, ale że większość załogi jest lojalna. Pokonali przecież całą francuską eskadrę, rozbili przeciwnika ogniem artyleryjskim, a kiedy wracali na brzeg, zostali radośnie powitani. Oficerowie dbali o nich, zrobiono wszystko, co było możliwe, dla ich wygody. Nawet bosman cieszył się u nich wielką popularnością.

Czasami jakiś nowy członek załogi pozwolił sobie na taką na przykład uwagę: „Nasz Numer Jeden nie jest żadnym ognistym smokiem z tym swoim: «Proszę, zróbcie to, chłopaki!»... czy: «Bądźcie tacy dobrzy i zechciejcie to zwinąć»...” Jednakże któryś ze starszych marynarzy z miejsca ustawia takiego, rzucając krótko: „Kiedy Aleks Grant idzie do akcji, to, bracie, nie wchodź mu lepiej pod rękę”. Kiedy Delancey dowiedział się o buncie, również był przekonany, iż *Glatton* jest ostatnim okrętem, który mógłby przyłączyć się do tego buntu. Istotnie, rząd popełnił poważny błąd z tymi płacami, ale chyba teraz naprawi go szybko. Cały kłopot polegał na tym, że *Glatton* jako jeden z byłych statków handlowych stanowił coś pośredniego - nie był fregatą, ani też nie nadawał się do tego, by zająć jej miejsce podczas bitwy. Jeżeli chodzi o rozdział nagród pieniężnych, załoga *Glattona* nie miała szczęścia. Co do tego nie istniała najmniejsza wątpliwość.

Delancey rozmyślał o tym wszystkim odbywając poranną wachtę, chodząc po pokładzie rufowym, gdy *Glatton* opuścił już ujście Tamizy. Księżyc się skrył, noc była ciemna, ale na wschodzie niebo rozjaśniło się nieco, zapowiadając nadchodzący świt. Z oka na fokmarsie dobiegło wołanie: - Jakiś dziwny okręt na prawo od dziobu!

Delancey skierował w tamtą stronę swoją nocną lunetę i z trudem zdołał rozróżnić odległą sylwetkę. Potem podał ją podchorążemu, młodemu midszypmenowi Harkerowi, i rozkazał wejść na bocianie gniazdo na fokstendze.

- Zobacz i powiedz, co o tym sądzisz.

Chłopak po pięciu minutach znalazł się z powrotem na pokładzie.

- Handlowiec, z ożaglowaniem fregaty, sir. Płynie w tym kierunku.

- Jak duży?

Chłopak zawahał się, po czym odparł:

- Mniej więcej takiej wielkości jak mniejszy statek handlowy Towarzystwa Zachodnioindyjskiego, sir.

Otrzymawszy lunetę, Delancey nastawił ostrość. Dlaczego ten obcy statek nie płynął w konwoju? Być może miał list kaperski... Ale jeżeli nawet tak było... Zwrócił się znowu do młodzika:

- Przekaż wyrazy uszanowania kapitanowi i zawiadom go, że przed nami ukazał się jakiś obcy statek.

Glatton płynął ostrym kursem, ten drugi zaś miał wiatr od rufy, więc dystans między nimi zmniejszał się szybko. Za niecałą godzinę powinny się znaleźć w takiej odległości od siebie, że można będzie porozumieć się głosem.

Kapitan Trollope zszedł na pokład z własną nocną lunetą, którą skierował we wskazaną przez Delanceya stronę.

- Przeszło pięćset ton, może nawet sześćset, zbudowany w Anglii, ale ma coś nienormalnego w ożaglowaniu i płynie tak, jakby chciał przeciąć nam drogę. Co pan o tym sądzi?

- Może to francuski statek kaperski?

- Sam? Tak daleko od własnej floty wojennej?

- Rozumiem, co pan ma na myśli. Coś tu nie gra. Za pół godziny być w pogotowiu bojowym!

Kapitan Trollope odszedł, prawdopodobnie by się ogolić. Delancey zaczął znowu chodzić tam i z powrotem po pokładzie rufowym. Żaden brytyjski statek handlowy nigdy nie zbliżał się do okrętu wojennego w obawie, aby ten nie zabrał mu przymusowo do służby wojskowej kogoś z załogi. Także żaden francuski statek handlowy nie odważyłby się zbliżyć do ujścia Tamizy. Ale *Glatton* rozpoczął swój żywot jako statek handlowy Towarzystwa Wschodnioindyjskiego, istniała więc możliwość, że

statek kaperski mógł liczyć, iż znajdzie tu łatwą zdobycz. Oczywiście kapitan musiał być niezwykle ryzykantem, ale niewykluczone, że znalazł się taki w St Malo i zdecydował się na takie przedsięwzięcie, używając do tego zdobycznego statku, który nie wydawał się czymś niezwykle na angielskich wodach. Gdy nadeszła pora, Delancey zawołał: „Alarm bojowy!” Po chwili rozległ się dźwięk bębna i wolna od służby wachta dołączyła do tych na górze. Zapanował zwykły rozgardiasz, krzątania i bieganina, zakończone sklarowaniem pokładów i obsadzeniem dział. Wkrótce Grant zameldował kapitanowi, że załoga znajduje się na swoich stanowiskach, a działa są gotowe do akcji. Było jeszcze dość ciemno; dziwny statek znajdował się niemal w ich zasięgu.

- Dajcie nocny sygnał rozpoznawczy! - rozkazał kapitan Trollope. Wywieszono kilka latarni w sposób określony przepisami. Nie wywołało to żadnej odpowiedzi. Tak więc zdążający w ich kierunku statek na pewno nie był angielskim okrętem wojennym. Nawet angielski statek handlowy dałby jakąś odpowiedź. Oczywiście mógł on płynąć pod neutralną flagą i ta właśnie możliwość nakazywała ostrożność. „Zapalcie rakiety!” - brzmiał następny rozkaz. Skutek był taki, że nieznan statek został oświetlony na jakieś pół minuty. Był on niemal tych samych rozmiarów co *Glutton*, miał otwarte ambrazury i obsadzone załogą działa.

Prawdopodobnie należał do floty francuskiej, w innym bowiem wypadku nie ryzykowałby bitwy. Tak czy inaczej nie sprawiał on wrażenia brytyjskiej fregaty. Jeżeli jednak był to rzeczywiście statek kaperski, to jego kapitan musiał nie być przy zdrowych zmysłach. Gdyby Trollope miał okręt z normalnym uzbrojeniem, to teraz wypróbowałby odległość, dając salwę w dziób intruza. Miał jednak działa o krótkim zasięgu, z którymi nic by nie wskórał, niosły bowiem tylko na krótką odległość.

- Jeszcze jedna rakietka! - rzucił.

I zanim się znowu ściemniło, dostrzegł wywieszoną trójkolorową banderę, która została podniesiona. Zaraz potem francuski okręt wystrzelił salwę. W chwilę później, dając salwę z drugiej burty, zmienił kurs, jakby miał zamiar przyjąć ten sam, jakim płynął *Glutton*. Odległość między statkami była niewiele większa niż na strzał z pistoletu, gdy *Glutton* otrzymał jeszcze jedną mało skuteczną salwę. Wtedy Trollope dał rozkaz, żeby otworzyć ogień. Pokład zakołysał się pod nim kiedy wszystkie karonady wypaliły jednocześnie.

Delancey zajmował stanowisko na dolnym pokładzie. Po raz pierwszy widział 68-funtowe działa w akcji, ale zorientował się już w sposobie ich działania, oraz w czynnościach obsługującej je niewielkiej załogi. Widział teraz, że marynarze *Gluttona* byli niezawodni w walce i było mało prawdopodobne, by popełnili jakiś błąd. Największy kłopot był z wagą pocisku. Delancey wątpił, czy załoga potrafi utrzymać maksimum siły ognia przez czas dłuższy. Zdał sobie jednak sprawę, że salwa *Gluttona* musiała posiadać trudną do wyobrażenia sobie skuteczność. W tym dymie i ciemności niewiele było widać, ale dobiegał go odgłos trzasku, ilekroć obstrzał przeszedł po kadłubie przeciwnika. Francuskie działa musiały być bardzo niewielkie i żaden z ich pocisków nie zdołał zrobić większej szkody.

„Spokojnie, chłopcy! - krzyknął. - Dobrze przybijać! Patrzeć na cel i mierzyć przed odpaleniem!” Słyszał ogłuszający huk; tak gryzącego zapachu spalonego prochu nie spotkał jeszcze nigdy dotąd na żadnym innym okręcie. Ale też więcej się go paliło niż gdziekolwiek indziej. Kiedy przechodził wzdłuż baterii, rozkazał obrócić działa rufowe ku dziobowi, dziobowe zaś ku rufie, koncentrując ogień na środkowej części statku wroga.

Gdy działa miały znów wystrzelić, podbiegł do niego midszipmen i salutując zaraportował:

- Sir, kapitan przekazuje wyrazy uszanowania i życzy sobie, żeby pan przerwał ogień.

- Przerwać ogień! - krzyknął Delancey, a rozkaz jego został podany z ust do ust przez cały pokład. - Pozostać przy działach! - padła następna komenda. Każda z załóg obsługujących działa stała w gotowości, by na dany rozkaz wystrzelić. Dym rozplątywał się z wolna i Delancey patrzył teraz na tkwiącego przed nimi, ale pogrążonego w milczeniu przeciwnika. Statek po otrzymaniu trzech salw musiał widać spuścić z tonu.

Przed Delanceyem zjawiał się midszipmen i zameldował:

- Kapitan przesyła wyrazy uszanowania, sir, i rozkazuje, żeby pan dokonał zajęcia statku.

Delancey pobiegł po płaszcz i przekazał dowodzenie baterią oficerowi nawigacyjnemu.

Kiedy w kilka minut później wrócił na pokład, cieśla już oglądał barkas, a bosman sprawdzał sprawność osprzętu. Delancey znalazł kapitana i pierwszego porucznika na pokładzie rufowym. Oglądali zdobyty statek, teraz w pełni widoczny w brzasku ranka. Dryfował powoli, ze stojącymi wciąż wszystkimi masztami, na których nie zauważyli prawie żadnych uszkodzeń. Jednakże pomiędzy jego otworami działowymi widać było dziury i połamane deski poszycia.

Kilka furt świeciło pustką. Delancey słyszał skrzypiący odgłos pracujących tam pomp.

- Proszę dokonać zajęcia statku, panie Delancey, i złożyć raport na temat strat w sprzęcie i w ludziach.

- Tak jest, sir. Czy mogę zabrać ze sobą cieślę?

- Oczywiście. Proszę przysłać tu łodzią tamtych oficerów i dać sygnał, gdy będzie pan gotowy do działania. Mam na myśli przeprowadzenie statku do Yarmouth.

- Gratuluję tak cennej zdobyczy, sir.

- Miejmy nadzieję, że rzeczywiście cenna. Nie mogę się zorientować, co ten statek albo raczej jego dowódca chciał osiągnąć.

Barkas został spuszczonej na wodę, a jego obsada zebrała się na pokładzie uzbrojona w muszkiety i bagnety. Czwarty porucznik John Huntley i midszipmen Robert Appleby zajęli miejsca przy szotach na rufie. Delancey zjawiał się ostatni i łódź odbiła. Po jakichś dziesięciu minutach znaleźli się już na pokładzie zdobytego okrętu. Przed Delanceyem stanął podniecony Francuz, który ofiarował mu swoją szpadę. Delancey przyjął ją i przekazał podoficerowi. Wtedy Francuz zameldował, że statek nosi nazwę *Confiance*, jest statkiem kaperskim z Cherbourga, a on sam nazywa się Dufossey. Statek poprzednio nosił nazwę *Sheldrake* i pochodził z Londynu.

- Dlaczego znalazł się pan u ujścia Tamizy?

- Dowiedziałem się, że wszyscy brytyjscy marynarze zbuntowali się, a wasze okręty wojenne są w porcie. Miałem nadzieję, że mój statek będzie mógł uchodzić za brytyjski.

- Skąd dowiedział się pan o buncie?

- Od łodzi rybackiej nie opodal wyspy Wight.

- A dlaczego nas pan zaatakował?

- Wziąłem was za handlowy statek Towarzystwa Indyjskiego.

- No, to teraz dowiedział się pan, jaka to różnica.

- Ale wasze działa nie są takie, w jakie zazwyczaj wyposażone są okręty wojenne. Myśleliśmy, że to koniec świata!

- W każdym razie to koniec waszego rejsu. Teraz, kapitanie, chcę, aby pan i pańscy oficerowie udali się na okręt Jego Królewskiej Mości *Glatton* jako jeńcy wojenni. Daję wam dziesięć minut na zabranie rzeczy. Tymczasem proszę wydać swoim ludziom rozkaz, by oddali lekką broń i przynieśli ją tutaj. A poza tym proszę przysłać mi tu zaraz pańskiego cieślę.

W takich okolicznościach płynna znajomość francuskiego była ogromną pomocą dla Delanceya. W asyście cieśli z *Glattona* zrobił szybką inspekcję; obejrzał straszne spustoszenia, jakich narobiły 68-funtowe kule. Kilka dział było solidnie uszkodzonych, a jedno, na wysokości rufowego luku, zostało doszczętnie zniszczone. Potem wrócił na górny pokład i przy trapie zobaczył francuskich oficerów.

- Zdaje się, że statek jest paskudnie uszkodzony - powiedział kapitan, kiedy się żegnali.

Delancey potwierdził to skinieniem głowy.

- Proszę tu wrócić po lekką broń - rozkazał sternikowi, po czym odwrócił się do Charriera, francuskiego cieśli. - Chciałbym tu wszystko obejrzeć - rzucił szybko.

Ruszył za Charrierem wraz z cieślą z *Glattona*, Jenkinsem. Na górnym pokładzie Charrier zatrzymał się przy luku rufowym i wyjaśnił, że zostało tu trafione działo i wpadło do ładowni. - Wygląda to źle - wyjaśnił z ponurą miną.

Delancey od razu zrozumiał, jak bardzo źle. Kadłub statku jest tak zbudowany, żeby stawiać opór ciśnieniu z zewnątrz, i potrafi wytrzymać dość duży napór fal. Inaczej rzecz się ma, gdy nastąpi uderzenie od środka, które może obluźnić spojenia. Takie uderzenie

w pobliżu stępki jest najgorsze ze wszystkiego z powodu trudnego dostępu do miejsca uszkodzenia.

Zeszli na dół do ładowni, gdzie wody było już więcej niż na stopę. Gdyby działo, będące francuskim odpowiednikiem 9-funtowca, upadło bezpośrednio na deski poszycia, prawdopodobnie przebiłoby je i od razu zatopiło statek. Jego upadek jednak częściowo został złagodzony przez drewnianą skrzynię, ale skrzynia była pusta i pod ciężarem działa poszycie dna puściło. Dwaj pomocnicy cieśli próbowali już załatać przeciek, ale ich wysiłki poszły na marne. Delancey posłał jednego z nich na pokład, by co dziesięć minut sprawdzał poziom wody. Potem Charrier pokazał trzy inne przecieki. Jeden, tuż nad wodą, został zatkany od strony zewnętrznej i przedostawała się przez niego zaledwie mała strużka. Drugi, poniżej linii wody, został zaczipowany płótnem i zabity drewnem. Przy dobrej pogodzie mogło to trzymać co najmniej przez godzinę lub dwie. Trzecia dziura znajdowała się w dziobie i w ogóle nie było do niej dostępu. Być może najpierw była ona nieduża, ale teraz wyraźnie słychać było, jak wlewa się przezeń woda, przez co z pewnością otwór stale się powiększał.

Było też wiele innych uszkodzeń. Poza tym Francuz miał jedenastu zabitych i dwudziestu trzech rannych. Pompy pracowały przez cały czas i robiły, co tylko się dało. Wyszędłszy na pokład, Delancey spytał młodszego cieślę, czy poziom wody powiększył się przez ostatnie dziesięć minut. Dowiedział się, że o całe siedem cali. Delancey rozkazał, by francuski bosman zorganizował wylewanie wody za pomocą łańcuchowego podawania kubłów przy głównym luku. Ktoś znalazł kartkę papieru i Delancey z ołówkiem, który znalazł w kieszeni, ukląkł pod bulajem rzucającym światło z góry. Przy stale pracujących pompach statek nabierał szybkości trzech stóp i sześciu cali na godzinę, a to oznaczało, że należy się liczyć z jego

zatonieniem za jakieś trzy godziny. Wylewanie wody kubłami mogło je opóźnić jeszcze o pół godziny. Przy rześkim wschodnim wietrze doprowadzenie statku w tym stanie do Yarmouth musiałoby zająć co najmniej dziesięć godzin. Sprawa więc była beznadziejna. A jakiego zdania są w Harwich? Dwie i pół godziny? Cholerna historia! Gdyby przeciągnąć płótno żaglowe pod kilem, można by było zmniejszyć nabieranie wody, ale to znowu pociągnęłoby za sobą stratę czasu, który potrzebny jest na przeprowadzenie takiej operacji. Skończywszy obliczenia zauważył, że wrócił

barkas, a na pokład wchodził właśnie kapitan Trollope, Zaczęła się dyskusja z obu cieślami. Huntley nadzorował w tym czasie załadunek lekkiej broni na łódź. Delancey przedstawił kapitanowi swoje obliczenia. Trollope rzucił na nie okiem i podjął szybką decyzję.

- Statku nie da się uratować. Pan, panie Delancey, będzie odpowiedzialny za jego zatopienie. Każ pan Francuzom spuścić wszystkie szalupy i opuścić statek. Wszystkich więźniów wysadzę na ląd w Harwich przed wyruszeniem do Yarmouth. Za trzydzieści minut wszystko ma być gotowe do odpłynięcia.

Wrócił na swój okręt, który teraz zbliżył się znacznie do tonącego statku.

Tymczasem Delancey rozkazał Francuzom porzucić pompy i zabrać się do pakowania rzeczy. Wydał też rozkaz Hantleyowi, aby ustawił jedno z dział tak, by było wycelowane w ładownię. Obsługa działa miała stać w pogotowiu z przygotowaną amunicją, a zadaniem młodego Applebya było sprawdzenie, czy czegoś z zapasów nie należałoby ocalić, a zwłaszcza wina. Francuski bosman otrzymał rozkaz spuszczenia wszystkich szalup i przygotowania ich do przyjęcia ludzi. Po dwudziestu minutach szalonej aktywności Delancey wydał rozkaz obsłudze działa, by wypaliła w dno statku, po czym

dla pewności kazał powtórzyć salwę. Francuzom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wkrótce wszyscy w popłochu pospieszyli do swoich łodzi. Po półgodzinie Delancey znajdował się już w drodze powrotnej na *Glattona*. Barkas holował powiązane beczułki i był załadowany francuskimi zapasami. *Confiance* zatonała, kiedy *Glatton* na nowo podjął rejs. Delancey i jego ludzie zasłużyli na pochwałę kapitana. Ale pieniężnej nagrody z tytułu przyzu nie dostali.

Ten ostatni fakt nie uszedł uwagi statkowych malkontentów. Byli to prości marynarze: Mick Donovan i Paddy O'Keefe, szef kubryku Steve Collins, zdolny marynarz Sam Cox oraz Tom Battley, szczer ładowy i specjalista od prawa morskiego. Battley był kiedyś urzędnikiem parafialnym w Suffolk. Coś się tam mówiło o jakichś pieniądzach, które zginęły z puszek dla ubogich, potem coś jeszcze na temat dziewczyny z poprawczaka, która zaszła w ciążę, i o tym, że podobno spiesznie wyjechał do Londynu, skończył jako rzecznik, jeżeli nie prowodyr malkontentów na pokładzie skądinąd szczęśliwego okrętu. A teraz bardzo dużo mówił przy stole w mesie na temat nagrody pieniężnej.

- Na pokładzie *Glattona* nigdy czegoś takiego nie dostaniemy - oświadczył O'Leary. - Pływa jak stary węglowiec.

- Jest inna rzecz, jeszcze gorsza niż to - dorzucił Collins. - Kapitan nie ma tytułu szlacheckiego.

- To co w tym złego? - zapytał Sam Cox.

- Jak to, nie wiesz, ty niedouczony frajerze? - zawołał Collins. - Jeżeli jakiś kapitan chce dostać tytuł szlachecki, to będzie tak długo

napadać na większe statki francuskie, aż jakiś zdobędzie. Gwiżdże na zabitych czy rannych, jedyne, czego pragnie - to zobaczyć swoje nazwisko w „Gazette”. Kiedy wreszcie dopnie tego, zaczyna liczyć wyloty dział wroga.

Po wysadzeniu na ląd jeńców i dopłynięciu do Yarmouth *Glatton* dołączył do floty admirała Duncana przy wybrzeżu holenderskim. Trollope przywiózł tu pierwszą wiadomość o buncie w Spithead, ale powiedziano mu, żeby to zachował dla siebie. Było to posunięcie mądre, ale jak wiadomo, żadnej nowiny z natury rzeczy nie można przemilczeć za długo. Tymczasem admirał Duncan w dalszym ciągu utrzymywał blokadę nieprzyjacielskiego wybrzeża.

Przez długie tygodnie, przez długie miesiące Flota Morza Północnego pływała w rejonie Texel

czasami chroniąc się w Yarmouth przed zachodnim wiatrem sztormowym. Teraz *Glatton* stosował tę samą rutynę, a jego załoga z rezygnacją pełniła jednostajną, monotonną służbę. W dwa dni po przybyciu statku do Yarmouth zdarzyło się jednak coś, co przerwało tę monotonię. Wczesnym rankiem pojawiła się gęsta mgła, która jednakże rozplynęła się w ciepłe słoneczne. Nagle, całkiem niespodziewanie, po stronie odwietrznej okrętu admirałskiego, ukazał się mały bryg. Zjawił się nie wiadomo skąd, ale funkcję jego łatwo było odgadnąć. Gdyby zaś istniały jakieś wątpliwości, to rozwiązał je sygnał. Przyszła poczta. Z każdego okrętu podpływała łódź, by ją odebrać. W ciągu godziny stopy listów i paczek znalazły się na stole w mesie oficerskiej. Do Delanceya były adresowane tylko trzy listy: dwa rachunki i jedno pokwitowanie. Tymczasem Pringle, który otrzymał gazetę, w pewnym momencie zawołał:

- Posłuchajcie no tylko! Petycja marynarzy została podana w całości, ale tu jest najważniejszy ustęp:

„Deklarujemy swoją lojalność w stosunku do naszego władcy. Jesteśmy gotowi bronić naszego kraju, podobnie jak armia czy milicja, ale z tego też powodu uważamy, że mamy równe prawo do hojności Jego Królewskiej Mości, i dlatego, z zazdrością obserwujemy, jak ich płace wzrosły... podczas gdy o nas zapomniano”.

- Mają dużo racji i nie mogę zrozumieć, jakim cudem ministrowie mogli się zgodzić na takie faworyzowanie armii.

Delancey słuchał tego i próbował sobie wyobrazić, co się mówi na dolnym pokładzie. Całe nieszczęście polegało na tym, że gazety, przytaczając tekst petycji, nie podały niczego, z czego można by wnioskować, jaka była odpowiedź admiralicji. Marynarze mogli sądzić, że żądania Floty Kanału miały być odrzucone. Delancey nie mógł wprost uwierzyć, żeby taka odmowa była możliwa, i dlatego gorąco pragnął, by gazety zamieściły jakąś wzmiankę o rozpatrzeniu sprawy.

Jeszcze tego samego dnia kapitan Trollope przemówił do całej załogi, podając fakty dotyczące buntu zgodnie z tym, jak on sam o nich został poinformowany.

- Postępowanie marynarzy w Spithead jest bardzo niewłaściwe i bardzo nieroztropne - powiedział na zakończenie. - Niemniej jestem całkowicie przekonany, że ich słuszne żądania będą rozpatrzone i że w niedługim czasie wszyscy otrzymacie lepsze wynagrodzenia. Dopóki jednak nie będziemy mieli dalszych informacji na ten temat, apeluję o cierpliwość. Raczej dajcie dobry przykład, a nie naśladowanie w złym. Tu, w zasięgu Texel, jesteśmy przecież obserwowani przez wroga. Holendrzy mają osiemnaście okrętów liniowych z 22 fregatami i korwetami. Jest też cztery tysiące Francuzów gotowych do zaokrętowania się. Nie znamy ich planów, ale wiemy, co się stanie z waszymi domami, żonami i dziećmi, jeżeli Francuzom pozwoli się wylądować w Anglii. Jesteśmy tu po to, żeby im w tym przeszkodzić, a nie moglibyśmy mieć lepszego dowódcy niż admirał Duncan. Nigdy nie wpuścimy wroga.

Ludzie rozeszli się w spokoju, ale bez entuzjazmu.

Oficerowie wymieniali między sobą znaczące spojrzenia.

Następny zachodni wiatr sztormowy skierował z powrotem Flotę Morza Północnego do Yarmouth, gdzie przyłączyła się ona do buntu. Jedyne lojalne jeszcze okręty to były: *Venerable* (pod flagą Duncana) i *Adamant* (wiceadmirał Onslow).

Glatton zbuntował się, zanim dopłynął do Yarmouth.

Delancey dowiedział się o tym pierwszy, kiedy obudził go ściągając z koi midszypmen.

- Szybko na pokład, sir! Marynarze się zbuntowali!

Delancey zerwał się w jednej chwili, wciągnął spodnie i marynarkę, wsunął stopy w buty i złapał swoją szpadę. W ostatnim momencie włożył do kieszeni pistolet na wypadek, gdyby znalazł się bezpośrednio w jakiejś konfliktowej sytuacji. W mesie jednakże panowała dziwna cisza, choć wszyscy oficerowie już się tam zebrali, spiesznie ubrani i uzbrojeni.

- Kapitan jest na pokładzie - wyjaśnił Grant. - Nam kazał zebrać się tutaj.

W minutę później wszedł spiesznie kapitan Trollope w towarzystwie młodszego oficera, Andersona. Usiadł na głównym miejscu przy stole i ukrył twarz w dłoniach. Kiedy podniósł głowę, zobaczyli, że oblicze jego było blade i ściągnięte. Postarzał się jakby i wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Muszę wam powiedzieć, panowie, że marynarze się zbuntowali. Włamali się do kilku skrzyń z bronią i są teraz zaopatrzeni w muszkiety i amunicję. Wystawili własną wachtę przy magazynie. Nie było żadnych aktów gwałtu, ale postawili żądanie, żebym płynął do Spithead. Oświadczyłem im, że ich zachowanie jest szaleństwem, prosiłem, by wrócili do swoich obowiązków, ale cokolwiek im powiem, nie odnosi żadnych efektów. Na pokładzie znajduje się pan Hantley, jako oficer wachtowy, ale ludzie ci nie mają zamiaru

podporządkowywać się żadnym rozkazom z wyjątkiem tych, które poprowadzą ich do Spithead. W tej właśnie chwili płyniemy tym kursem; zdradziliśmy nasze dowództwo. Panowie, proszę usiąść. Chciałbym zasięgnąć u was jakiejś rady. Muszę się zdecydować na jakiś plan.

Oficerowie zasiedli wokół stołu. Światło dawała jedna jedyna latarnia, gdyż dwie pozostałe wnoszono dopiero teraz. W bladym oświetleniu rysowały się twarze o zaskoczonym, niespokojnym wyrazie.

- Jest to dla mnie bardzo smutny moment - powiedział komandor Trollope zniżonym głosem. - Nie mam władzy na swoim własnym okręcie. Wydaje mi się, że są dwie możliwości. Mogę polecić piechocie morskiej, żeby zdusiła bunt przy pomocy tych marynarzy, na których można liczyć, albo też na razie zostawić swobodę działania zbuntowanym, a później policzyć się z prowodyrami. Ja uważam, że mam te dwie możliwości, ale wy mi możecie zaprzeczyć. Czy mam dość siły, żeby odzyskać władzę na okręcie, panie Grant?

- Tak, sir. Myślę, że ma pan. Marynarze na ogół są wierni, tego jestem pewien. Bunt został wzniecony przez bardzo nieliczne, nędzne typy, przez tych, którzy przez cały czas wywierali zły wpływ na innych. Trzeba ich zakuć, a wtedy reszta powróci do swoich obowiązków.

- Dziękuję panu, Grant. Czy pan się z tym zgadza, Delancey?

- Nie, sir. Zgodziłbym się z Grantem, gdybyśmy tylko my znaleźli się w takiej sytuacji. Jednakże, jeżeli się nie mylę, jest to problem całej floty. Ludzie oczekują poparcia ze strony innych okrętów. Popieram wniosek, by płynąć do Spithead.

- Dziękuję panu, panie Delancey. Porucznik Mitchell, czy możemy liczyć na marines?

- Moglibyśmy na nich liczyć, gdyby marynarze uciekli się do gwałtu, gdyby grozili panu, sir, lub innym oficerom. Ale nic takiego nie miało miejsca. Marynarze chcą większych zarobków, a marines chcą tego także. Załoga jeszcze mi nie wymówiła posłuszeństwa. Raczej nie ryzykowałbym wydania rozkazu, którego mogliby nie wykonać. Nie sądzę, abyśmy musieli użyć piechoty morskiej przeciwko marynarzom.

- A co pan o tym sądzi, pani Pringle?

- Nasi ludzie są w większości lojalni, jak to już powiedział pan Grant, ale mają pretensje o nagrody pieniężne. Pokonali wroga w akcji, która przejdzie do historii, a nic za to nie dostali. Potem

miało miejsce zdobycie statku *Confiance*. I znowu następne rozczarowanie. To wywołało rozgoryczenie. Nasi biegli w sprawach morskich wykorzystali to skwapliwie.

- Dziękuję panu. A jakie jest pana zdanie na ten temat, doktorze Mackenzie?

- Szczerze mówiąc, sir, uważam, że marynarze byli źle wynagradzani. Nie jest to niesprawiedliwienie buntu, ale nie mogę im odmówić pewnego współczucia. Co więcej, uważam, iż będą mieli po swojej stronie opinię publiczną. Jeżeli tylko podwyższy się im płace, powrócą do swoich obowiązków. Ale oni chcą zobaczyć żywą gotówkę. Obietnice ze strony admiralicji im nie wystarczą.

- Dziękuję panu, doktorze Mackenzie. Czy jeszcze ktoś chciałby zabrać głos? No cóż, zgadzam się z panem, doktorze Mackenzie, na temat poborów marynarzy. Wyższe zarobki będą prawdopodobnie przyznane, ale to trochę potrwa. Bóg raczy wiedzieć, ile w tym czasie narobi się zła. Jeżeli chodzi o mnie, to nie mam wyboru. Muszę płynąć do Spithead, gdzie dołączymy do innych okrętów objętych buntem. Nie mogę wysadzić okrętu w powietrze, więc nie pozostaje mi nic innego do zrobienia.

Rejs do Spithead przy południowo-zachodnim wietrze, który czasami nabierał siły sztormu, trwał prawie dziesięć dni. Zawsze niełatwy do prowadzenia *Glatton* był od czasu do czasu spychany w odwrotnym kierunku i wtedy tracił w ciągu jednego dnia to, co przepłynął dnia poprzedniego. Kiedy wreszcie zarzucili kotwicę w Spithead, bunt Floty Kanałowej skończył się. *Glatton* z wywieszoną czerwoną buntowniczą flagą zwracał powszechną uwagę, stojąc na kotwicy wśród innych okrętów, z których każdy miał teraz swoją właściwą banderę. Mimo iż żaden z oficerów nie czynił uwag, czerwona flaga o zachodzie słońca została spuszczone i więcej jej już nie wciągano. Kapitan Trollope niebawem się dowiedział, iż bunt został ostatecznie zakończony dzięki odwołaniu lorda Howe ze stanu spoczynku. Miał to być jego ostatni wielki wyczyn w długiej karierze. Zaczęło się od rundy cierpliwych negocjacji, po których nastąpiła seria wyczerpujących wizyt na każdym okręcie po kolei. Wreszcie zaczęły się rozlegać głosy lojalności i zaczęto powracać do pracy, bowiem najważniejsze żądania marynarzy zostały uwzględnione. Następnego dnia po zawinięciu do Spithead - a była to niedziela - marynarzom *Glattona* pozwolono odwiedzić inne okręty. Wielu z nich przy tej okazji dowiedziało się, w jaki sposób bunt został zażegnany. Okazało się, że zakończył się on 14 maja, kiedy to delegacja marynarzy - przywódcy buntu, czyli kandydaci do zawieszenia na szaku rei, jak by wielu powiedziało - doprowadziła całą rzecz do szczęśliwego końca, uwieńczonego kolacją z samym lordem Howe. Ogłoszono amnestię i wszystko zostało wybaczone. Nie dotyczyło to jednak takich okrętów jak *Glatton*, który pozostał w stanie buntu już po ogłoszeniu aktu królewskiej łaski i wybaczenia. Rozmawiając z marynarzami z pokładów innych okrętów, buntownicy z *Glattona* zrozumieli, że znaleźli się w izolacji i niebezpieczeństwie.

Glatton przybył do Spithead na żądanie buntowników, w normalnej natomiast sytuacji nie miał tam nic do roboty. Było więc do przewidzenia, że admirał portu odprawi kapitana Trollope'a do Nore. Wiedział, że stojące tam okręty są w stanie buntu, ale zakładał, że pójdą one za przykładem Floty Kanałowej. Ludzie z *Glattona* mogli wyrzucić na nich dobry wpływ, a poza tym tylko w Nore lub w Chatham mogli spodziewać się wypłaty żołdu. Na dzień przed odpłynięciem okrętu *Batley*, rzecznik buntowników, znawca prawa morskiego, zjawił się u pana Pringle i zapytał, czy kapitan przyjmie delegację załogi. Odpowiedziano mu, że kapitan będzie rozmawiał z delegacją za godzinę. O wyznaczonym czasie jedenastu marynarzy weszło nieśmiało do dziennej kajuty, gdzie kapitan Trollope przyjął ich siedząc przy stole wraz z pierwszym porucznikiem i Dixonem, szefem służby

porządkowej, który stał tuż za nim.

- Co mogę dla was zrobić? - spytał kapitan, wstając i robiąc krok naprzód.

Batley oznajmił, że został upoważniony, by mówić w imieniu reszty.

- Pragniemy zgodnie oświadczyć, sir, że bardzo żałujemy tego, co się stało. Pozostajemy lojalnymi sługami króla i jesteśmy gotowi popłynąć na spotkanie z jego wrogami. Uważamy, iż bunt jest zakończony, i chcemy powrócić do swoich obowiązków. Zawsze żywiliśmy do pana, sir, i do naszych oficerów szacunek i pełni byliśmy miłości. Mamy nadzieję, że zostanie nam wybaczone to wszystko, co złego zrobiliśmy.

- No cóż, marynarze, myślę, że postępujecie bardzo rozsądnie. Bunt jest skończony, jak sami stwierdziliście, a wszystkie wasze usprawiedliwione pretensje zostały zaspokojone. Jeżeli wrócicie teraz do swoich obowiązków, to nie wątpię, że admirał Duncan zapomni o moim poprzednim raporcie w tej sprawie

- Dziękujemy, sir - rzekł Batley - ale czy my jesteśmy objęci aktem łaski królewskiej?

- Ściśle mówiąc, nie jesteście. Byliście w stanie buntu już po ogłoszeniu aktu łaski, ale nie wątpię, że zostaniecie potraktowani łagodnie.

- Chodzi o nasze życie, sir.

- Chodzi o bezpieczeństwo całego Królestwa. W każdym razie ja przyjmuję waszą decyzję poddania się i powrotu do pracy. Moim pierwszym rozkazem dla was jest rozkaz złożenia całej broni podoficerowi marines.

- Nie odważymy się tego zrobić, sir, to znaczy do czasu, aż będziemy pewni wybaczenia.

- W takim razie dalej jesteście w stanie buntu i znajdujecie się w niebezpieczeństwie większym niż kiedykolwiek.

- Bardzo mi przykro, sir. Przedyskutuję tę sprawę z innymi delegatami, a potem przedstawimy naszą sytuację załodze. Nie sądzę, by chcieli się rozbroić, dopóki nie mamy pewności, że otrzymamy wybaczenie. W każdym innym wypadku poddajemy się pod pańskie rozkazy, sir.

Na próżno kapitan protestował; wreszcie oddalił delegację i zwrócił się niezadowolony do pierwszego porucznika:

- Przez chwilę wierzyłem, że skończyliśmy z tym nonsensem, tymczasem tkwimy w nim dalej.

- Wyznam, sir - powiedział Grant nerwowo - że nie mam cierpliwości do tych głupców. Gdybym miał Batleya w kajdankach, reszta nie sprawiałaby nam kłopotu.

- A jakie jest pańskie zdanie? - zwrócił się kapitan do podoficera żandarmerii.

- No cóż, ja bym nie powiedział, że naprawdę Batley jest przywódcą. On jest tylko od gadania. Ci, na których trzeba mieć oko, to Donovan i Collins, jeżeli wolno mi doradzić, sir. Cox jest postrachem, wszyscy się go boją. Batley bardziej niż inni. Ośmielam się sądzić, że Collins ma duży wpływ nawet na Coxa. To jasne, że Batleya trzeba będzie trzymać w zamknięciu, zanim się sprawy nie załatwi, ale on więcej gada, niż robi.

- Wiem, sir, że niektórzy z oficerów zgadzają się ze zdaniem podoficera żandarmerii. Ja sam uważam, że Batley jest niebezpieczny. W tym facecie jest coś cholernie bezczelnego. Nic określonego, nic, co dałoby się podciągnąć pod wykroczenie objęte kodeksem wojennym. W nim jest jakieś ukryte zuchwalstwo. Jeszcze go zobaczymy na stryczku.

- Nie mogę przedsięwziąć teraz nic, co mogłoby sprowokować jeszcze jeden bunt, i to gorszy. Proszę posłać po pana Delanceya. Chciałbym usłyszeć jego zdanie.

Grant wydał rozkaz. Przez chwilę dyskusja przycichła. Gdy Delancey zameldował się, kapitan

Trollope opowiedział mu, co się zdarzyło.

- Co pan o tym sądzi, panie Delancey? Czy mamy aresztować prowodyrów już teraz?

- Wątpię, czy byłoby to rozsądne, sir. Jak dotąd zachowywali się względnie spokojnie, a mają poparcie załogi. Czas na działanie będzie moim zdaniem wtedy, gdy posuną się za daleko. Wtedy załoga przejdzie na naszą stronę.

- A czy oni posuną się za daleko?

- Myślę, że tak. Bunt w Nore będzie prawdopodobnie bardziej gwałtowny. Jeżeli oni pójdą za przykładem innych okrętów, nasi ludzie zwrócą się przeciwko nim.

- Co pana skłania do tego, by sądzić, że rzeczy przybiorą gorszy obrót w Nore?

- Dwie sprawy, sir. Najgorsi rekruci, jakich mamy, to urzędnicy miejscy i państwowi, którzy nie znaleźli roboty w Newgate, oraz ludzie z niewielkim wykształceniem. Wszystkich ich wysłano z Londynu w dół rzeki, aby się zaciągnęli na okręty w Chatham albo Sheerness. I właśnie teraz ci buntownicy w Nore mogą zablokować stolicę i w ten sposób sprawić, więcej kłopotu niż flota bazująca w Portsmouth. Batley i jego przyjaciele mogą uciec się do gwałtu, gdy się dowiedzą, co dzieje się w Nore. Mogą się stać jeszcze bardziej niebezpieczni, kiedy usłyszą, że bunt został stłumiony i że ich godzina minęła.

- Ale zdławienie buntu takich typów może nie być łatwą sprawą.

- Na pewno nie będzie to łatwe, sir. Ale rząd ma bicz w swoim ręku. Może odciąć dostawy żywności i wody na okręt.

- To prawda, panie Delancey. A więc sądzi pan, że powinniśmy poczekać?

Tak więc głos Delanceya przeważył, a Grant z trudem potrafił ukryć swoje zniecierpliwienie. Miał własne zdanie, jak należałoby rozprawić się z buntownikami. Nie brał pod uwagę jednego - do jakiego stopnia kariera kapitana Trollope'a zależała od zachowania spokoju. Zdarzało się, iż oficerowie, których ludzie zbuntowali się, nie otrzymali już nigdy więcej dowodzenia. Jednym z nich był sir John Colpoys. Byli też oficerowie, tacy jak Bligh, którzy powrócili do czynnej służby, ale za którymi zawsze szła zła sława. Natomiast karierę Trollope'a wieńczyły wciąż nowe sukcesy. Był to znakomity oficer, o czym wszyscy wiedzieli. I nie można było wprost uwierzyć, że cokolwiek by mogło mu się nie udać, czy też przeszkodzić w chlubnym zakończeniu tej kariery. Co by się jednak stało, gdyby jego załoga się zbuntowała i wysadziła go na brzeg? Wiele innych znakomitych karier tak się właśnie zakończyło. Ale czy mogło to

stanowić jakąś pocięchę? Trollope był człowiekiem, który nigdy nie poniósł porażki. Należał do tych, którzy w sumie dobrze sobie radzili i którzy przy odrobinie szczęścia mogli dochrapać się stopnia kontradmirała ze stanowiskiem na lądzie. Jedno jedyne potknięcie mogło teraz wszystko zniweczyć. W tej chwili znajdował się u szczytu swoich możliwości. Był człowiekiem z przyszłością, tryskającym energią, a przy tym z wielkim doświadczeniem. Dla kogoś tak ogromnie ambitnego myśl o możliwości zwicnięcia kariery, i to z powodu grupy nicponi i drobnych przestępców, była zbyt bolesna, by ją rozważać. Równie ambitny, choć ze znacznie skromniejszymi perspektywami, Delancey umiał zrozumieć stosunek Trollope'a do buntowników. Grant podchodził do tej całej sprawy inaczej. Był oburzony sytuacją, jaka się wytworzyła, i pragnął jak najszybciej przywrócić dyscyplinę. Doszło między nimi do spięcia w mesie, wymiana słów była jednak względnie spokojna. W pełni świadomy tych napięć Trollope rozładowałby sytuację, wprowadzając okręt do bitwy. Niestety nie zanosilo się na to, choć był to powód, dla którego należało wyprowadzić okręt w morze.

Glutton odplynał nazajutrz, ale zanim dotarł do północnego przyładka, zaczęło dmuchać z północnego zachodu. W końcu kapitan Trollope rzucił kotwicę w Downs, by czekać na pomyślny wiatr. Tymczasem zaskoczyła go tam gęsta, lepka mgła. Gdy podplłynęła do nich jakaś łódź przybrzeżna przywożąc jajka i masło, zapytano kobietę, która znajdowała się na tej łodzi, o nowiny.

- Generał Grey wprowadził swoich żołnierzy do Chatham i Sheerness - zawołała. - Buntownikom już nie wolno wychodzić na brzeg. - Marynarze, którzy to usłyszeli, zrozumieli, co to znaczy. Potem mgła stała się jeszcze gęstsza i żadne już łodzie nie przyplłynęły do nich z brzegu. Kapitan Trollope zżymał się na opóźnienie,

chodząc tam i z powrotem po galerii na rufie. Grant natomiast rozdzielił załozę zadania.

W tym czasie Delancey, który miał wachtę, wyczuł jakieś podniecenie wśród niektórych marynarzy. Nie było to nic uchwytnego, nic, o czym mógłby złożyć raport, ale przewidywał jakieś kłopoty. Wkrótce, jak tylko okręt stanął na kotwicy, wysłano na brzeg łódź, która po powrocie pozostała przy burcie okrętu z dowódcą wiosłarzy na pokładzie. Patrząc ze swego stanowiska zastanawiał się, dlaczego nie podniesiono jej jeszcze na pokład. Potem przypomniał sobie, że był plan, aby utrzymywać straż przy wiosłach. Rozkaz ten wycofano z powodu mgły. Czując się w tej sytuacji dość nieswojo, zszedł na dół do swojej kajuty, wziął pas z pistoletami, sprawdził spłonki i wsunął pistolety za pasek od spodni.

Znalazszy się znowu na pokładzie zaczął się niespokojnie przechadzać tam i z powrotem. Gdy popatrzył za burtę okrętu, stwierdził, że mgła jest ciągle tak samo gęsta. Z daleka, z głębi okrętu dochodził odgłos pracujących pomp. Gdzieś z tyłu, z pokładu innego okrętu dobiegało szczekanie psa. Słyszając głosy na dolnym pokładzie, wszedł do przedniego luku i zatrzymał się w połowie trapu, patrząc przed siebie i nasłuchując. Sześciu czy ośmiu marynarzy skupiło się dokoła jakiegoś przedmiotu, którego nie potrafił zidentyfikować. Było to coś w rodzaju paczki. Żadne zarządzenie nie zostało naruszone, powrócił więc na pokład rufowy z ciągle napiętą uwagą.

W kilka minut później zobaczył grupę ludzi, prawdopodobnie tę samą co poprzednio, wchodzącą na pokład dziobowy. Gdy spowiała ich mgła, zaczął cicho iść za nimi. Kiedy dotarli do kotbelki na bakborcie, nagle zaczęli się kłócić. Biegali tam i z powrotem, wykrzykując i wymachując rękami. Nagle rozległ się dziki krzyk, a w następnej

chwili jakieś ciało zwijając się groteskowo wyleciało za burtę i spadło z głośnym pluskiem w wodę. Zaraz potem rozległo się głośne wołanie: „Człowiek za burtą!”, powtórzone przez kilka głosów. Cała grupa została teraz otoczona przez innych marynarzy, którzy nadbiegli spieszenie z kubryku, i wszyscy skierowali się w stronę rufy, do trapu na lewej burcie. Kiedy to się stało, Delancey znajdował się w połowie prawoburtowego trapu, prowadzącego na pokład dziobowy. Zszedł na dół z innymi i zauważył, że kilku marynarzy miało za pasem pistolety. Najwyraźniej zdążyli do barkasu. Ale nigdy do niego nie dotarli. Ci, którzy szli na przedzie, stanęli jak wryci, bo nagle wyrósł przed nimi Grant, który zjawił się nie wiadomo skąd. Wśród idących z tyłu zaczęła się jakaś szamotanina, rozległy się przekleństwa. W końcu wszystko przycichło. Ciszę, jaka zapanowała, przeszył strzał z pistoletu. Batley, który szedł na przedzie grupy, zachwiał się, a potem z głuchym łoskotem runął na pokład. Leżał targany konwulsjami, kiedy Grant stanął przed nim z dymiącym pistoletem. Mała strużka krwi zaczęła się sączyć w kierunku szpigatu. Jeden czy dwóch marynarzy zrobiło taki gest, jakby chcieli podnieść Batleya.

- Zostawić go tam, gdzie jest - rzucił ostro Grant. - Stać w miejscu! - Trzymał ludzi na muszce swojego drugiego pistoletu. - Wszyscy jesteście aresztowani za bunt. Zastrzelę tego, który się ruszy. -

Żołnierz piechoty morskiej, stojący jako wachtowy u wejścia na bakbort, uniósł swój muszkiet, sprawdzając jednocześnie, czy jego kolega z prawej burty zrobił to samo.

W tym momencie dwóch czy trzech marynarzy poderwało się, jakby chcieli uciekać w kierunku dziobu, sądząc, że ich nikt nie widzi. Gdy odwrócili się, znaleźli się twarzą w twarz z Delanceyem, który stał za nimi z wymierzonymi pistoletami. „Stać w miejscu!” - zawołał. Jakiś chłopak wyszedł na pokład z przedniego luku i z otwartymi ustami zaczął gapić się na rozgrywającą się przed nim scenę.

- Sprowadź no profosa, chłopcze - zawołał Delancey - i jeśli znajdziesz, któregoś z marines!

Chłopak pobiegł i znowu zapanowało milczenie; przerwał je Delancey:

- Ci, którzy są uzbrojeni, rzucić broń na pokład - rozkazał.

Przez chwilę wydawało się, że rozkaz ten nie zostanie wykonany, ale nagle rozległ się odgłos czterech padających jeden po drugim pistoletów. Batley związał się boleśnie, jęcząc. Ale Grant nie zwracał na to uwagi.

W pewnym momencie gdzieś z tyłu rozległ się głos Collinsa.

- Niech pan posłucha, panie Grant, jakiś człowiek jest za burtą i chcieliśmy go ratować. Nie możemy przecież pozwolić, żeby utonął, sir.

Grant chciał właśnie coś odpowiedzieć, kiedy tuż obok niego stanął kapitan Trollope ze szpadą w dłoni.

- Za burtą nie ma nikogo - powiedział. - To tylko kukła.

Do wartowników z marines zawołał: - Strzelać do każdego, który się poruszy!

Upłynęła cała długa minuta w pełnej napięcia ciszy, przerywanej jedynie skamleniem Batleya.

- O Boże! - jęczał cicho. - O Boże, o Boże!

Wkrótce zjawił się na pokładzie profos z dwoma kapralami i kilkoma marines.

- Zakuć tych ludzi w kajdanki za usiłowanie buntu - rzekł Grant z ciągle jeszcze przygotowanym do strzału pistoletem. Kiedy dokonywano aresztowania, zameldował kapitanowi Trollope'owi bardzo formalnie: - Muszę donieść, sir, że bunt na pokładzie *Glattona* został zlikwidowany.

ROZDZIAŁ 3

Sąd wojenny

Batley nie umarł, w każdym razie nie zaraz. Kula przeszła obok serca, utkwivszy we wnęce płucnej po prawej stronie, skąd nie można jej było usunąć. Poza tym kula wprowadziła ze sobą szczątki ubrania, co spowodowało gangrenę. Dogorywał prawie przez tydzień, chociaż na dzień czy dwa odzyskał przytomność. W tym czasie mgła się podniosła, wiatr powiał ze wschodu, tak że *Glatton* wszedł do ujścia Tamizy i w końcu zarzucił kotwicę w Nore. Batleya zabrano na brzeg, do szpitala marynarki wojennej w Sheerness, gdzie zmarł następnego dnia. Jego współnicy, a było ich szesnastu, zostali umieszczeni na statku *Eagle*, okręcie-więzieniu, by tam oczekiwać na sąd wojenny. Piątego czerwca kapitan Trollope złożył raport z wydarzeń, które miały miejsce w Downs, i poinformował, że wszelkie zamieszki na pokładzie *Glattona* zostały zdławione i panuje dyscyplina. Było to właściwie zgodne z prawdą. Stało się oczywiste, że bunt w Nore dobiegł końca. Kilku lordów z admiralicji, z samym lordem Spencerem na czele, zjechało do Sheerness przywożąc ze sobą uzupełnioną wersję królewskiego przebaczenia. Wyjaśnili jednakże, że nie zamierzają pójść na żadne inne ustępstwa. Kilka okrętów odcięło się od zbuntowanej floty, czyli tak zwanej „pływającej republiki”. Niektóre z nich popłynęły w górę rzeki, a inne schroniły się pod osłonę przybrzeżnych

baterii w Sheerness. Buntownicy stracili zapal, tylko kilka mało skutecznych pocisków wystrzelono w kierunku *Glattona*, kiedy pod regulaminową banderą

wszedł na miejsce zakotwiczenia floty. Jedną po drugiej czerwone flagi ściągano w dół, aż wreszcie Richard Parker, przywódca buntowników, został 14 czerwca aresztowany. Bunt wygasł. O fakcie tym natychmiast powiadomiono gabinet i króla Jerzego III. Należało jeszcze na nowo zaprowadzić we flocie dyscyplinę. Miało to potrwać lata całe.

Wielu marynarzy w ciągu najbliższych tygodni stanęło przed sądem, a wśród nich i ludzie z *Glattona*, oskarżeni o bunt i próbę dezercji. Zabrakło im człowieka, który zawsze był ich rzecznikiem, ale Collins okazał się niezłym jego zastępcą. W obronie własnej i swoich współtowarzyszy twierdził, że ich, niewłaściwe zachowanie zostało objęte królewskim ułaskawieniem, a incydent w Downs nie podpadał pod pojęcie buntu. Zostali uwolnieni od głównego zarzutu, a postawieni w stan oskarżenia wyłącznie za usiłowanie dezercji. Każdy otrzymał rok ciężkich robót, ale i ten wyrok został zawieszony. Odesłani z powrotem do marynarki, rozproszeni po różnych okrętach, cieszyli się, że uniknęli gorszego losu. Jednakże wyrok na buntowników z *Glattona* miał nieprzewidziany skutek. Jeżeli nie byli oni w stanie buntu w dniu aresztowania, to należało założyć, że Batley był równie niewinny jak oni, a więc został zabity, jak z tego wynikało, w czasie próby dezercji. I tak zrodził się zarzut przeciwko Grantowi o zabójstwo lub nawet morderstwo. Obowiązek wyjaśnienia zaistniałej sytuacji spadł na kapitana Trollope'a.

- Nie umiem panu powiedzieć, jak mi jest przykro - oznajmił - ale admirał Buckner uważa, że nie mamy żadnej innej możliwości. Musi pan stanąć przed sądem wojennym.

- Czy uważa pan, że jest to sprawiedliwe, sir?

- Nie mogę tego powiedzieć. Ale chciałbym, żeby pan na to spojrzął z jego punktu widzenia.

Przywódcy buntu w Nore zostali

potraktowani bardzo surowo. Wielu z nich powieszono. Członkowie sądu uznali, że ich obowiązkiem jest uczynić z tego sprawę precedensową. Kto może mieć im to za złe? Wszystko to wywołało oburzenie wśród opozycyjnych członków parlamentu. Pojawiły się krytyczne komentarze w prasie i nieprzyjemne interpelacje w Izbie Gmin. Spowodowało to pewne złagodzenie wyroków w ostatnich rozprawach sądowych, widać też wyraźną tendencję wykazania, że procedura sądowa była uczciwa. Szczególnie wyżsi oficerowie pragną udowodnić, że sprawiedliwość była bezstronna zarówno w stosunku do marynarzy, jak i oficerów. Przemilczenie pańskiej sprawy mogłoby przysporzyć marynarce złej sławy. Takie jest ogólne mniemanie. Zaczęłyby się komentarze, że ludzie z niższego pokładu zostali powieszani za mniejsze wykroczenia, podczas gdy oficerowie funkcyjni mogą robić, co im się podoba.

- A więc mam być kozłem ofiarnym...

- Nie powinien pan tak myśleć. Jestem przekonany, że zostanie pan uniewinniony.

- Mogę zostać uniewinniony, ale złożony w ofierze. Jeden z dowódców wysadzony na brzeg przez swoją załogę już się zastrzelił.

- Tak, wiem o tym.

- A kto będzie oskarżał, sir?

- Technicznie rzecz biorąc - ja. Jednakże powołam jeszcze jednego kapitana do pomocy, tym bardziej że mam wystąpić również w charakterze świadka.

- Musi pan zdawać sobie sprawę, sir, z niebezpieczeństwa, jakie mi grozi. Bunt łatwiej zdusić w zarodku. Ale może się zdarzyć, iż kiedy bunt wybucha, oficer, który zorientuje się w sytuacji, strzela

do przewodry. W ten sposób bunt zostaje zażegnany, zanim się roznieci. W rezultacie oficer oskarżony jest o morderstwo. W swojej obronie podkreśla on, że jego działanie zapobiegło rewolcie. Gdyby

nie jego inicjatywa, okręt dostałby się we władanie buntowników i zostałby uprowadzony do wrogiego portu. Ale jak on to teraz może udowodnić? Możemy udowodnić powagę sytuacji tylko wtedy, gdy pozwolimy, aby bunt się rozpałił, to znaczy, żeby zamiast jednego zabitego było dwudziestu. Jeżeli zdławi się bunt w samym zarodku, to zostaje się bez dowodu, że coś takiego miało miejsce.

- Nie muszę panu mówić, że rozumiem to doskonale, ale powiem jedno: jestem pewien, że lepiej będzie dla pana być sądzonym i uniewinnionym niż stać się przedmiotem plotek i komentarzy.

- Czy przysługuje mi prawo do obrońcy prawnego?

- Tak. Oczywiście. Uważam jednak, że nie warto go brać. Może pan powołać do pomocy w obronie jednego z kolegów-oficerów.

- Dziękuję, sir. Zrobię tak. Czy pan sądzi, że urzędowy obrońca nastawiłby sąd przeciwko mnie?

- No cóż, skoro pozostawia się oskarżenie laikowi, to niektórzy członkowie sądu mogliby się dziwić, dlaczego również i obrony nie powierza się drugiemu laikowi. Słyszałem już taką wypowiedź.

- Rozumiem, sir, i usłucham pańskiej rady.

- Niech się panu nie zdaje, że mi się to wszystko podoba, Grant. Dałbym nie wiem co, żeby się to nie wydarzyło. I kiedy będę spełniał swój obowiązek, mam nadzieję, że oskarżenie nie będzie w stanie dowieść winy. Co więcej, jeżeli już musi się odbyć sąd nad panem, to życzyłbym sobie, aby odbywał się on przed cywilnym sędzią i ławą przysięgłych. Po tym strachu, jakiego im napędzono w Chatham, i po szkodach wyrządzonych na brzegach przez buntowników, wątpię, czy uważaliby, że jest to sprawa, którą należy rozdmuchiwać. Na sesji wyjazdowej w Maidstone byłby pan uniewinniony nawet bez konieczności angażowania obrony. Jednakże musi się odbyć sąd wojenny i muszę panu powiedzieć z głębokim żalem,

że jest pan aresztowany. Jest to oczywiście zwykła formalność, ale nie mam żadnego innego wyjścia.

Po tej przykrej rozmowie Grant udał się do kajuty Delanceya. Powtórzywszy mu z grubsza, co powiedział kapitan, rzucił z wahaniem:

- Wiem, że nie jesteśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi. Nie zawsze też zgadzaliśmy się z sobą w sprawach służbowych. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale przyszedłem do pana, żeby wyrazić szacunek dla pana wiedzy i rozsądku. Czy pomoże mi pan przeprowadzić moją obronę?

Delancey przez chwilę milczał, po czym odparł:

- Będę szczęśliwy, jeżeli uda mi się zrobić w tej sprawie wszystko, co tylko potrafię. Ale myli się pan, myśląc, że jestem ekspertem w procedurze sądowej. Nigdy nie brałem udziału w sądzie wojennym poza jedynym wypadkiem - kiedy sam byłem świadkiem, a i to miało miejsce parę lat temu.

- Mimo to nie mogę sobie wyobrazić nikogo lepszego.

- No więc dobrze. Zrobię wszystko, co tylko będę mógł. Co więcej, przez przypadek mam tu na swojej półce książkę, która może się okazać użyteczna.

Delancey znalazł odpowiedni egzemplarz i pokazał Grantowi stronę tytułową, na której widniał

napis: „Traktat o zasadach i praktyce morskich sądów wojennych” - Johna McArthura. Grant popatrzył na książkę ze zdumieniem.

- Kto to jest John McArthur? - spytał.

- Były rzecznik w Ameryce Północnej, a potem sekretarz lorda Hooda. Książka została wydana pięć lat temu i opisuje procesy do 1791 roku. Teraz przestudiuję je od nowa. Ale dobrze będzie, jeżeli najpierw wynotuję sobie najważniejsze fakty. Proszę dokładnie mi opowiedzieć, co się zdarzyło piątego czerwca. To była niedziela, prawda?

- Tak. Urzędowe urodziny króla. Ale musieliśmy je obchodzić dzień przedtem.

- Właśnie. Okręt stał na kotwicy w Downs. Czy pan miał konkretne powody, aby oczekiwać jakichś kłopotów?

- Nie mniej niż każdego innego dnia od czasu, gdy zaczął się bunt. Jednakże odniosłem wrażenie, że jest to okazja, która się zdarzy teraz lub nigdy. Mam na myśli prowodyrów.

- Z powodu mgły, oczywiście?

- Tak. I na skutek wiadomości z Nore, że bunt prawdopodobnie się kończy.

- A więc miał pan przy sobie broń?

Zapisując jedną kartkę po drugiej, Delancey zaczął konstruować linię obrony.

*

Na pokładzie *Glattona*, zaczęły się dni przygotowań. Napięcie rosło. Przebywający w areszcie Grant otrzymywał posiłki w swojej kajucie, a na pokładzie ukazywał się w określonych godzinach. W mesie oficerowie uważali, żeby nie robić jakichkolwiek aluzji do zbliżającego się procesu, ale właśnie unikanie tego tematu czyniło ich rozmowy koturnowymi i jakby sztucznymi. Przed wyznaczonym dniem przyływało i odpływało wiele łodzi, miało miejsce wiele spiesznie odbywanych konferencji, na których wydawano w ostatniej chwili różne instrukcje.

Atmosfera stała się jeszcze bardziej napięta, gdy ów dzień - 11 czerwca 1797 roku - nadszedł wreszcie. Wagę wydarzenia podkreślał fakt, że wszystko było wyczyszczone, wypolerowane, że założono kolorowe relingi przy schodni, a tu i tam paradowali ubrani na

biało midszipmeni i zapięci na ostatni guzik marines. Należało jeszcze ustalić wiele ważnych punktów programu, związanych z ceremoniałem. Kiedy spytano Pringla, czy bębny mają wybijać marsza, zawołał:

- O, nie! Tylko nie marsza. To jest zarezerwowane dla admirała. Wiceadmirałowi mają być oddane następujące honory: warta kapitańska, salut wszystkich oficerów i trzy werble bębna.

Potem zaczęli przybywać kapitanowie, niektórzy wprost ze swoich okrętów, stojących na kotwicach, inni w łodziach z doków lub wreszcie z Sheerness. Pojawienie się każdego z nich było anonsowane dźwiękiem piszczałek. Wszystkich ceremonialnie witano przy głównym wejściu. Punktem kulminacyjnym było pojawienie się paradnej łodzi wiceadmirała. Zabrzmiała trąbka, a warta otrzymała rozkaz: „Bacność!” Kiedy łódź przybiła do okrętu, marynarze podnieśli wiosła w powitalnym geście. Kiedy sir Thomas Pasley wszedł na pokład - zagrały piszczałki, warta sprezentowała broń, zabrzmiały bębny, opuszczono szpady, a ręce uniosły się w powitalnym salucie. Na fokmaszcie załopotała bandera. Jasne teraz było, że za chwilę zbierze się sąd.

Niezależnie od wszystkiego na pokładzie została przygotowana bardzo obszerna kajuta. W końcu okręt ten był pierwotnie statkiem handlowym Towarzystwa Wschodnioindyjskiego. Duży stół nakryty zielonym sukniem zajmował prawie całą długość kabiny. Na przewodniczącego oczekiwał piękny, rzeźbiony fotel z wybitym aksamitem siedzeniem i złotymi frędzlami. Został on wypożyczony ze

stocznici. Po obu stronach prezydyjnego stołu stało dziesięć foteli. Były one mniej strojne, ale też okazałe. Dla innych obecnych z urzędu wystarczyły zwykłe krzesła z oficerskich kajut. Natomiast dla rzecznika oskarżenia przeznaczony był miękki fotel obity skórą.

Blisko wejścia ustawiono kilka ław dla publiczności, wiadomo bowiem było, że zjawi się paru dziennikarzy, z których jeden przybył aż z Londynu. Drzwi otworzył na oścież sierżant piechoty morskiej, który miał pełnić rolę woźnego sądowego. Teraz członkowie sądu z wyszukaną obojętnością weszli na salę. Błękitne mundury były nieskazitelnie czyste, złote galony lśniły w świetle padającym z bulajów na rufie. Peruki były śnieżnobiałe, połyskiwały rękojeści szpad.

- Usiądźmy, panowie - powiedział komandor sir Erasmus Gower, rzuciwszy okiem na zegarek. Sam dał przykład, zajmując swoje miejsce po prawej stronie przewodniczącego, podczas gdy komandor Stanhope usiadł po lewej stronie fotela przewodniczącego. Inni dowódcy także zajęli miejsca według starszeństwa. Spoza drzwi dobiegały jakieś odgłosy, tam już publiczność czekała na to, co się miało rozpocząć.

Po chwili drzwi się rozwarły z rozmachem i sierżant piechoty morskiej zaanonsował ukazanie się admirała przewodniczącego. Wszyscy obecni powstali i wszedł sir Thomas z podążającym za nim rzecznikiem oskarżenia, panem Mosesem Greethamem. Po wymianie ukłonów sir Thomas zajął swoje miejsce, w czym usłudźnie dopomógł mu jakiś młody oficer. Rzecznik oskarżenia udał się na koniec stołu po prawej ręce przewodniczącego, gdzie jego urzędnik położył przed nim kilka oprawnych w cielecą skórę tomów. Członkowie sądu znowu usiedli. Na skinienie głowy przewodniczącego zajmujący miejsce na drugim końcu stołu pan Pringle pospieszył do drzwi i wydał jakiś rozkaz midszypmenowi. Po chwili gdzieś ponad głowami wypaliło działo. Wszyscy obecni wiedzieli, że jest to sygnał, iż podniesiono flagę na znak, że rozpoczął się sąd wojenny.

Admirał przewodniczący odczytał rozkaz admiralicji powołujący ten sąd. Wrócił pan Pringle i położył na stole przed przewodniczącym szpadę Granta. Potem drzwi otwarły się znowu i wszedł Grant, eskortowany przez egzekutora sądowego admiralicji, pana Johna Cricketta. Stał za barierką twarzą zwracając się do sądu. Teraz dopiero pozwolono publiczności wejść do środka. Niektórym wskazano miejsca, inni zaś musieli stać w tyle. Po ustaleniu tożsamości Granta rzecznik oskarżenia przeczytał akt oskarżenia, a następnie stwierdził, że zarówno prokurator, jak i oskarżony wyrazili prośbę, by sprawa została przedstawiona przez kolegów oficerów. Oficerowie ci zostali z kolei zaakceptowani przez sąd.

Jak dotąd Delancey stał daleko z tyłu po lewej stronie przewodniczącego, a komandor Osborne, z ramienia prokuratury, po jego prawej. Teraz każdy z nich wysunął się do przodu i złożył ukłon sądowi. Natychmiast, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, otrzymali stoliki i fotele, Delancey patrzył z boku na Osborne'a - niskiego, szczupłego mężczyznę o twarzy koloru pergaminu i bystrym spojrzeniu. Było coś mściwego w tym spojrzeniu, jakby już z góry powziął decyzję, że skazanie Granta będzie czymś zasłużonym i przyniesie zaszczyt oskarżeniu. Pocąc się i czując niezwykle zdenerwowanie, Delancey powiódł po obecnych tu znakomitościach spojrzeniem pełnym szacunku. Onieśmiał go nawet wiek i doświadczenie jego antagonisty. Powiedział sobie jednak ostro, że musi spełnić swój obowiązek, że rozprawa się zaczęła i należy wziąć się w garść.

Rozprawa ruszyła wreszcie z trudem. Ustalono podstawowe fakty poprzez stawianie proceduralnych pytań. Jeżeli chodzi o ocenę ogólnej sytuacji na *Glattonie* w okresie poprzedzającym dzień 5 czerwca, to trzeba przyznać, wśród świadków panowała całkowita zgodność. Na pokładzie okrętu panował bunt, wyrażający się nie poprzez akty gwałtu, ale po prostu przez odmowę

wykonywania

niektórych rozkazów kapitana. Bunt przejawiał się również przez żądanie załogi, aby okręt udał się do Spithead zamiast pozostać pod flagą admirała Duncana. Potem, gdy okręt zawinął do Spithead, załoga zachowywała się poprawnie, ale w dalszym ciągu odmawiała oddania broni, do posiadania której doszła w sposób nielegalny. A więc praktycznie biorąc była jeszcze ciągle w stanie buntu, kiedy okręt stanął na kotwicy w Downs. Był wtedy w drodze na Nore, ale przeciwny wiatr, jaki go zaskoczył w czasie rejsu, a potem mgła przeszkodziły mu w wejściu do ujścia Tamizy. Były to fakty niezaprzeczalne. Sąd zadał sobie natomiast trud, by ustalić stopień gęstości mgły, ograniczenia widoczności i warunki wietrzne, jakie wtedy panowały. W jakiej odległości od brzegu zarzucił *Glatton* kotwicę? Czy mogły być widoczne inne okręty? Jeżeli chodzi o te wszystkie pytania, świadkowie byli najzupełniej zgodni w swoich oświadczeniach. Z kolei wezwano jako świadka oskarżenia kapitana Trollope'a. Miał on odpowiadać na pytania komandora Osborne'a. Teraz atmosfera, która dotychczas była swobodna, nagle stała się napięta.

- Czy mógłby pan, kapitanie, powiedzieć sądowi, dlaczego wziął pan kurs na Nore?

- Działiałem w myśl rozkazu admirała portu w Portsmouth.

- Czy ten rozkaz został panu wyjaśniony?

- Tak jest. Przede wszystkim okręt *Glatton* przeszedł pod dowództwo admirała Duncana i gdyby nie bunt, płynąłby pod jego flagą. Moim obowiązkiem było połączyć się z nim, jak tylko stanie się to możliwe.

- Ale to z pewnością wymagało popłynięcia do Yarmouth lub do Texel.

- Tak, sir. Moja załoga jednakże miała pretensji z powodu nie wypłaconego jej przez piętnaście miesięcy żołdu. Mogli go otrzymać tylko w Chatham, gdzie okręt został skierowany. Biorąc kurs na Nore, w drodze do Yarmouth w efekcie solidaryzowałem się z jednym z bardziej usprawiedliwionych żądań załogi.

- Dziękuję panu, sir. A więc zgodziłby się pan z twierdzeniem, że dalszy bunt z uciekaniem się do gwałtu, co do tamtego momentu nie miało miejsca, byłby mało prawdopodobny w czasie rejsu okrętu do Nore?

Delancey zerwał się z miejsca.

- Panie admirale przewodniczący, muszę zaprotestować przeciwko temu pytaniu, którego celem jest sprowokowanie świadka do wyrażenia swojej opinii.

Po krótkiej, prowadzonej szeptem wymianie zdań z wyższymi rangą kapitanami przewodniczący nie uchylił pytania, jednakże interwencja Delanceya była dla Trollope'a ostrzeżeniem. Kiedy pytanie zostało powtórzone, odpowiedział na nie z wielką rozważą.

- Załoga żądała należnego jej żołdu, jednakże prowodyrzy buntu mieli powody do obaw, że oni i tylko oni poniosą karę, jak to się już zdarzyło wielu innym. Można przypuszczać, że niektórzy z nich mieli powód do zastosowania gwałtu.

Komandor Osborne był wyraźnie niezadowolony. - Czy zechciałby pan, kapitanie, opisać wydarzenia piątego czerwca, tak jak pan je widział?

- W połowie pierwszej „psiej wachty”...

- Czy mógłby pan być bardziej dokładny, sir?

- Kilka minut po piątej posłyszałem jakby jakieś zamieszanie na pokładzie. Dobiegły mnie niewyraźne krzyki, które zostały przerwane odgłosem strzału. Posłałem mojego boya z rozkazem do marines, aby stawili się natychmiast w pełnym rynsztunku. Sam wydobylem szpadę. W którymś

momencie rzuciłem okiem na morze po lewej burcie. Zdaje się, że po to, by sprawdzić, czy mgła ciągle jeszcze była gęsta. Zobaczyłem pływającą na wodzie, odrzuconą przez fale kukłę z drzewa i płótna. Potem wszedłem na pokład rufowy z towarzyszącym mi marine, który stał przedtem przy drzwiach mojej kajuty. Zobaczyłem grupę marynarzy i stojącego przed nimi pana Granta z pistoletem w ręku. Jakiś marynarz leżał ranny na pokładzie.

- Co się wydarzyło potem?

- Jeden z marynarzy zawołał, że za burtą jest człowiek, że należy go ratować. Odparłem, że nikt nie wypadł za burtę, że to tylko kukła. Rozkazałem marines - a było ich trzech łącznie z tym, który stał przy mnie - żeby strzelali, jeżeli ktoś się poruszy. W minutę lub dwie później przyszedł dowódca marines i aresztowani marynarze zostali sprowadzeni na dół.

- Czy pan Grant powiedział coś panu?

- Tak, sir. Złożył mi raport, że bunt na *Glatttonie* został zlikwidowany.

- Czy miał na myśli bunt ostatnich tygodni, czy też rozumiał pan, że chodzi o wydarzenia tego dnia?

Delancey zerwał się znowu.

- Uważam, sir, że pytanie to jest niewłaściwe w formie. Świadek nie mógł wiedzieć, co oskarżony miał na myśli.

Kiedy sprzeciw został uwzględniony, Osborne wyglądał na zbitego z tropu.

- To już ostatnie pytanie. Słyszeliśmy od innego świadka, że ranny marynarz - lub raczej szczur lądowy - Thomas Batley został potem przeniesiony do izby chorych. Czy to zostało zrobione na rozkaz pana czy też pana Granta?

- Na mój rozkaz, sir.

- Dziękuję panu, kapitanie.

Teraz kapitan Trollope został poddany krzyżowemu ogniovi pytań Delancey'a.

- Co pan powiedział panu Grantowi, kiedy ten zwrócił się do pana zaraz po pańskim wejściu na pokład?

- Powiedziałem: „Dobra robota”. Pomyślałem wtedy i wierzę w to teraz, że postąpił absolutnie właściwie.

- Czy zechciałby pan powiedzieć sądowi, sir, co pan sądzi o panu Grant jako oficerze?

- Myślę, że jest on jednym z najlepszych pierwszych poruczników, jakich kiedykolwiek znałem. Jest dobrym marynarzem, umiejącym utrzymać dyscyplinę oficerem, człowiekiem, którego odwaga została sprawdzona w bitwie, ogólnie lubianym przez kolegów i powszechnie podziwianym przez załogę.

- Dziękuję panu, sir. Nie mam więcej pytań.

Następnie składali zeznania inni świadkowie - lekarz okrętowy, profos, sierżant marines, wolontariusz drugiej klasy, bosman i dowódca barkasu. Wszystko, co się wtedy wydarzyło, zostało teraz dokładnie odtworzone, zresztą bez większych sprzeczności w zeznaniach. Materiał dla oskarżenia został zamknięty i Delancey wezwał Granta do złożenia zeznań. Jednocześnie oświadczył sądowi, że nie powołuje żadnych innych świadków z ramienia obrony. Grant podszedł do miejsca przeznaczonego do składania zeznań i zanim zwrócił się do sądu, złożył przysięgę.

- Jest pan pierwszym porucznikiem na okręcie Jego Królewskiej Mości *Glatttonie*, czy tak?

- Tak, sir.

- Od jak dawna odbywa pan służbę w tym charakterze?

- Odkąd okręt ten został wcielony do floty wojennej w 1795 roku.

- Czy ma pan coś do dodania do tego, co sąd już usłyszał na temat wydarzeń poprzedzających piątego czerwca?

- Nie, sir.

- Czy zechce pan opowiedzieć sądowi własnymi słowami, jaki był pana udział w wypadkach tego dnia?

- *Glutton* był na kotwicy w Downs, w drodze ze Spithead do Nore. Niepomyślny wiatr przeszkodził nam w żegludze, a potem spadła mgła. Po otrzymaniu wiadomości, że bunt w Spithead skończył się, a w Nore prawdopodobnie kończy się także, podejrzewałem, żeownicy buntu wśród naszej załogi mogą się uciec do aktów gwałtu, czując, że zaczynają tracić dotychczasową władzę. Dlatego też byłem szczególnie czujny, zwłaszcza że mgła mogła uniemożliwić interwencję lojalnych okrętów.

- I z tego powodu miał pan przy sobie broń?

- Wszyscy oficerowie byli uzbrojeni w tym czasie.

- Oczywiście - rzucił Delancey z narastającą pewnością siebie. - Czy zechce pan teraz powiedzieć sądowi, sir, jak doszedł pan do przekonania, że grozi jakieś niebezpieczeństwo?

- Trudno mi to wyjaśnić. Było niezwykle poruszenie, szepty, ludzie rzucali ukradkowe spojrzenia, choć starali się zachowywać na pozór normalnie. Pierwszy porucznik potrafi wyczuć kłopoty. Tak mi się zdaje. Podczas pierwszej „psiej wachty” rozległ się krzyk. Później powiedziano mi, że było to wołanie: „Człowiek za burtą”, ale wtedy nie wydawało mi się to niczym innym, jak jakimś niezrozumiałym odgłosem. Znajdowałem się na pokładzie rufowym, ale pobiegłem do wejścia na bakbort.

- Czy mogę zapytać dlaczego, sir?

- Ponieważ znajdował się tam spuszczone już na wodę barkas. Stan pogotowia w porcie często wymagał użycia łodzi.

- Zrozumiałe. A potem? - spytał Delancey, starannie unikając naprowadzenia Granta.

- Usłyszałem i zobaczyłem grupę ludzi biegnących od kubryku w kierunku rufy. Niektórzy z nich byli uzbrojeni. Na czele znajdowali się ci, których rozpoznałem jako prowadzących buntu. Wyciągnąłem dwa pistolety, jakie miałem za pasem. Ujrzawszy mnie, ludzie ci przez moment zawahali się. Celując starannie wypaliłem do człowieka, który był na przodzie. Upadł na pokład. Innych aresztowałem za udział w buncie.

- Ranny został Thomas Batley?

- Tak, sir.

- A jakie, pańskim zdaniem, były zamiary ludzi, których on prowadził?

- Nie mam żadnych wątpliwości, że zamiarem ich było opanowanie okrętu i zabicie lub uwięzienie oficerów.

- Czy wiatr był pomyślny do wzięcia kursu na Holandię, gdyby zamiarem ich było uprowadzenie okrętu do jakiegoś nieprzyjacielskiego portu?

- Tak, sir. Wiał wiatr północno-zachodni.

- Później dowiedział się pan, że buntownicy...

Tym razem odezwał się komandor Osborne:

- Protestuję, sir, przeciwko stwierdzeniu przez pana Delanceya tego, co ma dopiero udowodnić. Byłoby bardziej właściwe, gdyby w odniesieniu do tych ludzi używał pan określenia „dezercerzy”.

- Pozwalam sobie zauważyć, sir - odparł Delancey, nieco zbity z tropu - że większość marynarzy, łącznie z tymi, o których mówię, była już wtedy od wielu dni w stanie buntu.

- Zgadzam się - rzekł admirał - ale oszczędziłoby to kontrowersji, gdyby mówiąc o tej grupie ludzi używał pan określenia „malkontenci”.

- Z radością przyjmuję ten termin - rzekł Delancey z ukłonem. - Czy mogę kontynuować?

Admirał skinął potakująco głową.

- Później dowiedział się pan, panie Grant, że malkontenci mieli

plany związane z tym barkasem. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że wtedy jeszcze pan o tym nie wiedział. Czy teraz uważa pan, że planowali raczej dezercję niż bunt?

- Nie, sir. To, co zrobili lub zamierzali zrobić, wiązało się z próbą zdobycia innego, być może mniejszego statku zakotwiczonego w pobliżu. W każdym innym wypadku niepotrzebna by im była broń. Zdobyć statku, które mieli w planie, byłoby następnym aktem buntu, a może nawet piractwa.

- Ale nie posiadamy żadnego dowodu istnienia takiego planu, prawda?

- Nie, sir. Ukręcenie głowy całej sprawie pozbawia nas dokładnego rozeznania, jakie były intencje.

- Dziękuję panu, panie Grant, więcej pytań nie mam.

Teraz komandor Osborne poddał świadka krzyżowemu ogniowi pytań.

- Czy nie popełnię błędu, jeśli przyjmę, panie Grant, że traktował pan Batleya jako spiritus movens buntu?

- Był głównym rzecznikiem buntowników i równie dobrze mógł być ich przywódcą.

- A czy w pana przekonaniu był przywódcą?

- Nie mam możliwości stwierdzenia tego.

- Ale sądzi pan, że był on niebezpiecznym człowiekiem?

- Tak.

- Sądził pan, że gdy zabraknie Batleya, na okręcie zapanuje normalna dyscyplina?

- Na *Glattonie* panuje teraz dyscyplina.

- Bez wątplenia. Ale czy pan był tego pewien piątego czerwca, to znaczy, czy był pan pewien, że śmierć tego jednego człowieka położy kres buntowi?

Teraz Delancey interweniował.

- Protestuję, sir, przeciwko tej linii badania, które zmierza do

tego, by osaczyć oskarżonego. Pan Grant już powiedział, dlaczego wtedy strzelił. Strzelił, żeby zapobiec bezpośredniemu aktowi gwałtu, który, jak miał wszelkie powody przypuszczać, mógł mieć miejsce.

Nastąpiła mała przerwa, po czym admirał odezwał się powoli:

- Dopuszczam to pytanie. Oskarżony musi na nie odpowiedzieć.

Pytanie zostało więc powtórzono, a Grant odparł:

- Nie dlatego do niego strzeliłem, iż miałem go za złego człowieka. Strzeliłem do niego, gdyż przewodził grupie, która chciała dokonać aktu gwałtu.

- A więc nie wziął go pan na cel jako człowieka niebezpiecznego?

- Nie, sir.

- Nie przyszło panu do głowy, że ci ludzie po prostu próbowali zdezerterować z okrętu?

- Nie mogę tego podważyć jako werdyktu innego sądu wojennego. Wówczas jednak nie miałem o tym pojęcia.

- Ale wiedział pan, że przy trapie spuszczone jest barkas?

- Tak, sir. Nawet gdybym wtedy wiedział, że ci ludzie są raczej potencjalnymi dezertkami niż buntownikami, moim obowiązkiem było również zapobieżenie dezercji.

- Do obowiązków pańskich należało więc aresztowanie, indagowanie, badanie, oskarżenie, sądzenie, potępienie, a nawet zabicie tego człowieka, i to w tak krótkim czasie, jaki był potrzebny na naciśnięcie spustu?

Delancey zerwał się z miejsca, ale admirał okazał się jeszcze szybszy, mówiąc:

- Oskarżony nie musi odpowiadać na to pytanie.

Badając Granta po raz drugi, Delancey zadał mu następujące pytanie:

- Gdyby pan pragnął pozbyć się tego człowieka jako osobnika, który miał zły wpływ na resztę załogi, to czyż nie zgodziłby się pan z tym, że jego dezercja rozwiązałaby pański problem równie dobrze jak jego śmierć?

- Tak jest - przyznał Grant. - Jednakże powtarzam, że wystrzeliłem do człowieka, który przewodził awanturnikom. Fakt, że miał on zły wpływ na innych, był zwykłym zbiegiem okoliczności.

To zamknęło zeznania oskarżonego. Admirał popatrzył na zegarek i uznał, że sąd debatował już dostatecznie długo. Powstał i oświadczył:

- Wydaje mi się, że jest to odpowiedni moment, by zakończyć posiedzenie sądu w dniu dzisiejszym. Sąd jest odroczony i zbierze się w tym samym miejscu jutro o dziewiątej rano.

Po tym oświadczeniu inni członkowie sądu też powstali, złożyli ukłony przewodniczącemu i zaczęli się rozchodzić. Rozległ się gwar rozmów. Reporterzy spieszenie udali się na brzeg. Niektórzy kapitanowie powrócili na własne okręty, inni zaś zgodzili się pozostać na wspólnej kolacji. Trzech spośród nich miało kolację z komisarzem stoczni. Na pokładzie *Glattona* Delancey znowu rozmawiał z Grantem. Powiedział mu, że bardzo dobrze składał swoje zeznania, ale on sam prywatnie martwi się tą sytuacją i ma wiele obaw co do ewentualnego werdyktu.

Nazajutrz dzień był bezchmurny. Na *Glattonie* odbył się znowu ten sam rytuał. Jedynym efektem, jaki ten sąd wojenny wywołał, było zwrócenie powszechnej uwagi na okręt, na którym rozprawa się odbywała. W czasie trwania procesu znalazł się on w centrum krytycznej uwagi oficerów flagowych, rywalizujących z nim kapitanów, pierwszych oficerów, a nawet publiczności. Tym surowym

egzaminem zostały objęte nawet wszystkie łodzie, które do *Glattona* podpływały. Mundury marynarzy nie były na ogół jednakowe - miały tylko być czyste, schludne, a przy tym odpowiednie do pracy na morzu. Inaczej było z załogami łodzi. Nosiły one jednakowe uniformy na koszt swoich kapitanów. Każda łódź była przy tym pięknie wymalowana, z motywem złotego liścia na dziobie i na rufie. Poszczególne załogi zachowywały własny styl, a wszyscy wiosłarze byli wyćwiczeni, by podnosić na powitanie wiosła prosto w górę, kiedy łódź dobijała do trapu. Przyglądając się z podziwem tej ceremonii, Delancey pomyślał z nadzieją, że być może jest jednak jakieś źdźbło prawdy w powszechnym przekonaniu, iż ludzie, którzy potrafią zachować się elegancko na paradzie, będą dobrzy i w bitwie. Sądząc z tego, co widział, każdy z tych ludzi powinien być tygrysem w akcji. Ale czy była to prawda? Połowa z tych marynarzy całkiem niedawno brała udział w buncie. Niektórzy cudem uniknęli stryczka. To prawda, teraz, w ten słoneczny ranek, wyglądali imponująco,, ale fakt pozostawał faktem: ten cały blichtr nie wykluczał nielojalności. Odpędził od siebie te myśli i poszedł, by zająć swoje miejsce w salonie, gdzie sądził się już prawie w komplecie. Znowu rozległ się dźwięk piszczałek, oznajmujący przybycie ostatniego kapitana. Dziesięć minut później admirał przewodniczący zajął swoje miejsce i poprosił o ciszę.

- Panowie! - rozpoczął. - Podczas wczorajszych obrad wysłuchaliśmy wszystkich zgłoszonych świadków, kończąc na zeznaniu oskarżonego, który został powołany jako świadek obronny. Wzywam teraz oficera oskarżającego, by zwięźle przedstawił nam akt oskarżenia.

Kiedy komandor Osborne wstał, zwracając się do sądu, Delancey rzucił baczynym okiem na siedzących kapitanów i próbował

odgadnąć jaki będzie ich werdykt. Praktycznie rzecz biorąc, byli to ci sami ludzie, którzy niedawno skazali na śmierć Richarda Parkera. Teraz mieli okazję wykazać swoją bezstronność. Doprowadzeni do wściekłości pierwsi porucznicy nie mogą samowolnie zabijać buntowników: trzeba takich oficerów postawić przed sąd, ogłosić wyrok odpowiednio sformułowany i powiesić z całym należnym ceremoniałem pod żółtą flagą. Patrząc na te twarze Delancey pomyślał, że sprawa Granta została z góry przesądzona i jest już przegrana. Osborne tymczasem robił sprawne podsumowanie zeznań, przedstawiał historię buntu i opisywał, w jaki sposób doszło do zastrzelenia Batleya. Nie popełnił żadnego błędu - nie oczerniał Granta, raczej usiłował wykazać, że nawet dobry człowiek może popełnić przestępstwo. Daleki był również od tego, by przegiąć pałkę w drugą stronę i przedstawiać Batleya jako męczennika szlachetnej sprawy. Był bardzo ostrożny (niestety) w przedstawianiu faktów, czasu i dat, nie dając Delanceyowi okazji i powodu do interwencji.

Słuchając tego zręcznego i przekonującego monologu, Delancey bezwiednie dotykał książki McArthura i machinalnie przerzucał jej kartki. Nagle coś zwróciło jego uwagę. Zaczął czytać uważniej. Po chwili przeczytał po raz drugi. Czyżby się mylił? Czy to była właściwa odpowiedź? Założył dwa ustępy kawałkiem papieru i usiadł ze zmarszczonym czołem. Jeżeli miał rację, to jak się to stało, że nikt inny tego nie widział? Jak mógł adwokat sądowy przeoczyć tak ważny punkt? Z wysiłkiem wrócił do chwili obecnej i znowu zaczął się przysłuchiwać bezlitosnemu podsumowywaniu faktów przez Osborne'a.

- Nie nakłaniam sądu, by uznał Batleya za lojalnego obywatela i doskonałego marynarza. Nie mówię, że nasza marynarka poniosła wielką stratę. Nic z tych rzeczy. Gdyby żył dłużej, być może musiałby

się poddać wymiarowi sprawiedliwości i ponieść najwyższą karę. Przez cały czas, gdy odbywał służbę na *Glattonie*, miał zły wpływ na załogę. Świadczyły o tym zeznania podoficera służby porządkowej. Wiemy też, że Batley był mało użyteczny, że był bezczelny, że robił wszystko, co mógł, by łamać dyscyplinę w taki sposób, by pozostać przy tym w zgodzie z literą prawa. Nie można powiedzieć, by kiedykolwiek uderzył wyższego oficera lub nie wykonał wydanego mu rozkazu. Nie kradł, nigdy też nie stwierdzono, że był pijany. Zazwyczaj raczej innych zachęcał do niewłaściwego zachowania, podczas gdy sam pozostawał w tyle. Nie nakłaniam sądu, by wylewał łzy nad tym człowiekiem, chcę tylko panom uświadomić, że na każdym okręcie jest taki człowiek i że każdy taki typ jest zniechęcony przez młodszych oficerów. Sprytnie pomyślany bunt na *Glattonie* nie był wyjątkiem. Podczas jego trwania przyszedł moment, kiedy Batley musiał wystąpić z odkrytą przyłbicą. W okresie otwartego buntu wysunął się na czoło. Kiedy bunt stracił rację bytu, kiedy wszystkie rozsądne żądania zostały uwzględnione przez naszego łaskawego władcę, Batley zrozumiał, że godzina jego władzy mija. Kiedy spowity w mgle okręt stanął na kotwicy, kiedy barkas był tuż za burtą, kiedy brzeg znajdował się nie opodal, on i jego współnicy postanowili zdezerterować. Ten okrzyk: „Człowiek za burtą!” - to był pomysł Batleya. Dzięki temu mieli łatwiej przeprowadzić swoje plany. Wtedy rzucenie się całej grupy do łodzi mogło się wydać czymś całkowicie naturalnym i usprawiedliwionym. Ale kiedy nadeszła chwila, by zdobyć łódź, ci

otumanieni ludzie znaleźli się twarzą w twarz z niestrudzonym, czujnym i nieustraszoną pierwszym porucznikiem. Czy rzucili się na niego, wymachując bronią, którą mieli w rękach? Czy zawołali na pomoc swych towarzyszy marynarzy?

Czy zachowali się cynicznie, powtarzając swój fałszywy okrzyk: „Człowiek za burtą”? Nie. Niczego takiego nie zrobili. Zawahali się, zawstydzeni jak dzieci, które się odkryje w sadzie, jak złodzieje, których przyłapie się na gorącym uczynku. Nie mieli pojęcia, co zrobić, gdzie podziać oczy. Ich mały spisek został odkryty i oczekiwały ich przykre konsekwencje.

Proszę teraz popatrzeć na sytuację z punktu widzenia oskarżonego. Wysłuchaliśmy zeznań, które świadczą o tym, że jest to pod każdym względem wspaniały oficer. Ze swojej strony świadectwa te z radością akceptuję. Jest on dumny ze swego okrętu; brał ostatnio udział w bitwie, o której nikt z nas nie zapomni. Jest również dumny z oficerów i podchorążych, jak też z dobrze wyszkolonej i zdyscyplinowanej załogi. Znowu spogląda z dumą na białe pokłady okrętu, na świeżą farbę, na pięknie posplatane liny, na połyskującą stal i wypolerowany brąz. Rozglądając się dokoła, my także jesteśmy pewni, że znajdujemy się na pokładzie pięknego okrętu. Teraz proszę sobie wyobrazić, co to znaczy mieć świadomość, że taki statek i jego załoga miałyby nagle zostać skażone przez małą grupę awanturników będących zarzewiem buntu, źródłem infekcji, z którego zaraza rozprzestrzenia się na zewnątrz, by wszystko zniszczyć. Dla dobrego oficera, dla takiego człowieka jak oskarżony samo istnienie dysydenckiej grupy było afrontem. Drażniło jak smoła rozlana na nieskazitelnie czysty pokład szanćowy. Prowodyrem był właśnie Batley. Piąty czerwca to był dzień, kiedy doszło do jawnych rozruchów. Podobno aż dwudziestu ludzi usiłowało zdezerterować. Mogło to sprawiać wrażenie buntu, zaplanowanej próby wzięcia w swoje ręce okrętu. Teraz wiemy, że tak nie było, że ludzi zamieszanych w tę awanturę było za mało, by tego dokonać, choć muszę przyznać, że zamieszki te mogły sprawiać wrażenie buntu z użyciem

gwałtu. Przeciwno temu przemawia jednak fakt, że gwałtowność tego wystąpienia zmalała, gdy ukazał się pierwszy porucznik. A kiedy ci szaleńcy się zawahali, wystarczyłoby jedno słowo, by ich uspokoić. Tymczasem oskarżony oficer, pan Grant, podniósł pistolet i nacisnął spust. Przywódca tej dysydenckiej bandy, Batley, legł u stóp oskarżonego. Nie jest to łatwe zadanie oskarżać tak dobrego oficera, jakim jest pan Grant. Czy możliwe jest, by Batley padł ofiarą? Czy pan Grant dał się zwieść pokusie? Nie będę twierdził, że jestem tego pewien. Przypuśćmy, że przez pana Granta nie przemówiła złość, tylko głęboka troska o okręt. W Batleyu było źródło zła, które należało unicestwić, zrobił więc to, co wydawało się konieczne. Wielu z nas powiada sobie w duszy, że postąpiliby tak samo. Wszyscy, być może, zgadzają się z tym, że śmierć Batleya nie była wielką stratą dla nas. Ale fakt pozostaje faktem, najważniejsze w tej sprawie jest to, że niewłaściwy czyn, jakiego dopuścił się Batley, nie jest przestępstwem gardłowym. A gdyby nawet, to wyrok śmierci musiałby zostać wydany przez sąd wojenny, a nie przez jednego oficera. Oczywiście można by zwrócić mi uwagę, że Batley był także winny usiłowania dezercji. Tak jest. I został przyłapany na dezercji. Gdyby był w łodzi, gdyby usiłował odpłynąć, strzał do niego byłby usprawiedliwiony, nawet gdyby okazał się śmiertelny, zapobiegłby bowiem dezercji. Ale sytuacja wyglądała inaczej. Pomysł porzucenia okrętu został zaniechany. Ludzie ci właśnie stali z głupimi minami, kiedy padł strzał. Bez względu na to, jak wielka jest nasza życzliwość dla oskarżonego - sam także wyrażam tu swoje najgłębsze zrozumienie - to jednak nie możemy dopuścić, aby zapanowało przekonanie, że pozwalamy na to, by w ten sposób wprowadzać dyscyplinę. Choć sprawia mi to ból, jest moim obowiązkiem prosić

sąd o uznanie oskarżonego winnym.

Komandor Osborne usiadł.

Delancey wiedział już, że sprawa została przegrana, jeżeli chodziło o ten sąd. Osborne sformułował akt oskarżenia niezwykle zręcznie, starając się dać wyraz uznania dla Granta jako oficera. Swoje końcowe sformułowanie oparł na formule prawa. Nie było możliwości zastosowania skutecznej obrony, aczkolwiek bardziej przychylnie usposobiony sąd mógłby prawdopodobnie wydać inny werdykt. Miał tylko jedną kartę do rzucenia, ale nie był całkiem pewny, czy okaże się ona atutem. Podjął szybko decyzję wstając z pozorną pewnością siebie, gdy wezwano go do końcowego wystąpienia:

- Panie admirale przewodniczący! Z prawdziwą troską muszę w tej chwili zwrócić uwagę na pewną czysto prawniczą stronę zagadnienia, którą właściwie należało przedyskutować wcześniej, to znaczy na początku rozprawy. Jest moim obowiązkiem spytać w imieniu oskarżonego, czy sąd ten w ogóle jest w mocy rozpatrywać tę sprawę.

Nastąpiła nagle zmiana nastroju. Zdawać się mogło, że niemal słyszy się, jak obecni wstrzymywali oddechy. Przewodniczący popatrzył surowo na Delanceya, jakby ten rzucił bluźnierstwo, godzące w sąd. Adwokat sądowy był jeszcze bardziej zaskoczony, a twarze starszych kapitanów pokryły się purpurą. Sir Thomas Pasley przemówił z ogromną powagą:

- Mam nadzieję, że porucznik Delancey zdaje sobie sprawę z wagi tego, co teraz oświadczył. Mam też nadzieję, że nie chce nadużywać czasu tego sądu na rozpatrywanie lekkomyślnych wniosków. Niemniej sędzę, że jest moim obowiązkiem wysłuchać tego, co ma do powiedzenia. Może pan kontynuować, Delancey. Spodziewam się, że nie zajmie nam to wiele czasu.

- Dziękuję, sir. Zgodnie z zeznaniami, które tu słyszeliśmy, Tom Batley został ranny z pistoletu, a strzał ten padł na pokładzie

okrętu. Z innych zeznań wiemy, iż zmarł on właściwie na lądzie, to jest w Sheerness. Gdyby śmierć jego nastąpiła w tym czasie, gdy był na okręcie, pan Grant podlegałby jurysdykcji sądu wojennego. Jednakże Batley zmarł na lądzie, co przenosi sprawę jego śmierci pod jurysdykcję sądów cywilnych. Przykłady takich spraw są jednoznaczne. Kiedy Richard Davis zabił Johna Liddela Palmera na pokładzie *Euridice* w 1783 roku, stanął on przed sądem wojennym, ponieważ ofiara zmarła na morzu. Ale kiedy porucznik Osmond pchnął sztyletem Richarda Tucknera w 1782 roku, a ranny zmarł w szpitalu w Haslar, to rozprawa miała miejsce w tym hrabstwie, gdzie nastąpił zgon. Kwestia jurysdykcji w takich sprawach została określona, jak wnoszę, przez statut 2 GEO II C. 21: „Kiedy jakaś osoba zostanie w sposób zbrodniczy ugodzona na morzu, a umrze z powodu tego ciosu w Anglii, to winny tego zbrodniczego czynu musi być postawiony w stan oskarżenia w hrabstwie, gdzie nastąpił zgon”.

Zapanowała martwa cisza, którą wreszcie przerwał przewodniczący sądowi admirał:

- Czy mogę pana zapytać, panie Delancey, dlaczego pan nie postawił tego wniosku, gdy rozprawa się zaczynała?

- Ponieważ, sir, dopiero przed chwilą punkt ten zwrócił moją uwagę. Nie jestem prawnikiem z zawodu.

Usłyszawszy to, adwokat sądowy, który był przecież prawnikiem, zaczął się naradzać z admirałem przewodniczącym.

Po chwili przewodniczący obwieścił przerwę. Obrady podejmie się za godzinę. Gdy sąd zebrał się ponownie, przewodniczący admirał złożył krótkie i ostateczne oświadczenie:

- Zgodnie ze statutem 2 GEO II C. 21 sprawa zostanie przekazana władzom cywilnym w

hrabstwie Kent. Ten sąd zostaje rozwiązany.

Rozległ się gwar rozmów. Wiele nieprzyjaznych spojrzeń padło na osobę oficera obrońcy. Kapitan Trollope podszedł jednak i uściśnął dłoń Delanceya.

- Z pewnością zdobył pan sobie jako prawnik uznanie. To była naprawdę dobra robota!

Grant był ogromnie wzruszony i wdzięczny.

- Podstawił pan nogę Osbornowi pięć przed dwunastą. Co za zdumiewające przedstawienie! - wykrzyknął. - Mówiono mi już, że nie ma wątpliwości co do tego, jaki będzie wyrok na lądzie.

Nawet sir Thomas Pasley miał dla niego ciepłe słowo:

- No cóż, Delancey, pański kolega miał szczęście, że w roli jego obrońcy wystąpił pan. Niektórzy starsi oficerowie mogą sądzić, że jest pan przemądrzały, ale ja się z tym nie zgadzam. To my powinniśmy znać prawo lepiej, niż znamy. Mam jednakże nadzieję, że któregoś dnia usłyszę, że pan okazał równie dużo zręczności i taktyki w walce z wrogiem.

Trollope zapewnił o dzielności Delanceya w bitwie i zakończył mówiąc:

- Spędziliśmy dość czasu na wzajemnym zwalczaniu się. Najwyższy czas, byśmy zaczęli walczyć z Holendrami!

ROZDZIAŁ 4

Burza

Jeden po drugim powracały do admirała Duncana jego okręty. Z powodu sądu wojennego *Glutton* przybył prawie ostatni. Obowiązki pierwszego porucznika przejął Ryszard Delancey jako tymczasowy zastępca Aleksandra Granta. Kapitan Trollope czuł - i nie bez powodu - że on sam był osobiście odpowiedzialny za kłopoty Granta. Dlatego uważał za swój obowiązek zabezpieczyć jego powrót do służby. Wynik rozprawy sądowej pogłębił też jego szacunek dla Delanceya. Jeżeli istniały jakieś wątpliwości, czy słusznie powierzono mu zastępstwo, to wyłącznie ze strony samego Delanceya, który raczej wolałby nabrać doświadczenia na jakimś mniejszym i bardziej typowym okręcie. Przecież najbardziej pragnął dowodzenia słupem z kimś takim jak Grant - na stanowisku pierwszego oficera. W przekonaniu Delanceya Grant był idealnym pierwszym oficerem u boku błyskotliwego, ale nieco nieobliczalnego kapitana Trollope'a. Uważał, że on sam nie jest nawet w połowie tak dobry jak tamten. Kiedy *Glutton* znalazł się w zasięgu flagowego okrętu Duncana, Delancey zaczął rozmyślać o swoich obowiązkach, które wiązały się z jego nowym, choć tylko tymczasowym stanowiskiem. Miał teraz jeden czy drugi przywilej, na przykład był zwolniony z wacht, otrzymał też położoną najbliżej rufy kajutę na prawej burcie. W kajucie jego wisały klucze do prochowni, ukryte w miejscu znanym tylko innym porucznikom. Klucze te mogły być wręczone wyłącznie dowódcy baterii. Na zewnątrz kajuty wisały klucze do składów

gospodarczych. Można by powiedzieć, że wszystko to symbolizowało ogrom odpowiedzialności i ciężar różnorodnych i skomplikowanych obowiązków. Do Delanceya bowiem należało wystawianie wacht, posterunków obserwacyjnych i rozkładów alarmowych, wyznaczanie całej załódze miejsca pracy na pokładzie, w bitwie i w czasie odpoczynku. To on był odpowiedzialny za to, by tak dobrać skład każdej wachty, każdej obsługi dział, żeby zachować równowagę między doświadczeniem a ignorancją, między młodością a podeszłym wiekiem. Musiał obserwować marynarzy podczas pracy i w akcji, notując sobie w myśli, który z nich zasługuje na awans. Musiał mieć sokołe oko i zauważyć każdy defekt, zarówno przetartą linę, jak też łuszczącą się farbę. Musiał przyjąć zasadę Granta, że nie ma żadnych tłumaczeń. Na pokładzie rufowym powinien być uosobieniem marynarskiej dyscypliny,

człowiekiem dokładnym, precyzyjnym, wyrażającym się jasno i zwięźle. Gdy zaszła potrzeba, musiał być twardy jak głaz, pewny siebie, pogodny i odważny. Mając więcej odwagi i przytomności umysłu na własny użytek niż to konieczne, powinien użyć tych cech ludziom ze swego otoczenia, obdzielając ich tą pewnością siebie tak, jakby posiadał niewyczerpane jej zapasy. Powinien być wszędzie, znajdując właściwe słowo dla każdego człowieka na pokładzie - dla jednego zachęty, dla drugiego nagany. Czasami może się uśmiechnąć tam, gdzie się oczekuje od niego reprimendy. W rzadkich wypadkach powinien udać, że czegoś nie widzi, i patrzeć w inną stronę. Ale jego głównym zadaniem, ogólnie rzecz biorąc, będzie utrzymywanie doskonale przygotowanego, bezbłędnie funkcjonującego, walczącego mechanizmu. Wszystkie zasoby materialne musiały być przygotowane tak, by można z nich było korzystać w każdej chwili, a wszystkie zasoby

ludzkie zatrudnione tak, by przynosiły jak największe korzyści przez cały dzień i noc. Pełniąc te wszystkie obowiązki, Delancey musiał umieć w ułamku sekundy wejść w nową rolę. W momencie gdy Trollope zjawiał się na pokładzie, umiał usunąć się na bok i zająć pozycję lojalnego podkomendnego. W chwili gdy wchodził do mesy oficerskiej, Delancey stawał się po prostu pierwszym wśród równych sobie, gotów nawet śmiać się z dowcipów na własny temat. Oczywiście, że taka miara równości nie wystarczała, bowiem do jego obowiązków należało ponadto występowanie w roli mediatora, jeżeli pojawiały się najmniejsze choćby oznaki niezgody. Jego interwencja mogła być konieczna w razie nieporozumień między oficerami funkcyjnymi: głównym nawigatorem, działomistrzem, bosmanem czy żaglomistrzem. Każdy z nich był człowiekiem ważnym, dowódcą swego działu. Musiał też mieć na oku młodych dżentelmenów, śledzić ich postępy w nawigacji, w sztuce żeglarskiej, musiał umieć szybko zareagować, gdyby któryś z nich próbował prześladować kolegów. Te i sto innych powinności spadało zazwyczaj na pierwszego oficera, z tym że na *Glattonie* istniały dodatkowe, specyficzne problemy. Nie został on zbudowany jako okręt wojenny, a w dodatku posiadał nietypowe uzbrojenie. Miał za małą załogę do obsługi dział, chociaż przy stołach w mesie było dość tłoczno. Sam Delancey mógł być traktowany jak ktoś tymczasowy, jak zastępca Granta, który niebawem miał powrócić. Wszystkie codzienne prace i ćwiczenia były ustalone przez Granta i Delancey wiedział, że każda zmiana napotka sprzeciw. Słowem, pozycja jego była pod bardzo wielu względami nie do pozazdroszczenia. Od samego początku wiedział, że gdyby nawet zrobił wszystko jak najlepiej, to i tak jeszcze nie byłoby wystarczająco dobrze.

Delancey musiał przy tym pamiętać, że *Glatton* był częścią floty w ścisłej formacji, stojącej w obliczu wroga. Jego pierwszym obowiązkiem, i to ważniejszym niż wszystkie poprzednio wyliczone, było utrzymanie pozycji okrętu i obserwacja sygnalizacji z okrętu admirałskiego. Ponieważ flota holenderska była podobno gotowa do wypłynięcia, admirał Duncan trzymał swoje siły w ustalonym szyku, w którym wszystkie okręty miały określone miejsca i odstępy. Każdy błąd któregośkolwiek okrętu byłby zauważony przez pozostałe i napiętnowany ostrzegawczym sygnałem z okrętu flagowego. *Glatton* zajął swoje miejsce w linii, ale uważany był za okręt niższej rangi, gdyż miał mniej oficerów i midszipmenów. Wypatrywanie sygnałów było ciężkim zadaniem; należało to do obowiązków midszipmena na każdej wachcie. Oficer sygnalizacyjny musiał mieć zawsze pod ręką Biblię na wypadek, gdyby sygnał opierał się na którejś z ksiąg, którymś rozdziale lub wierszu. Duncan był człowiekiem zbyt religijnym, żeby nadużywać w tym celu Pisma świętego, ale flota czasami płynęła jak dwie różne eskadry, a wiceadmirał Onslow nie miał takich zastrzeżeń i był przy tym obdarzony poczuciem humoru. Ten okręt zdobywał u niego uznanie, który odpowiadał najszybciej i odpowiednim, czyli takim samym językiem. Delancey nie był tym zachwycony, ale

jeszcze bardziej martwił się; iż cała flota znajdowała się na płytkich wodach, pomiędzy piaszczystymi ławicami u wybrzeży holenderskich, które w każdej chwili mogły się znaleźć po stronie zawietrznej. Istniało tu duże ryzyko dla każdego okrętu, a już dla nietypowo uzbrojonego *Glattona* było to ryzyko podwójne. Często nazywano go przecież pływającą trumną. Pomimo całego szacunku, jaki żywił dla kapitana Trollope'a i dla nieobecnego teraz Granta, Delancey wcale by się nie zmartwił, gdyby przyszło mu się pożegnać z *Glattone* na zawsze. Pod względem

dyscypliny załoga *Glattona* była lepsza niż inne, przeciętne. Mimo to nikt nie przypuszczał, że o buncie zapomni się po paru tygodniach czy nawet miesiącach. To, że na okręcie ciągle znajdowali się malkontenci, było oczywiste. Fakt ten Delancey odczuwał coraz bardziej w miarę upływu tygodni służby w blokadzie. Kłopoty koncentrowały się w dwóch mesach, a dotyczyły dwóch kontrastowo różnych ludzi. Jednym z nich był steward intendenta, a drugim szef kalfatażystów (tych, co uszczelniają pakułami i smołą szczeliny na okręcie). Pierwszy z nich, Thomas. Bascombe, były pomocnik piekarza, otarł się o jakąś szkołę i był bardzo wygadany. Został on jednym z delegatów na pokładzie statku *Repulse*. To, że w odpowiednim czasie poddał się, uchroniło go od sądu wojennego, ciągle jednak pamiętał ten krótki okres władzy i łudził się nadzieją, że rewolta w jakiegokolwiek bądź formie może się jeszcze wydarzyć. Zostawiony samemu sobie, był zbyt słaby, żeby robić coś więcej niż siedząc w kącie mruczeć groźby. Pod wpływem lojalnych współtowarzyszy z mesy mógłby stać się pożytecznym członkiem załogi. Niestety, dostał się pod wpływem Fullera. Jacob Fuller był postacią dość ponurą. Zaczynał swoją karierę jako marynarz na statku z Liverpoolu, który handlował niewolnikami. W czasie buntu znajdował się na *Glattone*, ale nie odegrał żadnej roli. Prawdopodobnie zachował się lojalnie w stosunku do kapitana wyłącznie dlatego, że był w złych stosunkach z Batleyem i Donovanem. Wyglądało na to, że miał zły wpływ na swoich towarzyszy z mesy, którzy się go wyraźnie bali. Jego zachowanie zdradzało zbyt wielką pewność siebie, zwłaszcza w odniesieniu do niższych oficerów, dotychczas jednak nie popełnił żadnego wykroczenia. Dowódca marinee patrzył na obie grupy z podejrzliwością, ale nie zrobił nic więcej poza ostrzeżeniem ich, bo nie byli zbyt zuchwali. Trudno sądzić, by ostrzeżenie

to wywołało jakiś skutek. Delancey wiedział, że jest kilka sposobów zapobieżenia potencjalnemu buntowi. Jeden z nich to dać ludziom coś, co zaprzątnie ich myśli, drugi - to być bezwzględny na samym początku. Im dłużej odkłada się interwencję, tym bardziej krwawo może się ona skończyć. Delancey chciał być przyzwoity w stosunku do załogi, nie odczuwał jednak skrupułów i chciał posłużyć się Fullerem i Bascombem jako przykładem dla innych w wypadku, gdyby któryś z nich zrobił jakiś nierozważny krok. Los pod tym względem poszedł mu na rękę, gdyż obaj dopuścili się zuchwalstwa wobec bosmana. Żaden nie odmówił wykonania rozkazu, żaden nie uderzył zwierzchnika, obaj jednak użyli obraźliwych słów i z tego też powodu skuto ich w kajdanki. O całej sprawie złożono raport kapitanowi, który dopiero po upływie jednego dnia przesłuchał świadków. Fakty nie pozostawiały prawie żadnych wątpliwości. Oświadczenie bosmana zostało potwierdzone przez okrętowego kaprala, ale kapitan Trollope przed powzięciem decyzji chciał zasięgnąć rady Delanceya.

- Ci dwaj ludzie to zupełnie odmienne charaktery, sir - oświadczył Delancey. - Przywódcą jest Fuller, a Bascomb to człowiek słaby, który dał się wciągnąć przez zły przykład. Proponuję, żeby ukarać Fullera, a Bascoma tylko postraszyć.

- Trudność polega na tym, że obaj popełnili to samo wykroczenie.

- To prawda, sir. Istnieje jednak, moim zdaniem, taka możliwość, że towarzysze Bascoma z

mesy mogą za niego zagwarantować.

- Bardzo dobrze. Niech pan każe botswenowi, żeby z nimi pogadał, a tymczasem każdemu po dwanaście batów.

Jeżeli chodzi o skalę kar, to różnice były ogromne w zależności od okrętu. Na niektórych panowała bardzo surowa dyscyplina, na

innych (na przykład na *Grampusie*) kara chłosty była prawie czymś nie znanym. Wśród oficerów (a jeszcze bardziej wśród ludzi z dolnego pokładu) mało było takich, którzy uważaliby, że kara taka powinna być zniesiona całkowicie. Nawet w momencie największego nasilenia buntu żądania marynarzy nigdy nie dotyczyły zniesienia „kota z dziewięcioma ogonami”. Wysadzali wprawdzie na brzeg gorliwych służbistów, ale sami używali „kota” w porachunkach z niepopularnymi midshipmenami. Do głowy im nawet nie przyszło, że tę karę można by znieść. Co więcej - wszyscy oni zdawali sobie sprawę, że życie było o wiele gorsze, kiedy się miało nad sobą zbyt pobłażliwego kapitana, wtedy bowiem lenie mogły się dekować i cała praca spadała na barki tych, którzy jej nie unikali. Niezależnie od tego istniała kwestia bezpieczeństwa okrętu. Gdyby na przykład pełniący wachtę zdrzemnął się, gdyby sternik myślał o czymś innym albo ktoś zapalił tytoń przy zwojach lin czy w składzie farb, gdyby ktoś zabrał lampę do prochowni - to wszyscy na pokładzie mogliby przypłacić to życiem. Starsi marynarze zdawali sobie z tego sprawę i sami bezwzględnie egzekwowali dyscyplinę. Inaczej jakże mogliby nauczyć młodszych, że najpierw myśli się o okręcie, a później o sobie.

Glatton był okrętem, na którym „kot” rzadko był używany. Kapitan Trollope, będąc jednocześnie ludzki i mądry, stosował inne kary. Nigdy nie zlecał chłosty za wykroczenia płynące z ignorancji lub niezamierzonej winy. Chłostą karał wyłącznie tych, którzy rozmyślnie występowali przeciwko zwierzchnikom. Zdarzało się to przeciętnie raz na miesiąc. Dwanaście lub mniej razy. Delancey wiedział, że kapitan Trollope był sprawiedliwy i ludzki, zdawał też sobie sprawę, że chłosta jest po prostu koniecznością. Nienawidził, kiedy był zmuszony oglądać ją i słyszeć krzyk karanych. Dość się już

na to napatrzył na *Artemizie*, gdzie była ona niemal chlebem codziennym. Jednakże obecnie sytuacja uległa zmianie. Poprzednio był wyłącznie niechętnym świadkiem wymierzania kary albo oficerem, którego autorytet kapitan chciał w ten sposób umocnić. Jako pierwszy porucznik stał się człowiekiem bezpośrednio odpowiedzialnym, co więcej, gdyby kapitan był nieobecny, to on musiałby przejąć komendę i wziąć na siebie wydanie wyroku. Dla człowieka wrażliwego był to ciężar, od którego ani poczucie konieczności, ani świadomość, że jest to powszechnie stosowana praktyka, nie mogły go uwolnić.

Następnego dnia, 30 sierpnia, było bardzo słonecznie i dmuchał rześki wiaterek. Flota płynęła ostrym kursem w dwóch kolumnach. Po godzinie okręty miały zrobić zwrot i płynąc w odwrotnym kierunku kontynuować swoją służbę patrolową. Przy brzegu, nie opodal Texel, znajdowały się dwie fregaty, których zadaniem było obserwowanie nieprzyjaciela. Na połowie drogi między nimi a admirałskim okrętem Duncana znajdował się kuter płynący razem z flotą, który przekazywał sygnały z okrętu na fregaty i odwrotnie. Ostatni okręt z kolumny Onslowa, *Glatton*, znajdował się dokładnie na wyznaczonym mu stanowisku. Żagle jego były precyzyjnie wybrane, pokłady białe, a na szczycie bezana powiewała niebieska flaga. Delancey, przerywając na chwilę inspekcję pokładów, stanął, by popatrzeć na drugą kolumnę. Dziesięć okrętów w idealnie prostej linii w stosunku do *Venerable* - flagowego okrętu Duncana, znajdującego się w środku. Morze było zielone, upstrzone tylko cieniami

chmur, światło słoneczne grało w żaglach, a dzioby wszystkich okrętów skryte były w pianie. Delancey uważał, że nie ma nic cudowniejszego niż takie połączenie piękna przyrody z ładem stworzonym przez człowieka. Widywał to setki razy, ale nigdy nie przestawało go to fascynować. Patrząc poprzez burtę na tę idealnie

prostą linię, zastanawiał się przez chwilę nad pomysłowością, dyscypliną i wysiłkiem, słowem - nad tym wszystkim, co sprawiło, że taka piękna formacja mogła się stać czymś możliwym. Potrzeba było pełnych trudu dwustu lat, by stworzyć flotę piękną, zorganizowaną, groźną. Rozmyślenia te przerwał midszipmen, który dotknął palcem kapelusza i rzekł:

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale za dziesięć minut trzecia wachta.

Delancey odwrócił się z uśmiechem i odparł:

- Dziękuję ci, Doyle. Daj znać dowódcy marines i pomocnikom bosmana.

I ruszył do swojej kajuty, gdzie służący wręczył mu szpadę i sczyścił drobne pyłki z oficerskiej kurtki. Kilka minut później znalazł się na półpokładzie, przed drzwiami przedniej kabiny kapitana, która służyła mu jako biuro. Zapukał i wszedł z kapeluszem pod lewą pachą. Stał na baczność i zameldował:

- Za chwilę trzecia wachta, sir.

- Dziękuję panu, Delancey. Widzę na liście tylko dwa nazwiska.

- Tak jest, sir.

Trollope zdjął z haka swoją szpadę, wziął listę i podany mu kapelusz. Delancey otworzył drzwi i usunął się na bok, a kapitan wszedł na pokład, gdzie zameldował się przed nim oficer wachtowy. Kiedy zegar okrętowy wybił sześć razy (11 rano), kapitan wydał rozkaz:

- Zebrać ludzi na rufie, żeby byli świadkami wymierzenia kary.

Midszipmen wybiegł, po czym usłyszeli głośno wydany rozkaz i rozległ się dźwięk gwizdka. Wpadli marines przepisowo ubrani i uzbrojeni w bagnety. Inni oficerowie w otoczeniu midszipmenów zajęli miejsca za kapitanem po nawietrznej stronie pokładu rufowego, zaś po stronie zawietrznej stanęli: lekarz, intendent oraz bosman

ze swymi pomocnikami. Załoga okrętu ustawiła się przed głównym masztem, ale bez szczególnego porządku.

- Zamontować greting - padł następny rozkaz.

Cieśla wraz z pomocnikami przyciągnęli dwie kraty, położyli jedną na pokładzie, a drugą oparli o burtę statku.

- Jacob Fuller! - zawołał kapitan i Fuller został wyprowadzony przez profosa.

- Jacob Fuller - rzekł kapitan tak głośno, żeby wszyscy słyszeli. - Jesteś winien niedbalstwa i używania obelżywych słów w stosunku do swego zwierzchnika, to jest do bosmana. Naruszyłeś Artykuły Prawa Wojennego, wiedząc, jaka za to grozi kara. Czy masz coś do powiedzenia?

Fuller patrzył dumnie, z pewnością siebie, ale nie odezwał się słowem.

Następny rozkaz był krótki:

- Rozbierać się!

Fuller zdjął koszulę i podszedł do krat. Na jednej stanął, na drugiej oparł uniesione rękę.

- Przywiązać go - powiedział kapitan.

Ukazali się dwaj podoficerowie ze zwojami sznura, którym przymocowali nadgarstki Fullera do kraty. Wsadzili mu też kawał skóry do ust, żeby zapobiec przygryzieniu języka.

- Przywiązany, sir - zameldowali.

Kapitanowi Trollope'owi podano egzemplarz Artykułów Prawa Wojennego. Zdjął kapelusz - wszyscy obecni uczynili to samo - i zaczął czytać:

- Artykuł dziewiętnasty. Jeżeli jakaś osoba należąca do floty będzie usiłowała podburzać innych do buntu z jakiegokolwiek powodu...

Kiedy kapitan odczytywał, starszy pomocnik bosmana otworzył czerwony sukienny worek i wyciągnął z niego „kota” z czerwoną rączką. Był to przyrząd z drewnianą rękojeścią i przymocowanymi

do niej dziewięcioma długimi na dwie stopy sznurami. Delancey pomyślał ponuro, jak niewiele szczerów lądowych zna prawdziwe znaczenie powiedzenia „wypuścić kota z worka”. „Kot”, który ma dziewięć żywotów lub raczej dziewięć biczów. Kiedy kapitan skończył odczytywać artykuł, padł rozkaz:

- Pełnijcie swoją powinność!

Pomocnik bosmana zajął miejsce po lewej stronie Fullera, twarzą do pokładu, podniósł wysoko „kota”, rozczesał jego ogony palcami, po czym z rozmachem wymierzył pierwsze uderzenie. Rozległ się głuchy trzask. Uderzenie było potężne. Została po nim ciemna smuga biegnąca poprzecznie przez ramiona Fullera. „Kot” został znowu odrzucony w tył, potem spadł po raz drugi, nieco niżej, tworząc nową, ciemną linię. Trzecie uderzenie spadło na skulone z bólu ciało człowieka tam, gdzie widniała pierwsza smuga. Ciemna linia zmieniła się w czerwoną. Czwarte było powtórzeniem drugiego. Znowu została przecięta skóra. Piąty cios spadł niżej, a szósty niemal w to samo miejsce. Teraz „kota” przejął drugi pomocnik bosmana. Tak i samo najpierw uporządkował dziewięć „ogonów” - teraz posklejanych krwią - i wymierzył siódmy cios, poniżej śladu pozostawionego przez szósty. Ostatnie uderzenie spadło tuż nad pasem Fullera. Teraz już całe plecy pocięte były w spływające krwią wstęgi. Egzekucja została zakończona, przecięto sznury krępujące dłonie Fullera i podano mu koszulę. Zabrano go na dół do izby chorych, na opatrunek. Raz jeszcze dyscyplina została uratowana i Delancey powiedział sobie, że nie było na to, niestety, innego, lepszego sposobu. Przypatrując się chłóście, jak mu się to już zdarzało wiele razy, i niemal czując mdłości, zastanawiał się, co musi przeżywać ofiara. On sam, jako chłopak, dostawał lanie sznurem lub prętem. Spadła też nieraz laska na jego grzbiet, gdy był midszipmenem. Służył z oficerami, którzy wyszli z niższego pokładu, i jeden z

nich opisywał mu mękę, przez jaką się przechodzi w czasie takiej chłosty. „Pierwsze uderzenie - mówił - zapiera ci dech w piersi, a potem każde następne jest coraz gorsze”. I dalej opowiadał, że prawdziwym piekłem są godziny oczekiwania.

Myśląc o tym wszystkim Delancey obserwował twarz Bascomba, na którego teraz przyszła kolej. Był śmiertelnie blady, ściągnięte rysy jego twarzy wskazywały, że zdaje sobie sprawę z okropności tego, co go czeka. Nie osunął się na pokład tylko dzięki temu, że okrętowy kapral mocno go trzymał. Przy każdym uderzeniu spadającego bicza Fuller skręcał się tak, jakby to on sam był smagany. Zdawał sobie sprawę, że każde uderzenie przybliży go do momentu, kiedy się zacznie jego egzekucja. Poruszał ustami, jakby się modlił o cud, który by go ocalił. Drżał gwałtownie i z jakąś straszliwą fascynacją wpatrywał się w krwawiące plecy Fullera i krew, która spływała strużkami na pokład. Dwanaście smagnień spadło w ciągu około pięćdziesięciu sekund - co było wiecznością dla ofiary, a nieskończonością dla tego, co miał przeżyć to po nim.

Teraz padło nazwisko Bascomba. Dowódca marines popchnął go do przodu. Stał teraz, cały trzęsący się, przed kapitanem Trollope'em.

- Thomas Boscomb - rzekł kapitan - jesteś winien niedbalstwa i używania obelżywych słów w stosunku do swego zwierzchnika, to jest do bosmana. Naruszyłeś Artykuły Prawa Wojennego, wiedząc, jaka za to grozi kara. Czy masz coś do powiedzenia?

Boscombowi wyrwał się jakiś nieskładny potok wyjaśnień i protestów.

- Błagam, sir, dałem się wyprowadzić w pole, idąc za złym przykładem. Nigdy nie miałem zamiaru nikogo obrażać. To, co mówiłem, nie miało takiego znaczenia, pokornie przeprosiłem bosmana. Nigdy nie miałem nic złego na myśli. Nigdy więcej czegoś

takiego nie zrobię. Proszę pana o wybaczenie, kapitanie! Innych oficerów także! Przecież miałem dotychczas dobrą opinię. Nigdy mnie nie przynieśli pijanego na pokład, zawsze robiłem wszystko, co tylko mogłem. Moi koledzy mogą to poświadczyć. Otrzymałem dobre, religijne wychowanie, nigdy nie piłem za dużo ani nie używałem paskudnych słów, nie wiem, co mnie opętało! Przecież nigdy przedtem nie wdawałem się w żadne awantury... - Bascomb bełkotał coś jeszcze rozpaczliwie, aż wreszcie potok usprawiedliwień urwał się.

- Czy masz coś jeszcze do powiedzenia? – spytał kapitan Trollope.

Bascomb pokręcił przecząco głową, potem wzdrygnął się cały i zamknął oczy. Wreszcie padł rozkaz, który sam w sobie był odrzuceniem prośby o łaskę.

- Rozebrać go!

Kapral ściągnął z ofiary koszulę i powlókł w stronę krat, z których właśnie ścierał krew chłopak okrętowy. W tym momencie Bascomb znowu zaczął jęczeć i protestować; potok wyrzucanych przez niego słów był zupełnie niezrozumiały. Prawie siłą ustawiono go we właściwej pozycji i przemocą rozpięto ręce na kracie,

- Przywiązać go! - rzucił kapitan i dwaj podoficerowie zręcznie unieruchomili jego próbujące oporu nadgarstki. Jeden z nich wepchnął Bascombowi kawał skóry w usta, tłumiąc w ten sposób jego krzyk protestu.

- Przywiązany.

I znowu kapitan Trollope wziął swój egzemplarz Artykułów Prawa Wojennego, zdjął kapelusz - wszyscy obecni uczynili to samo - i znowu odczytał odnośny artykuł. Po odczytaniu miał wydać rozkaz: „Proszę spełnić swoją powinność”, ale nieoczekiwanie wystąpił naprzód botswen i zameldował:

- Proszę mi wybaczyć, sir. Koledzy tego człowieka zgłosili gotowość poręczenia za niego. Proszą, aby zakazał im pan przez miesiąc picia alkoholu, gdyby ten człowiek użył raz jeszcze obraźliwych słów w stosunku do swego przełożonego.

- Niech jeden z jego towarzyszy wystąpi naprzód.

Zdolny marynarz nazwiskiem Cookson stanął przed kapitanem i oświadczył:

- Odpowiadamy za Toma, sir. Tak jak bosman powiedział.

Nastąpiła trwająca kilka sekund przerwa, w czasie której kapitan rozważał tę prośbę, jakby był nią zaskoczony. Na koniec powziął postanowienie.

- Dobrze, wasza gwarancja została przyjęta. Proszę go odwiązać. Bascomb, możesz wrócić do swoich obowiązków. Załoga okrętu, rozejść się!

Bascomb nie usłyszał tej komendy, gdyż zemdlął. Zniesiono go na dół i nikt już nigdy więcej nie zobaczył go przy gretingu.

- Myślę, że to zamyka całą sprawę - rzekł Delancey do kapitana. - Bascomb po tym pokazie tchórzostwa nie będzie miał żadnego wpływu na załogę.

- Ja też sędzę - przyznał kapitan Trollope - że to zrobiło więcej dobrego, niż gdybyśmy go wychłostali.

Od tej pory nie było nawet cienia buntu na *Glattonie*.

*

Nastąpiła nagle i niezwykła jak na tę porę roku zmiana pogody. Wrzesień z reguły był miesiącem umiarkowanych wiatrów i jesiennego nieba. Ale 2 września aura spletała figła, przynosząc narastającą z północnego zachodu wichurę. Gdyby chodziło wyłącznie o sprawę bezpieczeństwa, Duncan kazałby porzucić stanowisko i popłynąć na południe, ale to pozwoliłoby holenderskiej flocie wypłynąć swobodnie, gdyby sztorm się uspokoił. Pozostano więc na

miejscu, dryfując pod wiatr, pod skróconymi żaglami, i czekano, aż pogoda się poprawi. Tymczasem, zamiast się poprawić, wiatr dał mocniej niż kiedykolwiek. Zredukowano jeszcze bardziej żagle, ale fala zaczęła okręty znosić. W rezultacie znalazły się w pobliżu holenderskiego wybrzeża, zakotwiczone na płytkiej wodzie. Mieli nadzieję, że ich łańcuchy kotwiczne wytrzymają napięcie. Odgłosy wichru przypominały wycie, zaś 4 września osiągnął on, według słów starych marynarzy, siłę huraganu. Wszystkie okręty ciężko pracowały na fali, jednakże najgorzej ze wszystkich znosił to chyba *Glatton* ze swoim szczególnie ciężkim uzbrojeniem. Przy normalnej pogodzie ten dawny statek handlowy miał skłonność do nurzania dziobu, gdy stał na kotwicy, ale teraz rozpoczęło się nie znane przedtem gwałtowne chybotanie. Doszło do tego, że trudno było nawet poruszać się po pokładach, a już wręcz niemożliwe spać. Zredukowano takielunek, zostawiając tylko kolumny masztów już we wczesnym stadium huraganu. Ale to, aczkolwiek z jednej strony pomagało, z drugiej dodawało sztywności, którą okręt i tak posiadał ze względu na wagę umieszczonych na niższym pokładzie krótkich, ciężkich dział. Okręt kołysał się i szarpał tak, że Delancey zaczął obawiać się o wanty i sztagi.

Gdy 4 września huragan osiągnął punkt szczytowy, *Monarch*, flagowy okręt Onslowa, zasygnalizował do *Glattona*: „Rozdział dwudziesty siódmy, wiersz dwudziesty ósmy”.

Midszipmen-sygnalista w mgnieniu oka otworzył Biblię i odczytał: „Zmierzyli głębokość i znaleźli dwadzieścia sążni, a kiedy odpłynęli nieco dalej, zmierzili znowu i znaleźli piętnaście sążni”.

- Na litość boską! - krzyknął oficer nawigacyjny, ale Delancey znalazł się obok i złapał Biblię.

- Niech pan potwierdzi odbiór - powiedział - i da następującą

odpowiedź: „Dwunasty list Żydów, wiersz szósty”.

Oficer rzucił okiem na wybrany ustęp i odczytał: „Kogo Pan kocha, tego doświadcza...” Jako odpowiedź było to przynajmniej adekwatne i Delancey był rad, że kiedyś zaznaczył sobie to zdanie, uważając, że tekst ten może mu się jeszcze kiedyś przydać.

Sama wichura nie stanowiła dla *Glattona* wielkiego niebezpieczeństwa, gdyż utrata masztów nie musiała koniecznie oznaczać straty okrętu. Co innego, gdyby działa zerwały się z lin mocujących. Tego samego dnia po południu przyszedł do Delanceya dowódca baterii i zameldował, że ma obawy co do 68-funtówek.

- Jeżeli choćby jedno działło się urwie, sir, to wyleci przez burtę! - krzyknął osłaniając dłońmi usta.

Jak Delancey wiedział, wszystkie miały podwójne umocowanie, poza tym niewiele więcej mogli teraz zrobić.

- Przygotujcie zapasowe żagle.

To wszystko, co potrafił zarządzić, choć był przekonany, że dowódca baterii już sam o tym pomyślał. Kiedy urwała się laweta, można ją było „przygwoździć” za pomocą zapasowego kliwra lub bonneta. Te 68-funtowce nie miały kół, dzięki Bogu, ale i bez tego były cholernie niebezpieczne.

Później tego dnia - było jeszcze widno - Delancey usłyszał krzyki i wrzawę dochodzące z dolnego pokładu. Z trudem zszedł na dół, trzymając się rozciągniętych lin zabezpieczających, i zobaczył, że na śródkręciu panuje zamieszanie.

- Co się dzieje? - zawołał. - Czy urwało się jakieś działo?

- Nie, sir - odpowiedział bosman. - To kula armatnia!

Delancey natychmiast zrozumiał, co się stało, i zwymyślał sobie w duchu, że tego nie przewidział. Kule do natychmiastowego użytku

poukładane były wokół luków; każda znajdowała się w okrągłym drewnianym otworze. W normalnej sytuacji to wystarczało, by mogły się utrzymać. Ale takiej wichury nie można było nazwać czymś normalnym, nie było też normalne uzbrojenie *Glattona*. Dwa z tych sześćdziesięcioośmifuntowych pocisków wypadły ze swoich miejsc, jak stwierdził, i przetoczyły się po pokładzie. Zanim utkwily w jakimś kącie, jeden z nich zdążył przetrącić marynarzowi nogę. I tak, na szczęście, nie narobił jeszcze większych szkód.

Delancey musiał szybko powziąć decyzję. Sześćdziesięcioośmifuntowy ładunek był straszliwie ciężki i nie sposób było go podźwignąć. Tocząc się po pokładzie stanowił śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyby bowiem wpadł do luku, mógł przebić dno okrętu. A jeżeli dwa pociski wypadły już ze swoich miejsc, to trudno było sądzić, że reszta pozostanie tam, gdzie się znajdowała. Delancey wpadł na pomysł, żeby przymocować drewniane bomby tak, aby zapobiec toczeniu się armatnich pocisków po pokładzie, ale zanim zdążył wydać odpowiednie rozkazy, pojawił się przed nim kapitan Trollope.

- Musimy umieścić te pociski w ładowni - zawołał kapitan. - Włożyć każdy do worka z podwójnego płótna żaglowego i spuścić za pomocą talii.

- Tak jest, sir - powiedział Delancey i zaczął wydawać ludziom polecenia.

Była to operacja trudna i niebezpieczna na okręcie miotającym się w dzikim tańcu. Zanim zadanie zostało wykonane, nie obyło się bez drobnych obrażeń. Dobrze się już ściemniło, gdy Delancey mógł złożyć meldunek o wykonaniu zadania i zapewnić kapitanu, że wszystkie sześćdziesięcioośmifuntowe pociski są w bezpiecznej pozycji. Być może decyzja Trollope'a była rozwiązaniem słusznym - jeżeli w ogóle mogła być mowa o jakimkolwiek właściwym rozwiązaniu

- ale bezpośrednim jej skutkiem było to, że obniżył się środek ciężkości okrętu. Różnica mogła być bardzo niewielka, ale przy tym punkcie naprężenia nawet najmniejsze zmiany się liczyły. Kołysanie stawało się coraz gwałtowniejsze i bezanmaszt poszedł wprost za burtę. Potem nastąpiła godzina obłądnego, koszmarnego wysiłku, kiedy to straciło życie dwóch ludzi, których zmyło z rufy, nie licząc trzech rannych. Dopiero o północy pokład rufowy został doprowadzony do porządku, a potem zdjęto fokmaszt. Dało to okrętowi większą swobodę poruszania się, wyglądał on jednak teraz nie lepiej niż wrak kołyszący się na olbrzymich grzbietach fal, które przewalały się przez pokład dziobowy.

Nazajutrz wichura zmieniła kierunek na południowo-zachodni i przeszła w wiatr zwykły, a w końcu w leciutki podmuch. Flota Duncana nie straciła ani jednego okrętu, ale poniosła takie szkody, że załoga miała co robić przez cały następny tydzień. Z pewnością w najgorszym stanie był *Glatton*. Trollope jednak nie należał do ludzi, którzy przyznają się do klęski. Delancey podziwiał go zawsze,

ale później musiał przyznać, że nigdy nie podziwiał go bardziej niż w czasie owych kilku następnych dni. Był wszędzie, przez cały czas pełen aktywności; umiał zachęcić ludzi do roboty i zawsze wiedział, co należy w następnej chwili zrobić.

- Nie tak! - pokrzykiwał. - Przywiązać sztag do talii i podnosić w taki sposób... Potrzeba mi do tego jeszcze pięciu ludzi!

Reja grota stała się nowym fokmasztem, a fokreja bezanem. Wymieniono też żagle i zapleciono liny. Niebawem *Glatton* znalazł się znowu pod żaglami, gotowy w do walki; z powodu uszkodzeń z trudem się poruszał, ale nie poddawał się jeszcze. Nigdy dotąd na sygnał ze statku flagowego nie odpowiedziano sygnałem donoszącym o niezdolności do działania *Glattona*. W nieprawdopodobnie

krótkim czasie Duncan zebrał swoją flotę raz jeszcze w ścisłą formację w pełni gotową do walki. Blokada Texel nie została nigdy przerwana, a flota holenderska ani na moment nie przestała być obserwowana.

24 września kapitan Trollope otrzymał sygnałem rozkaz, by udał się na pokład okrętu flagowego. Duncan przyjął go uprzejmie i pogratulował, że tak szybko zostały naprawione uszkodzenia na *Glattonie*. Wraz z admirałem był tam obecny kapitan Brereton, człowiek nowy we flocie, który właśnie przybył przybrzeżnym statkiem prowiantowym.

- Mogę wam w zaufaniu powiedzieć, panowie - zaczął Duncan - że ostatnie wichury solidnie dały się we znaki kapitanowi Forsterowi *na Russellu*. Kapitan poprosił o zwolnienie pod pretekstem złego stanu zdrowia. Jego pierwszy porucznik, niewiele młodszy od niego, przedstawił podobną prośbę. Poradziłem admiralicji, żeby mianować pana, kapitanie Trollope, na dowódcę *Russella*, a na *Glattona*, którego zamierzam odesłać do Portsmouth, posłać kogoś na zastępstwo. Forster wróci do domu przybrzeżnym statkiem, który przywiózł nam tutaj kapitana Breretona. Kapitan Trollope obejmie dowództwo na *Russellu*, a kapitan Brereton będzie dowodził *Glattonem*. Jeśli panowie zgadzacie się na takie załatwienie sprawy, to proponuję, aby Delancey przeszedł jako pierwszy porucznik na *Russella*, a drugi porucznik na *Glattonie* dostanie nominację na pierwszego. A więc jak, zgadzacie się?

- Dziękuję, sir - rzekł Trollope. - Muszę jednak przypomnieć, że Delancey jest na *Glattonie* zastępcą pierwszego porucznika. Mianowanym pierwszym porucznikiem jest pan Grant, który... Zresztą pan z pewnością pamięta tę sprawę, sir.

- Tak, oczywiście - odparł admirał Duncan.

- No cóż, sir, chciałbym zachować ten sam układ na *Russellu*.

Tak więc stanowisko pierwszego porucznika obejmie na nim Grant, Delancey będzie go na razie tylko zastępował.

- Czy to nie jest trochę krzywdzące dla Delanceya?

- Jestem przekonany, sir, że każdy inny układ byłby krzywdzący dla Granta.

- Rozumiem pańską intencję. No cóż, niech i tak będzie. Delancey przejmie więc funkcję pierwszego porucznika, a Pringle zostanie pierwszym porucznikiem na *Glattonie*. Nie wolno mi pana zatrzymywać, kapitanie Trollope, ponieważ pan i Delancey macie dużo do zrobienia, zanim kapitan Brereton będzie mógł objąć dowództwo na *Glattonie*. Pańskie zadanie, kapitanie Brereton, jest o wiele prostsze, proszę więc, by pan tu na razie pozostał. Mam nadzieję, że zanim *Glatton* nas pożegna, zjecie panowie ze mną kolację.

Trollope wyszedł po przyjęciu zaproszenia, a admirał podjął dalszą rozmowę z Breretonem. Musiał go zapoznać ze szczególnym rodzajem uzbrojenia *Glattona*.

- Kłopot polega na tym, że uzbrojenie i amunicja, które nie są jednakowo skuteczne w każdej sytuacji, są za ciężkie dla tego okrętu. Byłem poważnie zaniepokojony o *Glattona* w czasie ostatniego sztormu. Obawiałem się, że możemy go stracić. Trollope uratował go dzięki doskonałej znajomości sztuki żeglarskiej i nigdy bym nie wtrącał się do tego eksperymentu, dopóki on pozostawał jego dowódcą. Ale teraz nadszedł moment, żeby dokonać pewnych zmian. Pan zabierze *Glattona* do Portsmouth razem z moim raportem na temat zalet i wad tego uzbrojenia w liście do sztabu artylerii. Nowe działa będą wymagały pewnych zmian konstrukcyjnych i nowego ustawienia. Niech się pan nastawi na spędzenie paru miesięcy w stoczni. W rezultacie będzie pan miał okręt mniej wspaniały w teorii, ale za to bardziej bezpieczny w praktyce. Proszę nie uważać tego, co powiedziałem, za krytykę pod adresem kapitana Trollope'a.

To jest doskonały oficer, dla którego mam jak największy szacunek. Ale nie opłaca się mieć okrętu, którym dowodzić może wyłącznie doskonały oficer.

Brereton, człowiek solidny, konwencjonalny, był dobrym wyborem, gdy chodziło o sprowadzenie *Glattona* do poziomu potulnej normalności. Trollope sam uznał konieczność zmiany uzbrojenia okrętu, ale cieszył się, że zadanie to przypadnie w udziale komuś innemu. Koncepcja Duncana była słuszna, a Delancey ucieszył się z perspektywy służenia na okręcie wojennym, odpowiednio do swoich zadań skonstruowanym. To znaczy na normalnym okręcie III klasy z siedemdziesięcioma czterema działami. Wiedział, że jest to okręt stary, zbudowany jeszcze w 1764 roku i zaprojektowany przez sir Thomasa Slade'a. Okręt ten nie odegrał większej roli w buncie i miał dobrą opinię, zarówno jeśli chodzi o oficerów, jak i załogę. Znacznie trudniej było Delanceyowi pogodzić się z tym, że zostanie zastępcą pierwszego porucznika na *Russellu*, podczas gdy jego podkomendny Pringle obejmie stanowisko pierwszego oficera na *Glattonie*. Trzeba przyznać, że był to okręt znacznie mniejszy. Delancey nie wyraził zastrzeżeń, zdając sobie sprawę, że w takich wypadkach ogromną rolę odgrywa szczęśliwy traf. Może na przykład dojść do starcia z nieprzyjacielem w tym czasie, gdy *Glatton* będzie jeszcze w stoczni.

Zresztą pocieszył się szybko tym, że został zaproszony na kolację przez admirała Duncana. Wiedział, że kolacja ta zostanie zaaranżowana jako przyjęcie pożegnalne dla kapitana Forstera, a on sam będzie nic nie znaczącym gościem wśród innych wyższych oficerów. Można to było jednak traktować jako oznakę wyróżnienia i uznania. A może była w tym pewna doza sympatii? Przypuszczał, że na przyjęciu jedynym poza nim porucznikiem, nie licząc oficera flagowego

Duncana, będzie pierwszy porucznik Forstera z *Russella* - stary Bates, wiecznie zaziębiony. Zaczął rozmyślać o sprawach praktycznych, na przykład o konieczności włożenia czystej koszuli i eleganckiego krawata. Czy miał jeszcze białe pończochy odpowiednie do tego, żeby nosić je w obecności admirała? Musiał czuć się kimś niepozornym wśród tylu złotych epoletów, ale mógł chcieć przynajmniej wyglądać czysto i schludnie. Myślą wrócił do podobnych, a nawet gorszych problemów, jakie przeżywał, kiedy jako midszipmen musiał zasiąść do kolacji z kapitanem.

Było piękne jesienne popołudnie, gdy łódź *Glattona* wróciła i dobiła do okrętu flagowego. Kapitanowie, witani z honorami, wchodzili na pokład, orkiestra grała „Dębowe serce”. Po to, by przywitać wiceadmirala Onslowa, została ściągnięta kompania honorowa marines. Przy trapie kapitana Trollope'a powitał jego kuzyn z Królewskiej Piechoty Morskiej, major Trollope.

- Witamy na pokładzie, sir. Rodzina jest dziś dobrze reprezentowana, bo znalazł się tu i George Trollope jako trzeci porucznik na *Tridencie*. Admirał był tak uprzejmy, że go zaprosił. Delancey? Pozostaję pańskim wiernym sługą, sir.

Kolacja okazała się bardzo udaną imprezą. Podawano najróżniejsze dania i mnóstwo szampana. Wszyscy wiedzieli, że pożegnanie starego Forstera posłużyło za pretekst, by uczcić pomyślne zakończenie kampanii. Blokada utrzymywała się w zasadzie w ciągu całego trudnego okresu letniego, a teraz, 24 września, było już zbyt późno, by nieprzyjaciel podjął wcześniej planowaną ekspedycję. Raporty wywiadu donosiły, że siły francuskie, gotowe do desantu morskiego, znowu uległy rozproszeniu. Za kilka dni flota popłynie do Yarmouth, pozostawiając niewielkie siły nie opodal Texel. Przy odrobinie szczęścia czekały wszystkich całe tygodnie tkwienia w porcie ze świeżym chlebem, zielonymi jarzynami i szansą spotkania

się z ukochanymi lub żonami. Panował gwar rozmów. Delancey, siedzący w końcu stołu między starym Batesem a młodym Trollope'em, dał się wciągnąć w dyskusję na temat Floty Holenderskiej.

- Szkoda, że nigdy się nie pokazali - mówił Bates. - Pójdę na emeryturę, ani razu nie wzięwszy udziału w bitwie z nimi. Chociaż bitwa taka, gdyby do niej doszło, stałaby się masakrą. Wszystkie holenderskie okręty są już mocno przestarzałe.

- Ależ, sir, holenderscy marynarze mają świetną opinię - zaproponował młody Trollope. - W bitwach ostatniego stulecia walczyli bardzo dobrze.

- To prawda - musiał przyznać Bates. - Ale ich okręty także pochodzą z poprzedniego stulecia. Na wodach płytkich, jak te, stosują małe, dwupokładowe okręty z czterdziestoma czterema lub pięćdziesięcioma działami, może łatwymi do manewrowania w holenderskich portach, ale nie mogący sprostać w bitwie tym z siedemdziesięcioma czterema działami.

- Tylko że nasze okręty tutaj też nie należą ani do najnowocześniejszych, ani do najlepszych - wtrącił Delancey.

- Rzeczywiście - ustąpił Bates. - Ale niech pan pomyśli o doświadczeniu, jakiego nabyliśmy. My teraz znamy ich wybrzeże lepiej od nich.

W tym momencie oficer flagowy okrętu Duncana wezwał zebranych do powstania. Admirał wznosił toast za króla. Po nim dowódca okrętu flagowego wznosił toast za admirała Duncana i Flotę Morza Północnego. Potem nastąpiły kolejno toasty za kapitana Forstera i pana Batesa. Życzono im szczęścia po wycofaniu się ze służby. Forster złożył hołd flocie, w której miał zaszczyt służyć pod wyśmienitym dowództwem dzisiejszego gospodarza, którego wrogowie z taką przezornością starali się unikać. Następnie wznosił toast

wiceadmirał Onslow na cześć rodziny Trollope'a, co zostało przyjęte z ogromną wesołością. Henry Trollope oświadczył, że czuje się niegodny, by przejąć dowództwo *Russella* po Forsterze. Zakończył wznosząc toast za kapitana Breretona, swojego następcę na *Glattonie*, który ku zdumieniu wszystkich ciągle jeszcze jest na wodzie, ale dobiegły go słuchy, że w przyszłości ma być uzbrojony jedynie w muszkiety. Uwagę tę skwitowano śmiechem i oklaskami. I wreszcie ostatni toast - na cześć holenderskiego admirała...”żeby mu się zebrało na odwagę przed końcem roku”.

W sumie była to uroczystość przyjemna i wesoła.

Kiedy po raz ostatni płynęli łodzią na *Glattona*, Trollope zaczął znowu rozmowę o tym, jakie zostały im jeszcze szanse, żeby rozbić Holendrów.

- Nieprzyjaciel ma co najmniej szesnaście liniowych żaglowców, a kiedyś francuska armia liczyła trzydzieści tysięcy ludzi. W kwietniu krążyły pogłoski na temat ataku zamierzonego na Jersey lub Guernsey. W czerwcu wszyscy mówili o niebezpieczeństwie grożącym Irlandii. Nawet część oddziałów w pewnym okresie została załadowana na okręty. No cóż, mimo buntu nic z tego nie wyszło. Teraz jest wrzesień. Właściwie już za późno, na jakąkolwiek wspólną ekspedycję, a admirał

sądzi, że plan francuski, bez względu na to, jaki by był, został zarzucony. Admirał zamierza wrócić do Yarmouth w końcu tego miesiąca.

- Najwyższy czas, jeżeli wolno mi powiedzieć. Flota była na morzu przez osiemnaście tygodni.

- A przecież admirał tkwił na swoim stanowisku przez dwa lata, nie stanąwszy prawie nogą na lądzie!

- Nie wiem, sir, jak człowiek w takim wieku może coś takiego wytrzymać.

- Ja też tego nie rozumiem. Chociaż nie znam dokładnie jego wieku. Jego oficer flagowy wspomniał mi, że admirał zapadł na jakąś tropikalną chorobę po zdobyciu Hawany, to znaczy w 1762 roku, a on już wtedy był komandorem... Chyba musi już mieć z sześćdziesiąt pięć lat albo blisko tego.

- Mówiono mi, że ma dobre koligacje, sir.

- Ożenił się z siostrzenicą Henry Dundasa. Nie opuści swojej flagi, dopóki nie będzie miał na to ochoty. Ale chodzi o to, czy będzie miał szansę rozbić Holendrów. Chyba zaczyna sobie zdawać sprawę, że szanse na to są bardzo niewielkie.

- Jaki motyw mogliby mieć Holendrzy, żeby wyruszyć na morze?

- Ja osobiście nie widzę żadnego. Jeśliby jednak doszło do bitwy, to przeciwnikiem admirała będzie admirał De Winter. Jest on Holendrem, ale służył we francuskiej armii i tam zdobył stopień generała. Zaczął wprawdzie swoją karierę w holenderskiej flocie, ale nie dowodził nigdy żadnym okrętem. Admirał powiada, że De Winter zawsze zachowywał się po dżentelmeńsku. Utrzymywali oczywiście ze sobą kontakt, bo porozumiewali się w sprawie naszej blokady.

- Przypuszczam, że kiedy admirał uda się na redę w Yarmouth Roads albo do Nore, zostawi tu kogoś, aby patrolował holenderskie wybrzeża.

- Z pewnością tak zrobi. Muszę zresztą powiedzieć panu w ścisłym zaufaniu, że będzie to moim zadaniem. Otrzymałem dowództwo małej eskadry, która będzie utrzymywać obserwację Texel i przysyłać meldunki admirałowi, gdyby pokazali się tam Holendrzy.

- Gratuluję, sir. Gdybyśmy jeszcze nie znali Broad Fourteens, to być może byłaby to okazja, aby zawrzeć bliższą znajomość.

- Zapewniam pana, że zdążymy jeszcze dobrze je poznać.

ROZDZIAŁ 5

Camperdown

W skład patrolującej eskadry Trollope'a wchodziły: *Russell* (74), *Adamant* (50), fregata *Circe* (28) oraz trzy kutry - *Speculator*, *Vestal* i *Active*. Wypływając 3 października z Yarmouth i zostawiając tam admirała, Trollope wysłał na czoło szyku *Speculatora*, osłanianego przez *Circe*, która z kolei miała płynąć w zasięgu widoczności *Russella*. Tak zaczęła się służba patrolowa, która mogła trwać całą zimę, ale skończyła się już 7 tego miesiąca. Dni oczekiwania zostały przerwane sygnałem ze *Speculatora*, a przekazanym przez *Circe*, że flota nieprzyjacielska wychodzi z portu i kieruje się na południowy zachód. Z *Russella* zaobserwowano tylko, że zbliżała się do niego *Circe* pod pełnymi żaglami, a za nią *Speculator*. Trollope natychmiast wysłał *Speculatora* z wiadomością do głównodowodzącego w Yarmouth. Jednocześnie wysłano *Vestal* do Lowestoft z meldunkiem do admiralicji. Pozostająca pod stałą obserwacją kutra *Active* i śledzona z dalszej odległości przez *Circe* flota holenderska, która z początku płynęła w luźnym szyku, teraz zdobyła się na mniej więcej regularną formację, po czym ruszyła powoli, obierając kurs jak gdyby w stronę kanału. Przebywające

głębiej na pełnym morzu *Russell* i *Adamant* utrzymywały ze sobą kontakt, choć ciągle jeszcze nie było widać nieprzyjaciela. Trollope posłał po oficerów i zgromadziwszy ich przy stole pokazał na mapie, jak wygląda sytuacja.

- Teraz, panowie, wiemy, gdzie się znajduje admirał De Winter, wiemy też, że ma on ze sobą szesnaście liniowych żaglowców, pięć fregat i kilka pomniejszych okrętów. Nie posiada natomiast transportowców, a więc można przypuszczać, że nie zabrał ze sobą żadnych sił wojskowych. Gdyby jego celem było wzięcie udziału w jakiejś planowanej inwazji, najprawdopodobniej popłynąłby w przeciwnym kierunku, to znaczy na północ. Jednakże trudno zakładać, że ma on zamiar przebić się przez cieśninę Dover, mając na plecach Flotę Morza Północnego, a przed sobą Flotę Kanału. W takim razie co on zamierza osiągnąć? Bardzo chciałbym usłyszeć wasze zdanie, panowie.

Pierwszy zabrał głos rudowłosy Szkot, drugi porucznik, nazwiskiem McTaggart:

- Założyłbym się, sir, że zamierza on wydać bitwę, mając nadzieję, iż flota admirała Duncana poniosła znaczne straty podczas ostatniego sztormu.

- Taka jest i moja opinia - oświadczył trzeci porucznik, Vernon. - Zresztą rzeczywiście zostaliśmy osłabieni przez powrót *Glattona* do portu.

- A co pan o tym sądzi, panie Delancey?

- No cóż, sir, przypominam sobie kuter *Nancy*, który wysłaliśmy do Texel pod flagą rozejmową. Rozmawiałem któregoś dnia z jego dowódcą, panem Terence O'Neil. Widział on okręty holenderskie i policzył wyloty ich dział. Przysięga, że mają zaledwie pięć okrętów z siedemdziesięcioma czterema działami. Okrętów dwupokładowych może być szesnaście, ale siedem z nich ma mniej niż po sześćdziesiąt dział, a kilka nie więcej niż czterdzieści cztery. Okręty tej klasy spisały się dość dobrze pod Trompem i De Ruyterem, ale nie nadają się do dzisiejszych metod walki. Holenderski admirał z pewnością jest świadom tego faktu, więc decyzja o wydaniu bitwy nie może pochodzić od niego.

- A więc uważa pan, że działa na rozkaz?

- Tak jest, sir. Podejrzewam, że holenderscy politycy i ich francuscy protektorzy nie mają pojęcia o słabości swojej floty.

- A więc admirał pokręci się po morzu i wróci do portu?

- Takie jest moje przypuszczenie, sir. Holendrzy będą się mogli potem chlubić, że flota ich była na morzu, ale tchórzliwi Brytyjczycy uchylili się od bitwy.

- A więc naszym zadaniem będzie rozpoczęcie bitwy, której admirał De Winter wolałby uniknąć. Dziś mamy siódmego, przy odrobinie szczęścia admirał Duncan powinien od nas otrzymać wiadomość za dwa dni. W dwa dni później powinien skontaktować się z nami. Będzie to, powiedzmy, jedenasty. My tymczasem musimy trzymać się Holendrów, ale tak, by oni nas nie widzieli.

Przez następne trzy dni Holendrzy dostrzegli tylko jeden jedyny kuter. Sygnały jego zostały przejęte przez *Circe*, a z tego z kolei statku przez *Russella*. Dziesiątego nadano sygnał, który Delancey przewidział z góry. Okręty holenderskiej floty po kolei zmieniały kurs i wracały do portu. Trollope podpłynął bliżej do nieprzyjaciela, wypatrując niespokojnie pojawienia się floty Duncana. Gdyby wszystko dobrze poszło, holenderska i brytyjska flota musiałyby się znaleźć na zbieżnym kursie z eskadrą Trollope'a między nimi. Nie wiadomo jednak było, czy Duncan wyruszył w morze dostatecznie szybko, gdyż kilka z jego okrętów wymagało naprawy. Kapitan Trollope przeżywał gorączkę niepokoju chodząc tam i z powrotem po pokładzie albo zaznaczając pozycje wroga na mapie.

Ranek 11 października dłużył się w nieskończoność, ale Delancey postanowił nie tracić go na marne. Sprawdził parokrotnie, czy wszystko przygotowano, jak należy, upewnił się, że każdy z załogi zapewnił sobie zawnocześnie ewentualnego zastępcę.

- Holendrzy będą liczyć na swoje działa - powiedział do starszych kanonierów. - Dopilnujcie, byśmy odpowiadali trzema burtowymi salwami na ich dwie.

Potem sprawdził raz jeszcze zabezpieczenia przeciwpożarowe i przeegzaminował załogę:

- Ukazują się jakieś płomienie przy uskoku forkaasztlu. Co zrobicie? I co będzie potem? Teraz jeszcze macie czas, żeby obmyślić wszystko z góry.

Dla Delanceya monotony dzień 12 października zaczął się o świcie wraz z pojawieniem się w polu widzenia floty nieprzyjacielskiej. Niebo było zasnuwane chmurami, światło mdłe. Wiał mocny wiatr północno-wschodni, zmienił się jednak niebawem na zachodni.

- No cóż, jest wreszcie nieprzyjaciel - rzekł kapitan Trollope. - A gdzie nasz admirał?

- Sądzę, że mamy przed sobą *Circe* - odparł Delancey, nastawiając lunetę.

- Dzięki Bogu i za to. Sygnalizuje nam ilość nieprzyjacielskich okrętów. Dać sygnał i zwołać natychmiast wszystkich naszych ludzi na śniadanie, a potem ogłosić pogotowie bojowe.

- Tak jest, sir.

Delancey wydał rozkazy, by wysunąć i zamocować działa. Ciesze opróżniali wszystkie kajuty, zaczynając od kapitańskiej. Służba znosiła na dół meble, skrzynie okrętowe z lampami i zasłonami owiniętymi kocami. Osłony płócienne zostały zrolowane i przywiązane do pokładników. Drewniane przepierzenia rozpadły się i znikły jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Część dolnego pokładu została zamieniona na salę operacyjną, gdzie skrzynie midszipmenów przykryto starym kawałkiem płótna. Pokłady wysypano piaskiem, a między działami pojawiły się kubły z wodą. Przyniesiono też pociski do natychmiastowego użytku, a zamki wszystkich dział zostały sprawdzone. Ludzie z obsługi dział byli do pasa obnażeni. Każdy miał wokół głowy zawiązaną chustę, przykrywającą

uszy, by stłumić huk wystrzałów. Marines też zajęli swoje pozycje. Każdy muskiet został przejrany, każdy zamek sprawdzony. Potem, po przeprowadzeniu inspekcji pokładów, Delancey złożył raport, że okręt jest gotów do bitwy. Wtedy kapitan Trollope też ruszył na inspekcję, podczas której zagadnął do niektórych starszych kanonierów i niższych oficerów. Zatrzymał się nieco dłużej przy karonadach; powiedział ludziom, że Holendrzy takich nie posiadają.

- Holendrzy będą walczyć, chłopcy, co do tego nie miejcie żadnych wątpliwości. To nie będzie to samo, co było z Francuzami czy Hiszpanami. Ale nasza salwa burtowa ma większą siłę. Damy im w skórę! Sprawimy, że będą marzyć, aby jak najprędzej wrócić do Amsterdamu. Bijcie nisko i dobrze celujcie.

Wróciwszy na rufę, Delancey mógł teraz widzieć obie floty bez pomocy lunety. Holendrzy tak formowali linię, jakby zamierzali zawrócić w kierunku Texel. Natomiast Duncan nadciągał, popychany zachodnim wiatrem, a *Circe* i *Speculator* przekazywały sygnały. *Russell* i *Adamant* gotowały się do zajęcia swoich pozycji w linii.

- Niech mnie diabli porwą, jeżeli rozumiem, co ci Holendrzy robią. Po co oni w ogóle wychodzili w morze?

- Może po to, żeby wydać bitwę, sir.

- W takim razie dlaczego teraz uciekają do domu?

- Zastanawiam się, sir, czy oni nie mają zamiaru zwabić nas w zasadzkę przy brzegu, który

znajdzie się po naszej zawietrznej.

- Jeżeli taki mają plan, to jest to szaleństwo. Flota ich nie była przecież na morzu. W dodatku dowodzi nimi admirał, który nie był nigdy nawet dowódcą fregaty. Nasza flota przez dwa lata trzymała w blokadzie Texel. Wprawdzie nasze okręty są podniszczone, jak na

przykład ten, który wygląda, jakby miał się zaraz przełamać, ale za to znamy ich wybrzeże lepiej niż oni sami. Najtrudniej będzie zdążyć w porę. Holendrzy mogą wrócić do portu, zanim jeszcze zdążymy uformować linię bojową. Mam nadzieję, że da Bóg, iż admirał nie straci na to wiele czasu.

- Ma pan rację, Delancey, jeśli chodzi o te holenderskie okręty. Obejrzałem je dokładnie przez lunetę. Być może są to dwupokładowce, ale niektóre z nich nie są większe niż nasze trzydziestoośmiodziałowe fregaty. Jeden wydaje się nawet mniejszy. Ich szanse w nowoczesnej bitwie są takie, jakie ma kula śniegu w piekle. Będzie nam ich żal, kiedy wreszcie dojdzie do bitwy. A jeszcze bardziej, kiedy bitwa się skończy.

Flota Duncana zbliżała się pod wszystkimi żaglami. Postawiono nawet bramsle. Nie mogło być na świecie bardziej imponującego widoku jak te świetnie dowodzone, zdyscyplinowane okręty wojenne jeszcze nie uformowane w szyku bojowym, a już współpracujące ze sobą i ożywione jednym jedynym celem. Okręty płynęły dwoma grupami. Znajdującą się bardziej na północ dowodził Duncan na *Venerable*, a po stronie południowej wiceadmirał Onslow. Circe śpieszyła teraz ostrym kursem w kierunku zachodnim, by dostarczyć Duncanowi informacji o nieprzyjacielu. Kapitan Trollope sterował tak, by przyłączyć się do grupy dowodzonej przez Onslowa, do której należał zarówno *Russell*, jak i *Adamant*. Nie próbowano utworzyć precyzyjnego szyku, toteż *Russell* przyłączył się w końcu do czegoś, co było po prostu luźną grupą dziewięciu okrętów, idących kursem na tylną połowę holenderskiej linii. Zaraz po wpół do jedenastej okręt admirałski dał sygnał do natarcia.

- Dobrze! - zawołał kapitan Trollope. – Admirał chce atakować bezzwłocznie, nie czekając na sformowanie linii. Teraz już Holendrzy nam nie uciekną.

Każda ze stron miała po szesnaście okrętów. Jasne było, że Duncan zamierza przerwać linię Holendrów i wciągnąć do walki ich okręty, znajdujące się po jego stronie zawietrznej, tak jak to zrobił Nelson w bitwie o Nil. Potwierdzeniem tego zamierzenia był dany w południe sygnał, który oznaczał, że bitwa jest nieunikniona. *Russell* miał zająć miejsce po prawej stronie *Monarcha* - flagowego okrętu Onslowa, mając po swej drugiej stronie tylko *Montagu*. Wszystko to oglądane z okrętu *Russell* robiło wrażenie groźne i imponujące zarazem. Delancey, rozglądając się dokoła, pomyślał, że lata dyscypliny i ćwiczeń zostaną teraz poddane próbie. Jeżeli on i inni oficerowie pracowali jak należy, to *Russell* da trzy burtowe salwy, podczas gdy w tym samym czasie Holendrzy zdążą wystrzelić tylko dwie. Bitwa prowadzona będzie na krótki dystans, a straty poniosą niewątpliwie duże, i to po obu stronach. Francuzi często strzelali w nieprzyjacielskie maszty i osprzęt, ale Holendrzy będą strzelać nisko i celnie.

Delancey zadrżał bezwiednie, czując się narażony na niebezpieczeństwo na otwartym pokładzie. Jednego był pewien: ludzie byli w dobrym nastroju. Palili się wprost do tego, żeby zrehabilitować się za ostatni bunt. Mówiono przecież, że najbardziej zaangażowane w zamieszkach na Nore okręty miały załogi składające się z tchórzów. W końcu byli to ci sami ludzie, którzy zostawili Duncana w okresie blokady w Texel niemal osamotnionego. Delancey zdawał sobie sprawę, że holenderscy oficerowie będą przypominać swoim ludziom minione dni chwały, opowiadając raz jeszcze o Trompem i De Ruyterze. Ale czego mogli dokonać z flotą, która nigdy nie była ćwiczona w strzelaniu

do celu, a teraz stanęła oko w oko z nieprzyjacielem. Zgodnie z założeniem Onslow miał zniszczyć holenderskie tyły, dziewięcioma własnymi okrętami atakując pięć. Duncan powinien z kolei zniszczyć okręty płynące na czele, nie atakując tych, które znajdowały się w środku szyku. Oczywiście nie ulegało wątpliwości, że dojdzie do ostrej walki i że to Holendrzy zostaną rozbici doszczętnie.

Bitwa rozpoczęła się o wpół do pierwszej, kiedy holenderski *Jupiter* otworzył ogień w kierunku *Monarcha*.

- Patrzcie no tylko! - zawołał kapitan Trollope.- Onslow nawet nie odpowiedział, ale zobaczycie, że on rozpruje tego *Jupitera* swoją pierwszą salwą.

Kilka minut później *Monarch* przepłynął za rufą *Jupitera* (z wywieszoną kontradmirałską banderą) i tuż pod dziobem następnego okrętu, częstując je oba potężnymi salwami.

- Dobry początek! - rzucił kapitan. - A to jest nasz przeciwnik - rzekł pokazując przedostatni okręt z linii. - Ostatni zostawimy dla *Montagu*.

Rozpętała się wzajemna wymiana salw. Nic nie było widać poprzez unoszący się dym, ale Trollope utrzymywał ogień, zwracając w tej chwili uwagę tylko na to, by uniknąć kolizji. Jego ostatnim zadaniem było wmanewrować okręt holenderski *Delft* między *Russella* a *Montagu*; okręt z pięćdziesięcioma działami dostał się w pułapkę między dwa, z których każdy miał po siedemdziesiąt cztery.

- Ognia! - wrzasnął Trollope.

Zagrzmiała salwa z prawej burty *Russella*. W minutę później huknęła ogłuszająca salwa z lewej burty *Montagu*. Rozpoczął się morderczy ogień krzyżowy, w którym *Delft* został niemal doszczętnie rozbity. Działa na okrętach holenderskich także nie próżnowały i na początku akcji Russell poniósł pewne straty. Ale wstrzymanie salw wymagało nie lada sprawności, natomiast załoga *Delft* nie miała za sobą żadnej praktyki.

Delancey poczuł się chory na widok tego, co zobaczył. Trollope

wyraźnie odczuwał to samo. Krzycząc tak, by go usłyszano, kapitan rzucił pytanie:

- Dlaczego oni się nie poddają?

- Właśnie, dlaczego?

Delancey ponownie zobaczył *Delft*, gdy dym na rufowym pokładzie *Russella* wreszcie opadł. Ze znajdujących się na śródokręciu *Defsta* trzech otworów działowych zrobił się jeden. Przedzielające je drewniane belki rozleciały się w drzazgi. Okręt wyglądał teraz jak stara kadź, przedziurawiona wymierzonym ze złością kopniakiem. Dalej ku rufie kilku ludzi usiłowało ugasić ogień, który powstał koło pięty bezanmasztu. Płonący żagiel spadł na podwójny pachoł, a jakiś marynarz zaplątał się pod nim. Krzyczał tak, że słyhać go było mimo ogólnego tumultu. Na rufowym pokładzie Holendra dwa działa były przewrócone. Jedno leżało na zakrwawionym ciele marynarza, inne wybuchło, zabijając lub raniąc całą obsadę. Jeden rozplątany został na pół, drugi stracił obie ręce, trzeci nogę. Wszędzie było pełno krwi i strzępów ludzkiego ciała. Wyglądało to tak, jakby jakiś nieostrożny kanonier użył zapałki, zanim pocisk armatni zdążył wejść na swoje miejsce. Jakże często ostrzegał przed tym swoich ludzi. Marynarze okrętu *Russell* nigdy by nie popełnili takiego błędu, nawet w ferworze najbardziej gorączkowej bitwy. Lecz jaką szansę mieli ci Holendrzy? Przecież nigdy nie przeszli należytego przeszkolenia na morzu. Niewielu z nich było kiedykolwiek przedtem w jakiejś akcji. Tymczasem dzisiejsze starcie nie było bitwą, lecz morderstwem. O Boże! Ten człowiek pod płonącym żaglem jest jeszcze żywy...

- Ognia! - rozległ się okrzyk midszิปmena.

Teraz na szczęście całą tę straszliwą scenę znowu przesłonił dym. Gdzieś z przodu *Russella* dobiegł trzask jakiegoś spadającego drzewca. W chwilę później oficer nawigacyjny stojący nie opodal steru padł twarzą do przodu w kałużę krwi. Został trafiony w ramię

kulą z muszkietu, wymierzoną prawdopodobnie w sternika. Kiedy zabrano go do zaimprovizowanego naprędcy szpitala, jego miejsce zajął zastępca, lecz wkrótce i on dostał także kulą wprost w kapelusz. Kilku marines na rozkaz Delanceya odpowiedziało ogniem i holenderski strzelec wyborowy zamilkł. Kiedy dym opadł, *Delft* znalazł się znowu w ich polu widzenia. Widok jego był teraz jeszcze bardziej opłakany. *Montagu* ostrzelał go od strony przeciwnej, uszkadzając forkasztel i rozbijając następne trzy działa na pokładzie rufowym. To, co się działo między pokładami, można sobie było tylko wyobrazić. W każdym razie śródokręcie musiało wyglądać jak rzeźnia.

- Ognia! - doleciał znowu głos podchorążego i znowu wszystko przesłoniła chmura dymu.

- Dlaczego oni nie opuszczają bandery? - rzucił ze złością Trollope, po czym dodał spieszenie: - Nie mogę na to dłużej patrzeć. To jest już kaleka nie okręt. Postawić żagle. Znajdziemy innego przeciwnika.

Delancey przekazał rozkazy. Ludzie rzucili się do osprzętu, żagle wypełniły się wiatrem i *Russell* zaczął się powoli cofać. Odgłos huku dział przycichł, kiedy przepływali obok rozbitego *Alkamara*, a potem po nawietrznej stronie okrętów *Powerful* i *Adamant*. Zamajaczył też im *Agincourt*, który zdawał się unikać bitwy. W końcu udało im się wciągnąć do walki *Jupitera*, okręt o siedemdziesięciu czterech działach z flagą wiceadmiralską. Przez moment wydawało się, iż może dojść do pojedynku na mniej więcej równych warunkach. Ale niebawem Trollope zdał sobie sprawę, że *Jupiter* jednocześnie był atakowany ogniem dział z *Monarcha*, flagowego okrętu Onslowa. *Jupiter* opuścił flagę o 1,35. Jeden wiceadmiral poddał się drugiemu *Russell* odplynął. Gdy Delancey obejrzał się w tył, stwierdził, że trzy inne okręty holenderskie też się poddały, a *Delft* był już

tylko utrzymującym się na powierzchni wrakiem. W danej chwili najbliżej *Russella* znajdował się inny holenderski okręt - *Wassenaer*, ale i ten się już poddał. W kierunku północno-wschodnim, w niedużej odległości, aczkolwiek przysłonięta chmurą dymu, rozgrywała się zaciekle bitwa wokół flagowego okrętu *De Wintera*. Delancey słyszał huk dział, ale nie bardzo mógł się zorientować, co się tam właściwie działo. Dowiedział się o tym nieco później. Płynące w pierwszej linii holenderskie okręty zostały również rozbite. Zaledwie siedem z nich próbowało się wymknąć. Trzech dowódców okrętów flagowych - wśród nich *De Winter* - musiało się poddać. Ostatnim zadaniem wykonanym przez *Russella* było wysłanie swoich łodzi dla ratowania załogi *Delfta*. W konsekwencji wielu ludzi zostało uratowanych, zanim okręt zatonął.

Działa zamilkły dopiero po południu. Obie floty przewalały się z trudem po grzbietach spienionych fal, smagane wiatrem. W zapadającym mroku niektórym holenderskim okrętom udało się umknąć, pozostały tylko tu i ówdzie tonące kadłuby, z trudem uratowane, albo te, które usiłowały dopłynąć do wybrzeża po zawietrznej. Holenderski brzeg był oddalony zaledwie o pięć mil, a głębokość wody, gdzie okręty były zanurzone, wynosiła zaledwie dziewięć sążni. Straty w ludziach na *Russellu* były niewielkie: ani jednego zabitego, a tylko siedmiu rannych. Wśród poszkodowanych znajdowali się: porucznik Johnson, oficer nawigacyjny, jego zastępca, bosman i dowódca marines. Uszkodzenia kadłuba i osprzętu były znaczne, Delancey więc nie miał lekkiego zadania, chcąc

dokonać koniecznych napraw, takich jak: wiązanie, splisowanie lin, łatanie dziur, słowem, tego, co pozwoliłoby okrętowi na oddalenie się od niebezpiecznego brzegu i ewentualne dopłynięcie do Nore.

Była to ciężka praca dla wszystkich, zwłaszcza że zabrakło oficera nawigacyjnego i bosmana. Toteż Delancey odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie wydał rozkaz rzucenia kotwicy. Dopiero nazajutrz w czasie kolacji oficerowie mogli sobie pozwolić na przedyskutowanie przebiegu bitwy. Wszyscy byli w wyjątkowo ponurym nastroju.

- Zdaje mi się - rzekł Vernon - że dla większości z nas była to pierwsza w życiu bitwa. Mam na myśli pierwszą większą bitwę. Przyznam się, że zostawiła ona we mnie uczucie rozczarowania.

- Tak - przytaknął Lloyd. - Bo było to nie tyle starcie, co masakra. Najbardziej interesuje mnie to, dlaczego holenderska flota w ogóle zdecydowała się opuścić port. Sądzę, że De Winter nie miał żadnej koncepcji. Kiedyś istniał plan dokonania inwazji na Irlandię, ale został zaniechany i wojska zostały wysadzone na brzeg. Wydaje się, że wypad Holendrów był w ogóle bezsensowny.

- Dowiedziałem się od kapitana, że De Winter otrzymał rozkaz wypłynięcia - wyjaśnił Delancey. - Rozkaz od holenderskiej admiralicji. Niektórzy cywile uważali, że powtórzą oni wyczyn z ubiegłego stulecia.

- No, cóż! Dlaczego by nie? - zażartował Lloyd. - Mieli przecież okręty liczące sobie przeszło sto lat. Na przykład ten nieszczęsny, który rozbiliśmy na samym początku.

- *Delft* - wtrącił Delancey.

- Tak. *Delft*. On w ogóle nie powinien brać udziału w bitwie.

- Ależ my także mamy pięćdziesięciodziałowe okręty - zaproponował lekarz McClure. - Taki *Adamant* na przykład czy *Chatham*...

- Ale tamten typ jest mimo wszystko bardziej przestarzały - upierał się Lloyd. - Poza tym *Chatham* został zbudowany jeszcze w 1758 roku. Pięćdziesięciodziałowy okręt może się przydać jako okręt

flagowy, stacjonujący na jakiejś placówce poza granicami albo w najlepszym razie jako eskorta konwoju. Ale wprowadzenie takiego okrętu do bitwy to morderstwo!

- To prawda, zwłaszcza jeśli jego przeciwnikiem jest okręt z siedemdziesięcioma czterema działami - rzucił McClure.

- Na dodatek *Delft* znalazł się pomiędzy naszym okrętem a *Montagu* - dodał Lloyd. - Nigdy się nie dowiem, ilu ludzi zostało tam zabitych lub rannych, bo większość z tych rannych zaraz utonęła. Kiedy uratowano Bullena z *Monmoutha*, powiedział później, że *Delft* był w opłakanym stanie. Wrak zbryzgany krwią! Jatka!

- Nie mogę zrozumieć, jak ten okręt zdołał tak długo się ostrzeliwać - zauważył Delancey.

- Te holenderskie okręty nigdy jeszcze nie były pod ostrzałem.

- Holendrzy dobrze się trzymali przy działach - przyznał McClure. - Nasi oficerowie też to musieli przyznać. Ale ja uważam, że wielu z ich ludzi walczyło bez zapału. Nie żywili oni przecież miłości do republikanów ani francuskich, ani holenderskich. Niektóre z ich okrętów, zwłaszcza te, które nie zostały bezpośrednio zaatakowane, po prostu uciekły.

- Jeżeli chodzi o premię pieniężną, to nie wyjdziemy na tym dobrze - rzekł Lloyd, zmieniając temat. - Te zdobyte statki, które przywlekliśmy, prawie wszystkie są nic niewarte.

Przewidywania co do finansowej strony całej sprawy sprawdziły się. Nagrody mogły im być przyznane tylko takie, jak za drzewo opałowe, bo ani jeden okręt nie nadawał się już do użytku.

Jednakże zwycięzcy spod Camperdown nie zostali całkowicie zapomniani. Nadeszła wiadomość, iż admirał Duncan otrzymał godność i tytuły:

barona Lundie i wicehrabiego Camperdown. Doniesiono także, że flotę zwizytuje osobiście sam król Jerzy III. Nastąpić to miało 30 października. Zabrano się więc z tej okazji do bardzo starannych przygotowań. Kapitan Trollope posłał od razu po Delanceya i powiedział mu, że przez następnych kilka dni będzie on dowodził *Russellem*.

- Jego Królewska Mość zgodnie z planem ma pojechać do szpitala do Greenwich, a tam wsiąść na jacht *Royal Charlotte*. Dwa inne jachty, *Princesse Augusta* i *Mary*, będą oddane do dyspozycji wyznaczonym przez admiralicję utytułowanym dowódcom. Mnie zlecono dowodzenie *Royal Charlotte*.

- Moje gratulacje, sir.

- Pogratuluje mi pan, kiedy to wszystko się skończy. Istnieją obawy, że pogoda może nam nie dopisać. Jeżeli rozbije jacht i zatopię samego władcę, to resztę życia spędzę na tłumaczeniu się z tego.

- Jestem pewien, że wszystko dobrze pójdzie, sir. Jeżeli chodzi o Ich Lordowskie Moście, to wizyta ich w Nore będzie miała teraz zupełnie inny charakter. Okoliczności są nieco odmienne od poprzednich. Mam na myśli ostatnią inspekcję.

- Zgadza się. To prawda. Te same załogi, które parę miesięcy temu przystąpiły do buntu, teraz przyprowadziły jedenaście nieprzyjacielskich okrętów i trzech wziętych do niewoli admirałów.

- To bardzo dobrze świadczy o admirale Duncanie jako dowódcy.

- Oczywiście, że tak. A teraz powierzam panu przygotowanie *Russella* do królewskiej inspekcji.

Nastaly gorączkowe dni. Roboty stolarskie, naprawa osprzętu, a potem malowanie i pucowanie. Oficerowie opodatkowali się, by kupić złotą folię na pokrycie figury dziobowej i rzeźb na rufie, młodszy oficerowie zrobili to samo, by odnowić szelputy na szczycie

bramstengi. Potem rozpoczęły się ćwiczenia załogi, by należycie przywitała dostojnych gości.

30 października wszystko było gotowe. Dzień zaczął się od silnego wschodniego wiatru, który stopniowo przybierał na sile, przechodząc w końcu niemal w wichurę. „*Royal Charlotte* nie da sobie z tym rady” - rzekł Delancey do siebie ciągle jeszcze zajęty przygotowaniami. Wszyscy inni doświadczeni marynarze myśleli to samo. Ale nie ustawiali w pracy. Dopiero po południu otrzymali wiadomość, że wizyta królewska została odwołana. Król dotarł do Gravesend, ale potem zawrócił lądując w końcu z powrotem w Greenwich. Napięcie opadło, ale pozostało rozczarowanie i Delancey czuł, że należy coś powiedzieć załodze. Kiedy wszyscy się zebrali, zdobył się na wysiłek, by po raz pierwszy w życiu wystąpić z przemówieniem.

- Spodziewaliśmy się, że dzisiaj będziemy gościć Jego Królewską Mość, który miał przyplłynąć z Greenwich na *Royal Charlotte*. Niestety, zerwał się przeciwny wiatr i doniesiono mi przed chwilą, że *Royal Charlotte* musiał zawrócić. Kiedy uprzytomnicie sobie, że królewskim jachtem dowodzi kapitan Trollope, to przyznacie, iż gdyby to było możliwe, wizyta ta niewątpliwie doszłaby do skutku. Ponieważ zabrakło tu osoby królewskiej, jak również kapitana Trollope'a, na mnie spadł obowiązek, by powiedzieć to, co oni powiedzieliby przy tej okazji. Kapitan Trollope oświadczyłby krótko: „Dobra robota, chłopcy! Nasz okręt pełnił służbę przez trzecią część stulecia. Ostatnio brał udział w dużej akcji bojowej. To wasza zasługa, że wygląda, jakby dopiero co został spuszczony na wodę”. A Jego Królewska Mość powiedziałby pewnie to, co ja powiem w tej chwili: „Załoga. Do zaplatania brasów!” Rozległy się wesołe okrzyki i wniesiono grog. Delancey kazał też podać wino do kolacji w mesie oficerskiej. W tym czasie nadeszła wiadomość, że zanim król

wylądował w Greenwich, nadał kapitanowi Trollope'owi tytuł szlachecki. Z tej okazji Delancey wznosił toast za sir Henry Trollope'a. Podkreślił przy tym, że gdyby nie jego odwaga i znajomość sztuki żeglarskiej, nigdy nie doszłoby do zwycięskiej bitwy pod Camperdown.

Był nieco zaskoczony, kiedy Vernon wznosił toast następny:

- Kapitanie Delancey, gratulacje od wszystkich oficerów z powodu pańskiego zasłużonego awansu.

Delancey przerwał mu grzecznie:

- Słuchajcie, panowie, nie wiemy nic o żadnych awansach dla któregokolwiek z nas. Powinniśmy raczej wnieść toast za całą naszą załogę, za niższych oficerów, marynarzy i marines okrętu *Russell*.

Nazajutrz Delancey odwiedził „Złotego Koguta”, gdzie powitali go starzy przyjaciele: „Łom” Crowley, Dumbell i Wetherall. Wszyscy składali mu gratulacje z powodu oczekującego go awansu, on jednak prosił, by się wstrzymali, aż zobaczą jego nazwisko w „Gazette”.

- Ach, byłbym zupełnie zapomniał – powiedział Crowley. - W dzisiejszym dzienniku wyczytałem coś, co powinno pana zainteresować. Zaraz, co to było?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem! - zawołał Wetherail. - Ale mam tutaj gazetę, więc może pan sam poszuka.

Crowley wziął „Gazette”, włożył okulary i zaczął czegoś szukać, przelatując wzrokiem po kolumnach.

- Może to był nekrolog donoszący o śmierci jakiegoś starszego oficera, którego za coś

odznaczyli, ale nigdy już potem nie dali pracy. Zaraz, co to było za nazwisko...? Otway, Hockley, chociaż nie, nie widzę tu żadnych nekrologów. Ani jednego. Są czasem na drugiej stronie, ale sądzę, że dziś nie było na nie miejsca z powodu doniesień z posiedzenia w Maidstone. O, tu jest podany jakiś wyrok. Słuchajcie! Na fermiera, który zabił dojarcę. Paskudna historia.

Przypuszczam, że była denerwującą dziewczyną, ale to jeszcze nie powód, żeby złapać za nóż do obcinania krzewów i... Ohydne! Wyobrażam sobie, jak to musiało wyglądać potem! Aha, mam wreszcie. Tu jest ta wiadomość, o której powinien pan wiedzieć. „Porucznik marynarki uniewinniony od zarzutu morderstwa”. Tak, to to. Słuchajcie: „Pan Aleksander Grant z okrętu Jego Królewskiej Mości *Glatton*, który został oskarżony o zamordowanie Thomasa Batleya, odbywającego służbę na tym okręcie, został wczoraj uniewinniony. Uzasadnia się to tym, że wyżej wymieniony Thomas Batley zbuntował się i sprzymierzył z innymi, którzy byli w stanie buntu. Sprawa została umorzona bez powołania jakichkolwiek świadków obrony. Oznacza to, że postępowanie Granta było usprawiedliwione i nie ma powodu, by za nie odpowiadał przed sądem”. Kiedy to przeczytałem, pomyślałem sobie, że pana Delanceya zainteresuje pewnie ta sprawa, jako że *Glatton* to przecież jego okręt. Ale potem jakoś o tym zapomniałem.

- Dziękuję, panie Crowley, rzeczywiście bardzo to mnie interesuje.

ROZDZIAŁ 6

Pokłosie bitwy

Sir Henry Trollope po otrzymaniu szlacheckiego tytułu bawił od paru tygodni w Londynie. Flota Morza Północnego stała w porcie; nałożone na nią zadania związane z blokadą wypełniła, a ceremonie, bankiety i inne uroczystości dla uczczenia zwycięstwa były na porządku dziennym. Delancey otrzymał wezwanie sir Henry Trollope'a, powierzył więc dowodzenie *Russellem* Vernonowi, pojechał do Londynu i zameldował się w admiralicji. Powiedziano mu, że król zamierza wziąć udział w uroczystym nabożeństwie w katedrze Św. Pawła, by podziękować Bogu za trzy morskie zwycięstwa, odniesione przez lorda Howe, lorda St Vincenta i lorda Duncana. Zdobyte flagi miały być przewiezione uroczyście ulicami na wozach artyleryjskich, a potem wniesione do katedry przez poruczników, którzy brali bezpośredni udział w tych bitwach. Delancey miał być jednym z nich. Wraz z innymi dostał instrukcje od niższego urzędnika dworskiego nazwiskiem Paget. Pisemne wskazania były dość jasno sformułowane, stąd też i pierwsza próba przeszła bez żadnych potknięć. Ale potem przyszły uzupełnienia. Flagi miały zostać ustawione w krąg pod kopułą, po czym po kolei miały być wręczane admirałom. Następnie admirałowie osobiście mieli wręczyć flagi biskupowi Lincolnowi, który był jednocześnie dziekanem katedry Św. Pawła, a jego zadaniem było złożenie ich na ołtarzu. Założenia ceremonii były proste, ale trudność polegała na zebraniu wszystkich admirałów razem dla przeprowadzenia próby. Przysyłali oni

swoich przedstawicieli na kolejne zebrania informacyjne, ale przecież to nie reprezentanci mieli wziąć udział w uroczystościach w tym wielkim dniu. Pan Paget pośpiesznie krążył tam i z powrotem między pałacem Św. Jakuba, admiralicją, dziekanatem i Wyższą Szkołą Wojenną. Porządek uroczystości został rozpisany, potem jednak wniesiono poprawki, a więc musiał zostać rozpisany powtórnie i powtórnie przeciwiczonemu. Wszyscy ci, którzy mieli nieść flagi, niczego w końcu bardziej nie pragnęli jak tego, żeby do tego zaszczytu został wybrany ktoś inny.

Wskutek tych wszystkich przygotowań pobyt Delanceya w Londynie przeciągnął się do kilku tygodni. Nie był zbyt zajęty, tak że niemal wszystkie wieczory mógł spędzać albo na kolacji w

tawernie, albo w teatrze. W mieście panowała atmosfera festynu i prawie każdy teatr pokazywał widowiska przedstawiające bitwę pod Camperdown. Podniecenie wzrosło, gdy rozeszła się pogłoska, że sam lord Duncan bawi w Londynie. Jak dotąd nie pokazał się na żadnej z prób. Pan Paget wysłał kolejną instrukcję do zamku Walmer, gdzie jak go poinformowano, lord zatrzymał się u premiera. Jego przybycie do miasta rozwiązywało jeden problem, ale rodziło inny, gdyż należało sądzić, że ostatnia instrukcja czekała na lorda w Walmer. Już nazajutrz miała się odbyć następna próba, którą po raz pierwszy lord Duncan chciał obejrzeć, więc zabiegany pan Paget popadł w prawdziwą rozpacz. Było sprawą życiowej wagi, aby admirał otrzymał plan uroczystości, więc Delancey zaofiarował się, że osobiście doręczy mu list jeszcze tego popołudnia. Propozycja jego została gorąco przyjęta, gdyż wszystkim posłańcom powierzono już inne zadania.

- To wielka uprzejmość z pana strony, panie Delancey. Jestem naprawdę ogromnie wdzięczny. Sądzę, że lord zatrzymał się u swego

szwagra, pana Williama Dundasa, członka parlamentu, w apartamentach Lincoln's Inn Fields.

Delancey wziął ten ważny list i wyruszył wynajętym powozem na Lincoln's Inn. Gdy zjawił się pod właściwym adresem, służący oznajmił, że pan Dundas udał się z przyjacielem na kolację do Piazza Coffee House w Covent Garden. Delancey domyślił się, kim jest ów przyjaciel, i kazał swemu woźnicy jechać do Covent Garden.

Piazza to była duża i znana restauracja, ogromnie uczęszczana, ale kelner znał swoich klientów.

- Pan Dundas, sir, bratanek ministra Dundasa? Tędy, sir.

I poprowadził Delanceya do jednego z małych stolików, przy którym dwóch panów jadło befsztyki. Przed nim stała butelka clareta. Jednego z mężczyzn Delancey nie znał, drugim jednakże, aczkolwiek miał na sobie cywilne ubranie, był bez wątpienia potężny i tęgi wicehrabia Duncan z Camperdown.

- Czy pan Dundas? Chciałbym się przedstawić. Jestem pierwszym porucznikiem na okręcie *Russell*. Mam list do Jego Lordowskiej Mości. Proszono mnie, bym go oddał do rąk własnych.

- Cieszę się, że mogę pana poznać, Delancey. Proszę z nami wypić kieliszek clareta. Zdaje mi się, że już pan poznał lorda Duncana.

- Tak jest - potwierdził lord Duncan. - Był pan kiedyś moim gościem na pokładzie *Venerable*. Sir Henry bardzo pochlebnie o panu mówi.

Delancey złożył niski ukłon i wręczył list, potem usiadł na krześle, które kelner nie wiadomo skąd przyniósł.

- Po co to całe nudziarstwo? - spytał admirał, rzuciwszy okiem na długie szpalty instrukcji. - I to wszystko po to, żeby mi powiedzieć, jak się mam zachować. Jest jedna rzecz, której się nauczyłem, jeśli chodzi o uroczyste ceremonie. Nie należy zwracać uwagi na wcześniejsze instrukcje, ponieważ zostaną one zmienione w przeddzień uroczystości. Kiedy już będę w katedrze, wtedy zapytam, co mam robić.

Ani lord Duncan, ani Delancey nie byli w mundurach, a jednak ich spotkanie miało charakter służbowy. W pewnym momencie panu Dundasowi podano kartkę od znajomego, który jadł kolację o kilka stolików dalej. W liście tym ów znajomy pytał, czy gość Dundasa nie jest przypadkiem lordem Duncanem. Dundas rozejrzał się i kiwnął potakująco głową we właściwym kierunku. Rezultat był nieoczekiwany, i to dość kłopotliwy. Ów znajomy, któremu Dundas dał potakujący znak głową, wskoczył nagle na stół z kielichem w dłoni i zażądał, by obecni wypili za zdrowie admirała. Gdy spełniono toast, Duncan powiedział kilka słów podziękowania, a goście skwitowali to trzema

radosnymi okrzykami. Potem podniosła się ogólna wrzawa. Przy pomocy Dundasa i Delanceya admirał przedostał się do drzwi i dał znak oczekującemu powozowi. Nie udało mu się jednak ten manewr, gdyż zebrani na ulicy gapie wyprzęgli konie i zaczęli wlec powóz dokoła Covent Garden. Sytuację uratował Delancey znalazłszy inny powóz, dzięki czemu lordowi Duncanowi udało się wreszcie odjechać. Kiedy już wehikuł zniknął, Delancey postanowił wycofać się także, udając jednego z dżentelmenów, który przez cały czas wznosił radosne okrzyki razem z tłumem.

- Najmocniej pana przepraszam - zwrócił się do stojącego obok mężczyzny. Nagle twarz jego wydała mu się dziwnie znajoma. Jednocześnie sam także został rozpoznany.

- O Boże! Czy to możliwe? Czy pan nie jest przypadkiem Olivierem Delanceyem? -. Ten, do którego Delancey się zwrócił, był przystojnym mężczyzną o wojskowym sposobie bycia.

- A pan jest... Ależ tak! Oczywiście! Młody Ryszard Delancey, mój kuzyn z marynarki wojennej! - zawołał.

- Już nie taki młody, ale w każdym razie Ryszard.

- Nie widzieliśmy się przeszło dziesięć lat, a teraz nagle wpadamy na siebie na ulicy w Londynie!

- Przypuszczam, że twoja rodzina przeprowadziła się tutaj po wojnie. Słyszałem jakieś plotki na ten temat.

- Tak. Ameryka to nie miejsce dla rodziny lojalisty, zwłaszcza gdy straciliśmy nasze posiadłości w Nowym Jorku. Ojciec jest na emeryturze i żyje w Bath. Ja jestem pułkownikiem 17 Pułku Dragonów i generalnym dowódcą koszar. Mój bratanek William jest kapitanem 16 Pułku Lekkich Dragonów. Jestem z nim w kontakcie. Musimy zjeść razem kolację i porozmawiać o dawnych czasach.

- A Charlotte?

- Smutna historia... Wyszła za mąż za młodego Bayarda i umarła przy porodzie. Zapomniałem, że się nią kiedyś interesowałeś. Spotkajmy się tutaj w Piazza jutro. Odpowiada ci? Zaproszę też Williama. O wpół do czwartej. To świetnie! A więc do zobaczenia!

Ryszard Delancey odszedł myśląc o tym przypadkowym spotkaniu. Wydało mu się, że wieki upłynęły od czasu, gdy był podchorążym w Nowym Jorku i uważał, że jest zakochany w Charlotte Delancey. Był to jedyny okres w jego życiu, kiedy wydawało mu się także, że jest członkiem tak zwanego dobrego towarzystwa. Odkrył, że wszyscy jego krewni byli Amerykanami. Po pewnym wahaniu zaakceptowali go jako kuzyna. Biedny i bez żadnych perspektyw, ale jednak Delancey. W Anglii był nikiem, człowiekiem z Guernsey o wątpliwym pochodzeniu. W Guernsey zdobył pewną reputację wśród

kaperów, ale nigdy nie został prawdziwym wyspiarzem ani sam się za takiego nie uważał. Przez chwilę siedział w Piazza przy jednym stole z lordem Duncanem i panem Williamem Dundasem, członkiem parlamentu z Edynburga. Myślał sobie wtedy, jak to musi być cudownie należeć, tak jak ci dwaj, do znanych arystokratycznych rodów. Jego nazwisko brzmiało dość dobrze, nie znał jednak w Londynie ani jednej żywej duszy. Ludzie, którzy się naprawdę liczyli, byli ze sobą spokrewnieni, jego zaś najbliżsi krewni - tak przynajmniej dotąd uważał - żyli w Nowym Jorku. Teraz okazało się, że wszyscy byli w Anglii, ciągle jeszcze bogaci, posiadający wysokie wojskowe stopnie i ciągle jeszcze gotowi przygarnąć go, uboższego krewnego. Mieć jako powinowatych takich eleganckich kawalerzystów znaczyło, że się samemu jest kimś, zwłaszcza gdy oczekiwało się na awans. Cieszył

się, że znów spotka Oliviera i Williama. Zaproszenie, które otrzymał, sprawiło, że poczuł się mniej samotny na świecie.

Nazajutrz Delancey zapewnił pana Pageta, że lord Duncan otrzymał ostatni egzemplarz porządku uroczystości. Paget podziękował mu jakby od niechcienia i oznajmił, że osobisty udział Delanceya w ceremonii nie będzie potrzebny.

- Wiedziałem, że pan Philips z okrętu *Ardent* otrzymał nominację na post-kapitana, założyłem jednak, iż nie będzie on mógł wystąpić jako niosący flagę w czasie nabożeństwa dziękczynnego. Teraz jednakże wydaje się, że jego nominacja - aczkolwiek zatwierdzona - nie została jeszcze ogłoszona w dzienniku. Dopiero wczoraj poinformowano mnie, że może on tutaj przybyć. Jego obecność jest oczywiście bardzo pożądana, gdyż odegrał dużą rolę w bitwie.

Po tym oświadczeniu Delancey usłyszał parę słów podziękowania i pocieszenia, po czym Paget wyszedł spieszenie, mrużąc coś na

temat zmian w kolejności podjeżdżania powozów z uczestnikami uroczystości.

Odczuwając pewną ulgę, chociaż także i rozczarowanie, Delancey pozostawił innym oficerom studiowanie ostatnich, aczkolwiek na pewno nie ostatecznych instrukcji. Właściwie nie miał już do załatwienia w Londynie żadnych spraw poza wizytą u sir Henry Trollope'a przy ulicy St James. Powinien zameldować mu o tym, że jego udział w nabożeństwie dziękczynnym nie jest już potrzebny i że w związku z tym wraca na *Russella*. Jednakże Delancey nie zastał Trollope'a, gdyż ten gdzieś wyszedł, pozostawił więc list z wyjaśnieniem. Wrócił do swojej kwatery na Picadilly i zapowiedział wyjazd na dzień następny. Na koniec udał się do krawca, aby wziął miarę na nowy mundur.

Stary pan Hollingworth kręcąc się koło niego z miarką zaczął wypytywać na temat złożonego galonu.

- Dowiedziałem się, sir, że był pan pierwszym porucznikiem na *Russellu* podczas tej bitwy. To oznacza awans i inny krój munduru. Mogę przerobić pański stary mundur, żeby mógł go pan używać na co dzień, ale będzie pan potrzebował czegoś lepszego do zasiadania do stołu razem z admirałem albo na wielkie przyjęcia. Trzeba mieć coś według ostatniej mody.

Delancey przystał na to, ale powiedział, że potwierdzi zamówienie, gdy zobaczy swoje nazwisko w dzienniku. W myśli zanotował sobie, że będzie też musiał kupić nowy kapelusz, który by pasował do nowego munduru. Cieszył się, że przynajmniej jego szpada może się ostać nowym wymogom. Nowe koszule, pończochy i krawat mógł nabyć od razu, jako że te zawsze mogły się przydać. Wiedział, że arystokratyczni kapitanowie kupiliby sobie srebrną zastawę do obiadu. Taka admiralska srebrna zastawa w wypadku nominacji na głównodowodzącego kosztowałaby dwa tysiące funtów! Roztropnie postanowił odłożyć tego rodzaju inwestycje do czasu, gdy jego konto

u agenta będzie wyglądać bardziej imponująco. Po pokryciu bieżących wydatków pozostanie mu jeszcze kredyt, ale niewielki. Mógł co prawda żądać w admiralicji zwrotu kosztów swego pobytu w Londynie, ale zanim wypłacą jednego pensa, trzeba czekać zwykle całe miesiące. Powinien też otrzymać przypadającą mu w udziale część premii za zatopione lub wzięte do niewoli w Camperdown okręty, ale i to potrwa. Tymczasem właśnie teraz bardzo by mu się to przydało. Od czasu, gdy przeszedł na *Russella*, nie otrzymał żadnych pieniędzy z tytułu przyzy.

Kolacja w Piazza Coffee House była znakomita, a pułkownik Delancey okazał się czarującym gospodarzem, człowiekiem światowym pod każdym względem. On i jego bratanek mieli na sobie cywilne ubrania, ale w sposobie bycia obu było coś wojskowego. Do Williama człowiek otwierający drzwiczki jego powozu, mówił „panie kapitanie”.

- Dochodzę już do pięćdziesiątki - powiedział Olivier. - Mam jakiś udział w ostatniej wojnie. Teraz pracuję w sztabie. Planuję wszędzie koszary. Następnym bohaterem rodziny będzie ten oto William. Któregoś dnia usłyszymy pewnie, jak to jego dragoni przebijali się przez szeregi francuskiej armii. Kelner, proszę napełnić kieliszki! A jak tam z tobą, Ryszardzie, brałeś udział w bitwie pod St Vincent?

- Nie. Walczyłem pod dowództwem lorda Duncana w ostatniej bitwie u wybrzeży holenderskich.

- Doprawdy? Na Boga! Była to najbardziej krwawa bitwa w całej wojnie. Tak przynajmniej powiadają. Czy znajdowałeś się na okręcie flagowym?

- Nie. Byłem na okręcie *Russell*, dowodzonym przez kapitana Trollope'a, który obecnie otrzymał szlachectwo.

- I to właśnie Trollope doprowadził do bitwy - rzekł William. - Najmądrzejszy człowiek, jakiego można sobie wyobrazić. Któregoś wieczora spotkałem go u lady Sarah.

- Przypuszczam, że ten *Russell* był w samym ogniu bitwy?

- Niezupełnie - odparł Ryszard. - Przeciwnikiem naszym był przestarzały holenderski okręt *Delft*, mający zaledwie pięćdziesiąt dział. Zanim go wykończyliśmy, wyglądał jak skrwawiona kupa drewna na opał. Opuścił flagę, ale zatonął, zanim załoga ściągająca łupy zdążyła go dowlec do portu. Potem nie mogliśmy znaleźć żadnego przeciwnika, wszystkie okręty albo się poddały, albo uciekły.

- W takim razie nie mieliście chyba wielkich strat? - spytał William.

- Siedmiu rannych i ani jednego zabitego.

- To wam wcale nie przynosi korzyści. Są dwie zasady wojenne - zarówno na lądzie, jak i na morzu. Pierwsza - to ta, że zdobywa się więcej w zamian za udział w jednej dużej bitwie niż w kilkunastu drobnych utarczkach, w których naprawdę ryzykuje się życie. Teraz możesz powiedzieć: „Byłem pod Camperdown”, i to już robi z ciebie bohatera, jeżeli nawet żaden strzał nieprzyjacielski nie padł w odległości mili od ciebie. Ten tutaj mój wuj brał udział w bitwie o Brooklyn i w bitwie o White Plains. Nie przypuszczam, by kogokolwiek zabił w którejkolwiek z nich. Natomiast otarł się o śmierć w kilkunastu spotkaniach, o których nikt nigdy nie słyszał. Ale to bitwy dały mu tytuł weterana. Druga zasada wojenna jest taka: odznaczenia zdobywa się proporcjonalnie do straconych ludzi. Wpakuj się w zasadzkę, strać połowę swego cholernego regimentu, a na dodatek niech jeszcze ustrzelą konia pod tobą, wróc z jakąś raną na ciele, wtedy jesteś prawdziwym bohaterem, który zasłużył na to, by zrobić go generałem!

- Zapomniałeś o trzeciej zasadzie - rzucił porucznik. - Trzymaj swój regiment z dala od poważnego niebezpieczeństwa, a powierzą ci pieczę nad koszarami.

Roześmieli się, po czym Williams spytał Ryszarda, jaką funkcję sprawował na okręcie *Russell*.

- Pełniłem obowiązki pierwszego oficera.

- No to awans już pewny! Musimy wypić za twoje zdrowie jako... jak to tam u was jest... kapitana i dowódcy. Za kapitana Ryszarda Delanceya!

Był to naprawdę przyjemny wieczór. Dwaj kawalerzyści, wuj i bratanek, mieli tak samo beztroskie i cyniczne podejście do życia. Starszy niejedno już widział, spędził bowiem wiele czasu pod namiotem wojskowym i należał do ludzi obytych i doświadczonych. Tłumaczył im, iż aby być użytecznym jako generał w danej kampanii, trzeba mieć przeszkolenie w tej właśnie wojnie, a nie w poprzedniej. On doświadczenia wojennego nabierał w Ameryce, a od tego czasu wszystko się zmieniło. Młodszy z kuzynów miał ten sam arystokratyczny manieryzm, połączony jednak z głębszym zainteresowaniem dla swojego zawodu. Obaj prześcigali się w rzucanych niby mimochodem

wzmiankach o swoich znakomitych przyjaciółach, jakimś lordzie, o „starej Q”, o lady Harriet czy jakiejś młodej Katie. Jeżeli chodzi o pochodzenie, to ci dwaj przedstawiciele rodu Delanceyów nie byli w lepszej sytuacji niż on, ale mieli pieniądze, a na tym polegała tajemnica, jak się je pomnaża.

- Zaraz - wtrącił pułkownik - tyś się wychował w Guernsey, o ile pamiętam. Sądzę, że tam również przydałoby się trochę więcej koszar.

- Bardzo możliwe - odparł Ryszard. - Co prawda są tam jakieś koszary w pobliżu portu St Peter. - Mówiąc o tym, miał je przed oczyma, kiedyś bowiem niedaleko nich stawał w pojedynku.

- Tak, ale jak przedstawia się sytuacja w północnej części tej wyspy? Jeżeli wojna będzie się przedłużać, to będziemy tam potrzebować więcej koszar. Powinny one być zlokalizowane bliżej... Jak się nazywa to miasteczko, które ma port?

- St Sampson.

- Tak, o to mi chodziło. Muszę jeszcze raz przestudiować mapę.

Ryszardowi wydało się dziwne, że planowanie rozbudowy koszar w Guernsey mogło odbywać się właśnie w Londynie. Przypuszczał, że podobne żądanie powinno raczej wyjść od komendanta gubernatora Guernsey, by potem najprawdopodobniej napotkać sprzeciw Gwardii Konnej ze względu na niepotrzebne wydatki. Jednakże wszystko to należało do problemów wojskowych, a w tym zakresie nie miał żadnego doświadczenia.

Kolacja dobiegła końca. Rozstał się ze swymi przyjaciółmi i krewnymi w bardzo dobrej atmosferze. Spędził noc w swoim lokum, a nazajutrz wybrał się pojazdem do Rochester i Chatham. Cieszył się, że wraca na *Russell* choćby i dlatego, że pobyt w Londynie sporo go kosztował. Vernon powiedział mu, że sir Henry jeszcze pozostanie w Londynie, ale wróci nazajutrz po nabożeństwie dziękczynnym w katedrze Św. Pawła.

- Podobno uroczystość zapowiada się wspaniale - dodał.

- Chyba tak - rzucił krótko Delancey.

Na okręcie objął dowództwo i zabrał się do szkolenia kilku świeżo zaciągniętych do służby członków załogi.

Kiedy sir Henry Trollope wszedł na pokład, załoga powitała go radosnymi okrzykami. Zresztą nie tylko załoga. Również marynarze znajdujący się na pokładach najbliższej stojących na kotwicy okrętów. Mimo to wyglądał na zatroskanego.

Posłał po Delanceya i z miejsca przystąpił do rzeczy.

- Prawdopodobnie już pan słyszał, Delancey, że nagrody dla Floty

Morza Północnego przyznano dość szczerze. Admirał Duncan otrzymał tytuł para, admirał Onslow - baroneta, a ja i Fairfax - tytuły szlacheckie. Niektórym buntownikom darowano kary, a każdy z kapitanów dostał medal. Może pan już słyszał, że wszyscy pierwsi porucznicy zostają awansowani na mistrów i dowódców, z wyjątkiem Philipa z *Ardenta*, który nawiasem mówiąc otrzymał od razu nominację na dowódcę tego okrętu. Zdaje pan sobie oczywiście sprawę, że awansowanie pierwszego porucznika jest zawsze uważane za komplement dla dowódcy. Ponieważ awans na kontradmirała jest wyłącznie sprawą wysługi lat, to komandor, który zdobywa nieprzyjacielski okręt, nie może być awansowany. Dlatego też awans przypada jego prawej ręce, pierwszemu porucznikowi, któremu można też od razu, jak w przypadku tego Philipa, przydzielić stanowisko dowódcy okrętu bez czekania. Jeżeli chodzi o okręt *Ardent*, to poniósł on największe straty w ludziach: czterdziestu jeden zabitych, w tym kapitan i jeden oficer, oraz stu siedmiu rannych, w tym ośmiu oficerów. To Philip właśnie, jak pan wie, dowodził akcją, gdy Burgess został zabity.

Wie pan niewątpliwie i o tym, jak sądzę, że Williamson z *Agincourta* ma być postawiony pod sąd wojenny. Domyśla się pan, tak jak i ja, że niektórzy oficerowie mieli szczęście, iż uniknęli tego samego losu.

Kapitan Trollope zdawał się ociągać z oznajmieniem czegoś nieprzyjemnego, dotyczącego sprawy awansu Delanceya. Wreszcie przeszedł i do tego.

- Jeżeli chodzi o *Russella*, to sytuacja była szczególna. Nasz pierwszy porucznik z nominacji został szczęśliwie uniewinniony na sesji sądowej w Maidstone. Ale to pan, pełniący obowiązki pierwszego porucznika, wziął bardzo chwalebnie udział w bitwie. W admiralicji poprosiłem więc o awans dla was obu. Prośba moja została jednak odrzucona. Wy tłumaczono mi, że inni kapitanowie mogliby

mieć pretensję, dlaczego także nie mają prawa do dwóch awansów. Wy tłumaczono mi również, że *Russell* wypełnił wprawdzie swoje zadanie, ale nie był w największym ogniu walki. Innymi słowy, nasz „rzeźniczy rachunek” był niczym w porównaniu z takim *Ardentem*. Swoją drogą nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego duże straty w ludziach są dowodem heroizmu. Uważam, że często są one dowodem głupoty kapitana. No, ale cóż - to są kryteria, według których w admiralicji ocenia się zasługi. A więc, jak powiedziałem, mogłem otrzymać tylko jeden awans, a wybór pozostawiono mnie. Musi pan sobie zdawać sprawę, że znalazłem się w bardzo trudnym położeniu, mam bowiem o was obu jak najlepszą opinię. Bez wątplenia obaj zasługujecie na awans. Grant jest najlepszym pierwszym porucznikiem, jakiego kiedykolwiek miałem - znakomity oficer, perfekcjonista, zwolennik dyscypliny. Nie powiedziałbym, że pan mu dorównuje, niech mi pan daruje szczerłość, ale świetnie się pan spisał w czasie bitwy i nikt nie zrobiłby więcej niż pan. No więc, rozumie pan moją sytuację. Musiałem wybrać, i wybrałem Granta.

Po chwili milczenia kapitan Trollope ciągnął dalej: - Chciałbym, żeby pan zrozumiał, dlaczego zrobiłem taki wybór. Pamięta pan, co Grant zrobił dla *Glattona* przerobionego ze statku handlowego. Z początku była to prowizorka, nie określony bliżej okręt wojenny z eksperymentalnym uzbrojeniem. A potem? Zanim Grant z niego odszedł, stał się wspaniałym miniaturowym okrętem liniowym. Bez niego nigdy bym tego nie osiągnął. Grant jest teraz znowu wolnym człowiekiem, ale jaką ma przed sobą przyszłość? Przypuśćmy, że wróciłby na *Russella* jako pierwszy porucznik, a pan dostałby awans. Ludzie powiedzieliby, że specjalnie go pomiąłem, awansując pana. Pozostałby na zawsze człowiekiem, który stał przed sądem

wojennym i zdołał się uratować dzięki technicznym wybiegom. Marynarka wojenna nigdy nie wydała wyroku: Niewinny”. Grantowi więc potrzebny jest ze strony admiralicji gest, który świadczyłby, że uważają go za oczyszczonego z zarzutów, że przyznają, iż rozprawił się z buntem prawidłowo. Jest tylko jeden sposób okazania publicznie aprobaty - a tym sposobem jest awansowanie go. To będzie ostateczna odpowiedź na wszystkie szeptaki i plotki. Może pan pamiętać, co mówili na temat Bligha po buncie na pokładzie *Bounty*. Admiralicja w odpowiedzi na to mianowała go kapitanem. Awans okazał się całkowicie zasłużony, co potwierdziło jego zachowanie w tej ostatniej bitwie. To właśnie pierwszemu porucznikowi Blighowi poddał się admirał De Winter i jeżeli ktokolwiek zasłużył sobie na natychmiastowe otrzymanie dowództwa, to moim zdaniem, właśnie on. Być może zrozumie pan teraz, dlaczego do awansu wybrałem Granta. Był to jedyny sposób uratowania jego kariery. Nie muszę panu mówić, jak bardzo mi przykro, że mogłem mu pomóc jedynie pana kosztem.

Nastąpiła długa chwila milczenia, w czasie której Delancey patrzył niewidzącymi oczyma przez

rufowe okno, jakby zafascynowany widokiem przybrzeżnego stateczku przepływającego obok sąsiedniego liniowca. Ktoś rzucił linę i po chwili był on już bezpiecznie przycumowany. Na inny przybrzeżny statek zostanie załadowany prowiant. Czy ta scena była realna? Czy to wszystko, co kapitan mówił, było prawdą?

- ...To wcale panu nie przynosi ujmy - kontynuował Trollope. - W moim przekonaniu, pański awans nastąpi bardzo szybko. Nie muszę chyba mówić, że zrobię wszystko, co będę mógł. Lord Duncan zna sytuację i ma o panu bardzo wysokie mniemanie. Do mego listu polecającego będzie dołączona również i jego opinia. Oba pisma zawierają najwyższe słowa uznania.

- Dziękuję, sir - usłyszał Delancey własny głos. - Ale czy pan rozważył, co oznacza dla mnie pańska decyzja?

- Naturalnie, że rozważyłem. Przedyskutowałem to również z lordem Duncanem. Rozumiem doskonale, że jest pan rozgoryczony.

- Nie, nie jest to sprawa rozgoryczenia. To, co pan proponuje, jest zdyskredytowaniem mnie w oczach floty. Szesnaście okrętów liniowych bierze udział w dużej bitwie, w bitwie, w której nieprzyjaciół nie tylko zostaje pokonany, ale zniszczony. Po powrocie naszej floty do portu piętnastu spośród szesnastu kapitanów otrzymuje podziękowania i odznaczenia. Jeden jest odznaczony pośmiertnie. Jeden stanął przed sądem wojskowym, oskarżony o tchórzostwo, czternastu spośród piętnastu pierwszych poruczników otrzymuje awans, tylko jeden jest pominięty. Awans zamiast niego otrzymuje inny oficer, który nie brał udziału w bitwie. Dlaczego tamten został pominięty? Czy to jeszcze jeden przykład tchórzostwa, czy niewywiązania się z zadania? Co zaszło na okręcie *Russell*? Cokolwiek by to jednak było, winy za to nie ponosi kapitan, ponieważ wyróżniono go, nadając tytuł szlachecki. A więc tylko pierwszy porucznik popełnił jakieś wykroczenie. Inni widocznie zostali związani przysięgą milczenia. Cóż to za smutny koniec tego, co mogło być taką obiecującą karierą!

- Bzdury, panie Delancey! Wszyscy dobrze wiedzą, że pan wypełnił swój obowiązek w ogniu bitwy.

- Proszę pana, nie jestem specjalnie dumny ze swego udziału w ostatniej bitwie. Wojna jest wojną i zrobiliśmy to, co mogliśmy zrobić. Wyszliśmy z tego cało, nie tracąc ani jednego człowieka. Mieliśmy zaledwie kilku rannych. Bitwa się skończyła i jeśli o mnie chodzi, to nie pozuję na bohatera. Nie zasługuję jednak na stygmat tchórzostwa, którym zostanę napiętnowany.

- Nigdy nie słyszałem podobnych nonsensów, panie Delancey, i uważam, że pańska postawa niekorzystnie świadczy o panu jako oficerze. Kładę te słowa na karb pańskiego rozgoryczenia. Myślę jednak, że robi pan burzę z lekkiego podmuchu. Wyjaśnię sytuację pańskim kolegom, a także innym kapitanom. Niech pan nie zapomina, że niezupełnie pana ominął awans. Z pełniących obowiązki pierwszego porucznika staje się pan przecież pierwszym porucznikiem z nominacji. Kiedy następnym razem weźmiemy udział w jakiejś akcji, otrzyma pan bez wątpienia dalszy awans.

- Ale zawsze będę niższy rangą od tych wszystkich oficerów, którzy awansowali obecnie.

- Być może. Ale proszę pamiętać, że może ich pan też przeskoczyć rangą. To w dużej mierze sprawa szczęścia, zapewniam pana. Sam jestem głęboko przekonany, że awansuje pan bardzo szybko.

- Tymczasem jednak, sir Henry, pozostaje mi do zrobienia tylko jedno. Składam na pańskie ręce rezygnację. Potwierdzą to na piśmie dziś po południu.

- Niech pan nie robi tego głupstwa, człowieku! Niech pan się z tym prześpi! Niech pan sobie zostawi czas do namysłu! Jutro, proszę mi wierzyć, zobaczy pan, całą sprawę w innym świetle. Zdaje się, że rozpoczął pan swoją marynarską karierę na dolnym pokładzie i wydzwignął się z poziomu

prostego marynarza na pozycję pierwszego porucznika na okręcie o siedemdziesięciu czterech działach. To wielkie osiągnięcie. Czy od początku spodziewał się pan osiągnąć tak wysoką rangę? A teraz jest pan gotów odrzucić wszystko przy pierwszym niepowodzeniu. Proszę nie robić podobnego głupstwa.

- Będę sobie poczytywał za zaszczyt służyć gdzie indziej, sir Henry. Nie mogę dłużej pozostać we Flocie Morza Północnego.

128- Rozumuje pan mylnie i w dodatku posunął się pan tak daleko, że pozwala mi to sądzić, iż mój wybór był słuszny. Miał mi pan jednak wierzyć, iż w dalszym ciągu jestem o panu jako oficerze dobrego zdania. Chcę zrewanżować się za gościnne podjęcie mnie z okazji ostatnich uroczystości i zaprosić dziś wszystkich oficerów na kolację. Zaopatrzenie będzie lepsze niż zwykle, a jeżeli chodzi o alkohole, to mam coś niepowszedniego. Przy tej sposobności wyjaśnię sprawę, stwierdzając, że całkowicie pochwalam pańską postawę w czasie bitwy, dodam też, iż jest mi pan potrzebny jako pierwszy porucznik i że z awansu zrezygnował pan na moją specjalną prośbę. To położy kres możliwości powstania jakichkolwiek uwłaczających panu plotek.

- Dziękuję, sir Henry. Jestem panu wdzięczny za troskę, ale muszę poprosić, by pan nic nie mówił na temat mojej rezygnacji z awansu. Mam szczerą nadzieję, że kolacja będzie udana, ja jednak nie będę na niej obecny. Zdaję sobie sprawę, że nie zdarza się, by jakiś oficer odrzucił zaproszenie kapitana, jednakże w obecnej sytuacji nie widzę innej możliwości. Złożę panu swoją rezygnację na piśmie, sir Henry, wraz z prośbą o pozwolenie udania się na ląd. Z największym żalem proszę o wybaczenie. Pańska kolacja będzie, nie wątpię, pamiętnym wydarzeniem i bardzo żałuję, że nie mogę w niej uczestniczyć.

ROZDZIAŁ 7

Brander

Po latach Delancey miał sobie zdać sprawę, że w tej sytuacji zachował się niewłaściwie i że powinien był zdobyć się na więcej wyrozumienia dla sir Henry Trollope'a, a już zwłaszcza dla Aleksandra Granta. Historia mogła skończyć się inaczej, gdyby Trollope zachował się w stosunku do niego bardziej po przyjacielsku, żeby go przedstawił swojej rodzinie, zaprosił do domu w mieście. Delanceyowi przez cały czas dawano odczuć, że jest bardzo niedoskonałą namiastką Granta i że nie widzi się w nim ewentualnego następcy Trollope'a. Dlatego Delancey nie miał skrupułów, by zakończyć tego rodzaju pseudoprzyjacielskie stosunki. Oddawał jednak sprawiedliwość Trollope'owi, że zrobił dla niego wszystko, co mógł. Być może dlatego, że Delancey w głębi duszy miał wątpliwości, czy decyzja, jaką podjął, była słuszna. Także i lord Duncan musiał ze swej strony dorzucić jakieś tam słowo na korzyść Delanceya, gdyż w kilka dni później oświadczone mu w admiralicji, że dostał stanowisko porucznika i dowódcy brandera *Spitfire* w Bazie Irlandzkiej.

- Brander? - spytał niedowierzająco. - Zapomniałem, że takie okręty jeszcze są w użyciu.

- Dla ścisłości jest ich czternaście, sir - poinformował urzędnik, poprawiając okulary i przesuwając palcem po liście.

- Co? Czternaście uzbrojonych branderów pozostaje w gotowości bojowej?

- Nie. Niektóre z nich stanowią rezerwę.

- Ale cóż one robią? Wydawało mi się, że brandery były użyte ostatnio za panowania Karola II.

- Te, które mamy, są to kopie francuskiej korwety *Amazon*. W większości były zbudowane między 1781- 1783 rokiem, zdaje się, że miały zostać wykorzystane przy oblężeniu Gibraltaru.

- Nigdy do Gibraltaru nie dotarły - powiedział Delancey, który był tam wtedy.

- Ano, nie - przyznał urzędnik. - Zostały zwodowane w mniejszych portach, takich jak Shoreham, Sandgate, Wivenhoe, i ciągle były przerabiane, modyfikowane, a tymczasem wojna się skończyła.

- A *Spitfire*?

- Zaraz zobaczymy... Hm... Tak, zbudowany w Ipswich w 1782 roku, z ożaglowaniem rejowym, wyporność czterysta dwadzieścia dwie tony, długość sto osiemdziesiąt stóp i dziesięć cali. Uzbrojony w czternaście osiemnastofuntowych karonad i przystosowany do pomieszczenia pięćdziesięciu pięciu członków załogi. Czy pan zna sloop *Hazard* z dwudziestoma czterema działami? No więc *Spitfire* jest jego bliźniaczym okrętem, z podwójną ilością prochu i mniej niż połową ludzi.

- Tak, ale do jakiego zadania jest przeznaczony?

- No, cóż, proszę pana, tutaj, w admiralicji, nas to nie obchodzi. Mówiono mi jednak, że brandery często są używane do przewożenia poczty i różnego rodzaju dostaw, a także do ogólnej ochrony floty handlowej.

- Gdzie *Spitfire* jest teraz?

- W Cork.

- A co z jego ostatnim dowódcą?

- Złożył rezygnację, sir, z powodu złego stanu zdrowia. A teraz, jeżeli pan mi wybaczy, mam tu inną robotę. Gdyby pan chciał pofatygować się jutro przed południem albo nie, lepiej pojutrze, to otrzyma

pan rozkazy na piśmie i dokument przejazdu.

Delancey opuścił admiralicję z mieszanymi uczuciami. Nie otrzymał awansu, ale na pocieszenie dostał... brandera. Aby jednak zostać rzeczywistym kapitanem i dowódcą, musiałby mieć stopień mastra i dowódcy. Jego nazwisko figurowałoby na liście mianowanych kapitanów, oczekujących na przydział okrętu. Lieutenant-commandor natomiast, używając bardziej aktualnego terminu, ciągle był tylko na liście poruczników, uprawnionych do dowodzenia mniejszymi jednostkami, zbyt małymi, aby mogły być dowodzone przez oficerów w stopniu kapitana. Załoga będzie się do niego zwracać per „kapitan”, ale nie skróci to jego długiego stażu na liście poruczników. Już raz czasowo powierzono mu dowództwo kutra i wiedział, że to nie jest droga do dalszego awansu. Brander to było coś więcej, ale przecież on sam dotychczas nie wiedział nawet, że takie jednostki jeszcze istnieją.

Rozmyślając nad tym, czego dowiedział się o branderze, zdał sobie sprawę, że *Spitfire* będzie miał dość ludzi do obsługi, ale nie dość, by brać udział w jakiejś akcji, chyba że w samoobronie, jeśli przeciwnikiem będzie jakaś korweta lub statek kaperski. Jego działa, z powodu zmniejszonej obsługi, prawdopodobnie mogłyby oddać do nieprzyjaciela tylko jedną burtową salwę. Jakie więc zadanie miał spełnić ten brander? Delancey wiedział, że Francis Drake używał ich przeciwko Hiszpanom, ale tamta wojna toczyła się przeszło dwa wieki temu. O ile wiedział, nie były one używane za życia nikogo z tych, którzy teraz służyli w marynarce. Tego był prawie pewien. „Może posługiwano się nimi tylko czasami, przy jakiejś szczególnej okazji...” - pomyślał. Tak jak na przykład jakiś zdobyty statek handlowy mógłby być po podpaleniu go wykorzystany czasami do przepędzenia wroga z kotwicowiska. Nie był pewny, czy słyszał o podobnym

wypadku, ale wyobrażał sobie sytuację, w której taka akcja byłaby uzasadniona. Oczywiście, nieporównywalnie większe szanse powodzenia w takim wypadku ma prawdziwy brander, specjalnie w tym celu zbudowany i będący pod ręką w razie potrzeby. Tylko że

Spitfire został zbudowany jeszcze w 1782 roku!

Potem przeniósł się myślami do Gibraltaru, gdzie służył jako midszypmen. Sprzymierzona flota w Algeciras była z pewnością idealnym celem dla jakiegoś brandera, ale nieprzyjaciel podjął konieczne środki ostrożności, tworząc pływającą zaporę i wystawiając straż w łodziach wiosłowych. W tej sytuacji konieczne były dwa ataki; jeden dla zniszczenia zapory, drugi zaś dla wprowadzenia branderów do akcji. O takim rozwiązaniu dyskutowano w swoim czasie, w rezultacie czego zrodziły się *Spitfire* i jego bliźniacze okręty. Każdy z nich mógł przygarnąć jakiegoś porucznika, który okazał się niewygodny.

„Dlaczego właśnie mnie musiało spotkać coś podobnego?” - pomyślał Delancey w pierwszej chwili. Ale razem z tym pytaniem zrodziło się uczucie przyjemnego oczekiwania na coś - nielogiczne, absurdałne, a jednak niezaprzeczalnie drzemiące w nim. Delancey kiedyś w przeszłości dowodził statkiem kaperskim *Nemesis*. Potem miał pod sobą kuter celny *Rose* walczący z przemytnikami, a jeszcze wcześniej (tydzień lub dwa) kuter *Royalist*. Ale *Spitfire* będzie jego pierwszą szansą dowodzenia prawdziwym okrętem wojennym; będzie samodzielny, a to bardzo mu odpowiadało. Czternastu jego rówieśników dostało awans, a jeden otrzymał nawet stanowisko na okręcie, ale nie wszyscy dostali od razu możliwość bezpośredniego objęcia dowództwa. Okazało się więc, że jak dotąd miał szczęście. Nigdy nic nie wiadomo. W tych sprawach szczęście odgrywa ogromną rolę. Brander dobrze dowodzony potrafi zniszczyć okręt

liniowy. Oczywiście w takiej akcji sam także ulega zniszczeniu, a kapitan pozostaje bez okrętu. A może jest jakiś ustalony zwyczaj, który przewiduje w takich wypadkach, że powinien on otrzymać wakujące dowództwo?

Pograżony w rozmyślaniach, Delancey szedł w kierunku Charing Cross. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że mija dwóch oficerów marynarki wojennej, którzy idąc wolniej od niego wiedli ze sobą żywą dyskusję na temat starszeństwa w służbie.

- Ależ jestem pewien, że Jennings był z Hothamem koło Genui w 95 roku, i myślę, iż dowodził *Minerwą*.

- Nie, proszę pana, nie miał żadnego stanowiska aż do następnego roku, a więc jest on młodszy od Ridleya.

- Bzdury! Na pewno jest starszy rangą od Ridleya co najmniej o rok i między nim a panem nie ma nawet kilkunastu nazwisk! Zawodzi pana pamięć, sir. Jennings ma tylko jedną szlifę i nie naszyje drugiej przez następne dwanaście miesięcy albo i więcej. Nie wiem, kto dowodził *Minerwą* w 95, ale to nie mógł być Jennings.

- O co się pan założy? Stawiam pięć gwinei, że ma już drugą szlifę.

- No, to niech będzie dziesięć gwinei, dobrze? Ostrzegam jednak, że może pan uważać swoje pieniądze za stracone!

- Na Boga! Zgoda, niech będzie dziesięć!

- I załatwimy to od razu. Niech pan wróci ze mną do biblioteki admiralicji i sprawa będzie jasna, gdy tylko rzucimy okiem na wydrukowaną listę.

- Bardzo dobrze. Przekona się pan, że mam rację.

Obaj kapitanowie, jeden czerwony na twarzy ze wściekłości, drugi szary z uporu, przeszli szybko koło Delanceya, spychając go niemal z chodnika, i ruszyli z powrotem w kierunku admiralicji.

Tymczasem Delancey szedł powoli w stronę skromnej kwatery, jaką sobie wynajął przy St Martin Lane. Poprzednia, przy Picadilly, była bardziej odpowiednia dla oficera wyższej rangi - rangi, jaką, prawdę mówiąc, miał nadzieję otrzymać.

Strzęp usłyszanej sprzeczki, jaką mimo woli podsłuchał, nasunął mu pewną myśl. To, że w budynku admiralicji mieściła się również biblioteka, było dla niego zupełną nowością, tym niemniej teraz, gdy o tym usłyszał, wydało mu się całkiem prawdopodobne, że mógł tam znaleźć jakieś opracowania, w których byłyby opisane brandery i ich wykorzystanie. Dotąd o branderach nigdy nie słyszał, czuł więc, że powinien się czegoś o nich dowiedzieć, zanim wyjedzie do Irlandii. O ich zaletach dyskutowano w tych czasach, gdy został zbudowany *Spitfire* i jego rówieśnicy. Ktoś musiał mieć podstawy do wiary w ich skuteczność i dla poparcia swych przekonań musiał mieć argumenty sprawdzone w doświadczeniach. Przy jakich okazjach wykorzystano je i z jakim skutkiem? Gdzie i kiedy, a przede wszystkim w jakim celu?

Biblioteka admiralicji sprawiła mu zawód. Co prawda były tam biegnące od podłogi po sufit półki pełne oprawnych w skórę tomów, a także drabina, by dosięgnąć tych, które inaczej były nieosiągalne, jednakże bibliotekarz był nieobecny z powodu choroby, a młody człowiek, który pracował jako jego pomocnik, nie robił nic innego poza odkurzaniem owych tomów i przyznawał, że nie ma pojęcia o ich zawartości. Tym niemniej rzucił cenną uwagę:

- Jest tu ktoś, kto mógłby panu służyć radą. Pan John Bruce. Jest bibliotekarzem Towarzystwa Wschodnioindyjskiego. Ostatnio bardzo dużo u nas przebywa, gdyż przygotowuje raport dla pana ministra Dundasa. Gdyby pan był przyszedł wczoraj o tej samej godzinie, to by go pan spotkał.

Idąc za jego radą, Delancey udał się na ulicę Leandenhall i znalazł pana Bruce w bibliotece, która była większa i lepiej zaopatrzona niż ta w admiralicji. Bruce okazał się Szkotem w średnim wieku. Jak sam wyjaśnił, był on historiografem pracującym dla czcigodnego Towarzystwa Wschodnioindyjskiego. Kiedyś był profesorem logiki, ostatnio zaś bibliotekarzem i archiwistą. Rozpływał się na temat swojego obecnego zadania, które miało coś wspólnego z „połączonymi ekspedycjami”. Oczywiście zobowiązał Delanceya do dochowania absolutnej tajemnicy. Nie zdradzał szczególnego zainteresowania branderami, ale przyznał, że wie o nich coś niecoś.

- Jeżeli chodzi o brandery, to musimy cofnąć się do panowania znamienitej monarchini, królowej Elżbiety, która musiała stawić czoło wrogom równie licznym i nieubłaganim jak ci, którzy zagrażają naszemu obecnemu władcy. Istotnie, jest uderzające podobieństwo między okresami panowania tych dwóch koronowanych głów - republikańska Francja jest dzisiaj równie niebezpieczna jak ongiś papieska Hiszpania i Portugalia, z którymi związane były wówczas Niderlandy. Zwykłym ludziom wystarczyłoby zajrzeć do bardziej popularnych opracowań, do historii napisanej przez Oliviera Goldsmitha lub Johna Campbella „Życiorysy admirałów”, chociaż ta ostatnia została wydana jeszcze w 1742 roku. Ale żeby odkryć prawdę, musimy pójść głębiej.

- A jeżeli to zrobimy, czy dowiemy się czegoś o branderach?

- Tak... Brandery... Nie ulega żadnej wątpliwości, że nie bez znaczenia dla poglądów sir Francisa Drake'a było to, że znał wyczyn pewnego brandera, kiedy ten naładowany materiałami wybuchowymi został użyty ze znakomitym skutkiem. Bez wątpienia odgadł pan już, że mam tu na myśli...

- Ale kiedy to miało miejsce? Kiedy po raz ostatni został wykorzystany brander?

Z wielkim trudem pan Bruce dał się nakłonić, by przejść do późniejszego okresu historii.

- No cóż, zostały one użyte przez Francuzów w walce z Holendrami, a mianowicie w bitwie pod Stromboli w 1676 r. Trzy z nich wypuszczono przeciw flagowemu okrętowi De Ruytera, ale zostały odrzucone i zniszczone. Natomiast w bitwie opodal Palermo, która miała miejsce w tym samym roku, hiszpański okręt flagowy został zaatakowany przez brandera i wyleciał w powietrze. W ten sam

sposób zostało zniszczonych przez flotę Tourville'a kilka innych hiszpańskich okrętów. W tym okresie brandery były używane przez obie strony, ale Francuzi mieli ich więcej. Pod Palermo, zdaje się, było ich dziewięć.

- Ale jak używano ich w czasie ostatniej wojny?

- Zaraz. Niech no sobie przypomnę. Nie ulega wątpliwości, że pojawiły się w kilku bitwach.

Admirał Hughes miał ze sobą kilka branderów w Indiach. Z pewnością wykorzystał je jakoś.

- Ale kiedy, proszę pana, i w jaki sposób?

- Nie mogę sobie przypomnieć nic konkretnego, ale jestem pewien, że zostały one użyte w poprzedniej wojnie.

- Czy na pewno?

- Francuzi posłużyli się nimi w obronie Quebecu w 1759 r., ale bez powodzenia. Tylko że chyba w tamtym wypadku były to statki handlowe przystosowane do tego celu. Ach, ale przypominałem sobie teraz jeszcze jeden wypadek użycia ich na Morzu Śródziemnym. Natknąłem się na wzmiankę o tym, kiedy szukałem informacji na zupełnie inny temat - temat, który stanowi tajemnicę wojskową, pan rozumie... Otóż zrobiłem notatkę w swoim, jak to nazywam, zbiorze aforyzmów... Tu ją mam... W St Tropez w 1742 r. było pięć

hiszpańskich galer. Nieprzyjacielskie okręty w tym neutralnym wtedy porcie ostrzelały okręt *Kingston*, którego kapitan, Richard Norris, wysłał brander *Duke* dowodzony przez pana Callisa. Tak dobrze wykonał on swoje zadanie, że wszystkie pięć galer zostało zniszczonych. Widzę, że zanotowałem sobie, iż Callis dostał od razu nominację na dowódcę pięćdziesięciodziałowego *Assistance*.

- Dostał awans? - spytał Delancey z nadzieją w głosie.

- Tak sądzę. Uprzednio miał tylko tytuł mastra i kapitana, ale bez stanowiska.

- I nie przypomina pan sobie żadnych innych przykładów, by brander został użyty do celów, w jakich został zbudowany?

- Zdaje mi się, że wyczyn kapitana Callisa był ostatnią akcją tego rodzaju. W pewnym stadium mojej pracy przy kompilacji raportu, który ma być rozesłany członkom gabinetu - jego zasadniczy cel jest oczywiście tajemnicą - przyszło mi nawet do głowy, że przy obecnym kryzysie - mam na myśli podobieństwo naszej sytuacji do sytuacji, w jakiej znalazła się królowa Elżbieta - można by było znaleźć pole do działania dla branderów. Po zrobieniu kilku notatek - jak na przykład na temat bitwy pod Stromboli - musiałem dojść do wniosku, że brandery nigdy już więcej nie brały udziału w bitwach. Przypominam sobie, że właśnie do takiego wniosku doszedłem. Z drugiej jednak strony pewne jest, że były one w dalszym ciągu budowane, aczkolwiek oddawane raczej do ogólnego użytku.

- Dziękuję panu za cenne informacje. Nie śmiem zabierać więcej czasu, pamiętając, że ma pan pracę do wykonania.

- Chciałbym wierzyć, że zatrzyma pan tylko dla siebie to, co powiedziałem. Zachowanie tajemnicy jest sprawą życiowej wagi w pracy, która mi została powierzona.

Delancey dał na to słowo i pożegnał się z głębokim przeświadczeniem, że i tak nie mógłby wyjawić nikomu tego, czego mu nigdy nie powiedziano. Jednego dalej nie mógł zrozumieć, i nie miał nigdy zrozumieć. Dlaczego ten rodzaj okrętów, użytych po raz ostatni w roku 1742, był ciągle jeszcze budowany w 1781 roku i utrzymywany w gotowości bojowej w roku 1797.

Jedząc tego dnia kolację w Coffe House na ulicy Strand, Delancey zanotował sobie w myśli dwa fakty, które wyłoniły się z jego dociekań. Przede wszystkim stało się dla niego oczywiste, że brander nigdy nie działa na własną rękę, musi mu zawsze towarzyszyć przynajmniej jeden jeszcze okręt dowodzony przez oficera starszego rangą od dowódcy brandera. Istniały po temu dwie przyczyny. Po pierwsze - brander miał zbyt wiele słabych punktów i w rezultacie mógł zostać zdobyty przez okręt tych samych rozmiarów lub nawet mniejszy, po drugie - musiał istnieć drugi okręt, do którego mogłyby przybić na wiosłach łodzie, kiedy już opuszczony przez załogę brander znajdował się na właściwym kursie. Ten drugi fakt był raczej oczywisty. Celem ataku brandera powinien być okręt stojący na kotwicy, jeszcze lepiej kilka okrętów. Kapitan Callis zarobił na awans dzięki temu, że hiszpańskie galery stały razem tworząc rozległy cel. Miały przy tym złudzenie bezpieczeństwa, gdyż znajdowały się w neutralnym porcie. Według relacji Norrisa galery dały ognia pierwsze (jest to zresztą nawet prawdopodobne). I to on właśnie dał rozkaz ataku. Gdyby tam była pojedyncza galera, brander prawdopodobnie chybiłby. Ale niezależnie od tego, do ataku by nie doszło, bo nie warto było poświęcać brandera dla tyle samo wartej jednostki nieprzyjacielskiej. Byłoby to stracenie przez obie strony zastawu bez żadnego zysku. Ale jak rzecz się miała pod Palermo?

Delancey domyślał się, że okręt flagowy musiał przed tym utracić maszty i dlatego został unieruchomiony. Szanse, by brander dosięgnął nieprzyjaciela w ruchu, są bowiem bardzo nikłe. Powodzenie w akcji na pojedynczą ofiarę na kotwicy zależy przede wszystkim od decyzji dowódcy. W pewnym momencie musi on opuścić swój okręt, ale im później to zrobi, tym lepiej. Im dłuższa jest odległość do pokonania z nastawionym sterem, tym większa jest możliwość, że okręt zejdzie z kursu, zwłaszcza pod ostrzałem. Trzeba więc mieć zimną krew, żeby pokierować należycie akcją, i dużo odwagi, by zaatakować.

Nazajutrz Delancey odebrał swój list z nominacją oraz zlecenie na przejazd, po czym jeszcze tego samego wieczora wyruszył dyliżansem do Bristolu. Odjechał spod urzędu pocztowego przy St Martinle-Grand punktualnie o ósmej wieczorem. Jednocześnie z uderzeniem dzwonów pocztowych.

- Jak zwykle co do minuty - odezwał się sąsiad Delanceya trzymający zegarek w ręku. - I założę się, że w Bath też będziemy punktualnie, co do minuty!

- Nawet w taką zimną, grudniową noc? - spytał Delancey, żeby podtrzymać rozmowę.

- Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości - stwierdził stary kupiec, dla którego wyraźnie był to ulubiony temat. - Lód na drodze to drobiazg dla Jacka Saltera, naszego woźnicy.

Sprawdziło się to zaraz, gdy tylko wyjechali z Londynu. Entuzjasta jazdy dyliżansem przedstawił się jako Laurence Bagshaw, handlarz suknem z Cheapside.

- Czy pan kiedykolwiek słyszał o Johnie Palmerze z Bristolu?

- Nie, panie Bagshaw - odparł Delancey - wydaje mi się, że nie.

- No cóż, wszędzie tam, gdzie docierają dyliżanse pocztowe, wszystko jemu zawdzięczamy.

- Doprawdy? Czy był dyrektorem poczty?

- Nie, proszę pana. To dyrektor teatru przy Orchard Street w Bath, który teraz nazywa się „Royal”. Pani Siddons była wielką aktorką, właśnie za jego czasów. Chociaż nie, ona jeszcze gra, zupełnie o tym zapomniałem. Często potrafiła w tym samym tygodniu występować w „Drury Lane” w Bath i w Bristolu. Powstał problem, jak zapobiec jej przemęczeniu. To właśnie John Palmer przekonał pana Pitta, że poczta królewska powinna być przesyłana dyliżansem, który by kursował codziennie, i to punktualnie jak zegarek, a bezpiecznie jak bank.

- A jak przewożono pocztę do tamtego czasu?

- Jak to?! Przewoził ją konno goniec pocztowy. Dziś została po nim tylko trąbka.

Dzięki temu udoskonaleniu dyliżans Poczty Królewskiej był w Bristolu na drugi dzień o dziewiątej rano. Delancey już w Bath dowiedział się, że statek pocztowy do Cork nie odpłynie wcześniej jak nazajutrz.

Właśnie w Bristolu mieszkała siostra Delanceya, Rachel. Wychowała się, podobnie jak on, w St Peter Port. ale w roku 1776 wyszła za mąż za Johna Sedleya i obecnie była godną żoną i matką. Nie lubiła zbytnio pisać, więc listy od niej otrzymywał bardzo rzadko, i to raczej lakoniczne. Tyle tylko wiedział, że miała kilkoro dzieci, a jej mąż był kiedyś zagorzałym poplecznikiem pana Edmunda Burke, wieloletniego członka parlamentu z okręgu Bristol.

To mu wystarczyło, by w czasie swojej pierwszej wizyty w Bristolu dowiedzieć się bez trudu, gdzie Rachel mieszka. „Radny miejski Sedley? Oczywiście, mieszka przy Queen's Square, w samym centrum miasta”. Z otrzymanych informacji wywnioskował, że Sedley jest kupcem handlującym z Indiami Zachodnimi, że jest znaną osobą

oraz że interesował się rafinerią cukru i fabrykacją płótna żaglowego. Dom Sedleya, który bez trudu znalazł, był solidny i okazały. Drzwi otworzył mu służący Murzyn.

- Ryszard! - zawołała Rachel, ściskając brata, którego dawno nie widziała, ale którego od razu poznała.

Opowiadali, co u nich słyszą. Rachel pochwaliła się czwórką swoich dzieci. Najstarszy syn już się urządził jako adwokat, najmłodsza córka właśnie ukończyła szkołę. Potem przyszedł John Sedley. Jak na notabla miejskiego przystało, wyglądał okazale i godnie. Ryszard Delancey musiał mu opowiedzieć wszystko od początku o swojej drodze życiowej. Zjadł kolację z rodziną i wysłuchał wszystkich nowin z Bristolu.

- Zgadnij, jakiego pochodzenia towary są głównie przewożone przez zatrudnione przez nas statki - rzekł John.

- Amerykańskiego? - zaryzykował Delancey.

- O nie. Handlujemy z Irlandią! Nie pływają tam oczywiście nasze największe statki, ale za to kursuje ich przeszło sto. Stosunki handlowe z Irlandią są bodaj najstarsze spośród tych, jakie mamy. Konkurujemy z Liverpoolem; wyobraź sobie niepokój, jaki odczuwamy w związku z obecną sytuacją w Irlandii. Nie słyszymy o niczym innym, jak tylko o buncie. A jak się cała sprawa skończy, jeżeli Francuzi rzeczywiście wylądują? Możesz sobie uzmysłwić ogrom naszego niepokoju, gdy przyszły wieści o buncie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że teraz już nic nie może powstrzymać Francuzów od inwazji na Irlandię. Zdaje się, na szczęście, nie zorientowali się w porę i okazja uszła im sprzed nosa. Potem przyszła wiadomość o zwycięstwie lorda Duncana i wtedy uważaliśmy, że największe niebezpieczeństwo jest już poza nami. Co ty myślisz o tym, Ryszardzie? Czy Irlandia ciągle jeszcze nie jest przygotowana na atak?

- Tak. Ciągle jeszcze grozi jej niebezpieczeństwo lądowania oddziałów z małej eskadry, nie sądzę jednak, by cała flota transportowców mogła się tam przedostać bez naszej wiedzy. Nie mogłaby tam dopłynąć, nie będąc przez nas zatrzymana.

- Taka jest i moja opinia, Ryszard. Ale mam bliskie stosunki z Cork i regularnie otrzymuję wiadomości od moich przyjaciół, którzy tam pracują. Jednej rzeczy są oni pewni, a mianowicie aktywności francuskich agentów we wszystkich częściach Irlandii. Niektóre wieści, jakie do nas docierają, są fałszywe, jestem o tym przekonany. Ale moi znajomi to ludzie dobrze poinformowani i rozsądni. Są oni przekonani, że w każdym porcie kręcą się szpicle i że działalność ich stale się

rozszerza. Jeżeli założymy, że to prawda, to należy przypuszczać, iż jest to preludium do planowanego w najbliższym czasie lądowania.

- Jestem skłonny uwierzyć, że tego rodzaju operacja jest planowana, mogę tylko dodać, że ze swej strony zrobię wszystko, żeby się nie powiodła. Starsi ode mnie oficerowie zajmą dogodne pozycje, by pokrzyżować wszelkie ich plany. Nasze okręty nie będą się temu przyglądać obojętnie, o tym mogę cię zapewnić.

John Sedley postarał się, by Ryszard poznał jeszcze tego wieczora kilku innych kupców. Wszyscy oni interesowali się żywo Irlandią i wszyscy byli zdania, że francuska penetracja zdradza ogromne ożywienie. Delancey gotów był im wierzyć i poprosił, by go zarekomendowali swoim partnerom w Cork, to znaczy ludziom, od których napływały te wiadomości. W rezultacie zebrał od różnych kupców osiem listów polecających. Trzy z nich były zaadresowane do tego samego człowieka, pana Jeremiacha Coyne, kupca branży spożywczej w Cork i Waterford. Wyglądało na to, że był on albo bardziej czujny niż inni, albo bardziej związany z angielskimi interesami, albo po prostu bardziej zorientowany.

Kiedy nazajutrz rano trzeba się było już żegnać, Ryszard mógł pogratulować Rachel udanego małżeństwa i obiecującej rodziny. Johnowi podziękował za gościnność i za to, że otworzył mu dostęp do być może bardzo pożytecznego źródła informacji. Powóz Johna zawiózł Ryszarda na molo, a wkrótce potem był on już na pokładzie pocztowego statku odpływającego do Cork.

Mijając statki przycumowane w Kingroad, a także płynące pod żaglami po Bristolskim Kanale, mógł się zorientować, jak ważny musi być Bristol. Zrozumiał też, że Irlandia jest najważniejszą bazą handlową, na której opiera się zarówno Bristol, jak i Liverpool. Piękne statki Towarzystwa Zachodnioindyjskiego, które widział, być może płynęły na Jamajkę, by wrócić stamtąd z cukrem, ale na razie przed wyruszeniem w daleki rejs zawiąły do jakiegoś irlandzkiego portu. To właśnie w Irlandii brały zaopatrzenie i werbowały przynajmniej część załogi. Często u wybrzeży irlandzkich zbierał się konwój. Gdyby na skutek udanej rewolty Francuzi znaleźli się w Irlandii, to dalsze prowadzenie handlu stałoby się trudne lub wręcz niemożliwe. Francuzi musieli o tym bardzo dobrze wiedzieć, dlatego to, iż podsycali irlandzką rebelię, było równie naturalne jak intrygi Brytyjczyków wśród francuskich rojalistów. Szefem brytyjskiego wywiadu morskiego był komandor Philip d'Auvergne, książę Bouillon, na polecenie którego Delancey kiedyś wykonywał bardzo niebezpieczną misję. Teraz więc Ryszard zastanawiał się, kto był przeciwnikiem Philipa d'Auvergne w Irlandii, czyim zadaniem było przygotowanie następnego lądowania wojsk francuskich. Na pewno brytyjska flota znajdowała się w stosunkowo niewielkiej odległości

od Brestu. Brytyjskie okręty patrolowe muszą się znajdować w pobliżu francuskich atlantyckich portów. Z pewnością są też one w pobliżu irlandzkiego wybrzeża. On sam również będzie dowodził jednym z nich. Ale identyfikacja agenta obcego wywiadu mogła być bardziej cenna niż połączone wysiłki wszystkich zainteresowanych okrętów. Zastanawiał się, komu powierzono zadanie wykrycia tego wroga. Czy mogli o tym wiedzieć starsi rangą oficerowie marynarki w Cork?

- Dzień dobry, panie Delancey. - Był to pan Bagshaw, który przyszedł, żeby go odwiedzić na zawietrznej stronie rufowego pokładu pocztowego statku. - Rzeński ranek i chłodny wiatr. Jaka to przyjemność patrzeć na te wszystkie statki pod żaglami! Ileż to milionów zostało zainwestowanych w same tylko statki przeznaczone do handlu zagranicznego, nie mówiąc już o jednostkach do żeglugi przybrzeżnej. To każe się człowiekowi zastanawiać, tak, to skłania do myślenia.

Delancey zgodził się, że widok ten rzeczywiście dawał wiele do myślenia.

- Chodzi o dużą stawkę - powiedział. - A kluczem do tej całej sprawy jest Irlandia.

- Ciekawe, że pan zdaje sobie z tego sprawę - rzekł Bagshaw. - My, którzy zajmujemy się handlem suknem, zgadzamy się z panem. Jeżeli Irlandia odpadnie, Brytania będzie zgubiona. Ale Francuzi nie dopną swego. Ani Holendrzy!

Przy obiedzie w kabinie Bagshaw usiadł obok Delanceya i podzielił się z nim swoją opinią co do tego, że przez ostatnie dziesięć lat Cork ogromnie cofnęło się w rozwoju. Tak, znał pana Coyne od lat; to człowiek ogromnie zainteresowany zaopatrzeniem statków, O tak, francuscy agenci byli bardzo aktywni. To fakt powszechnie znany. Ale irlandzcy rebelianci są bardzo skłonni do tego, by się nawzajem wydawać. Takiego człowieka jak Jeremiah Coyne można

darzyć zaufaniem. Ma solidny interes w handlu żywnością. Ale w dzisiejszych czasach rzadko komu można ufać. Doszło do tego, że żaden z nich nie mógł wierzyć drugiemu.

Po wypiciu butelki wina z panem Bagshaw Delancey dowiedział się coś niecoś na temat opinii krążących po Irlandii Południowej.

W zimny i mroźny ranek statek pocztowy wszedł do portu Cork, gdzie na kotwicach stało kilka okrętów wojennych. Delancey przyglądał się z zainteresowaniem szaremu, ponuremu miastu i wzgórzom, na których bielił się śnieg. Po obu stronach mola panował ruch. Na wodzie widać było wiele łodzi wiosłowych. Przez postrzępiony baldachim nieba przedzierał się snop światła. Na ciemnym tle horyzontu przez chwilę rozbłysnął blado jeden z okrętów. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że był to właśnie *Spitfire*. Delancey poznał go z opisu, jaki mu przekazano. Bliźniaczy okręt *Hazarda*. Tak, to właśnie on. Wkrótce Delancey znalazł się w wiosłowej łodzi, która zabrała go na brzeg. Zauważył, że na molo stoi starszy wiekiem porucznik. Gdy tylko zszedł na ląd, oficer zbliżył się do niego, zasalutował i przedstawił jako William Partridge.

- Jestem pierwszym porucznikiem na *Spitfire*, sir, i jedynym oficerem pokładowym. Może pan zobaczyć nasz okręt, jest tam daleko, przy brzegu. Słyszałem, jak mówiono, że wkrótce pan przybędzie. Mam ze sobą łódź na drugim końcu mola, sir.

- Dziękuję panu, panie Partridge.

- Najstarszym oficerem marynarki w Cork jest kapitan Ashley z fregaty *Seahorse*, która ma trzydzieści osiem dział. Gdyby pan sobie życzył złożyć swoje uszanowanie komandorowi Ashleyowi, to łódź może pana zawieźć wprost na fregatę.

- Dziękuję panu, panie Partridge. Najpierw obejmę dowództwo *Spitfire'a*. Proszę przysłać tu dwóch ludzi po moje rzeczy. Najpierw wejdę na pokład, a dopiero później udam się na *Seahorse*.

- Tak jest, sir. - Pan Partridge wolnym krokiem ruszył w kierunku schodków, skąd widać było stojącą łódź ze *Spitfire'a*.

Delancey zdał sobie sprawę, że był niepotrzebnie szorstki, ale Partridge, awansowany działomistrz lub bosman, liczył sobie, sądząc na oko, z pięćdziesiąt lat i należało dać mu wyraźnie do zrozumienia, kto tu ma być dowódcą. Co prawda miał się wkrótce przekonać, że ze strony Partridge'a nie należało oczekiwać żadnych kłopotów, bowiem jego obecne stanowisko przerastało raczej jego ambicje, stąd też ulga, że wreszcie zdejmie ktoś z niego ciężar obowiązków, była wprost wzruszająca.

- Nie umiem nawet powiedzieć, jak się cieszę, że pana widzę, sir. Miałem raczej za wiele na swoich barkach od czasu, gdy nasz ostatni kapitan zszedł na ląd. Załoga nasza nie jest tak duża, jak

bym chciał. Faktem jest, sir - i czuję się w obowiązku powiedzieć to panu na samym początku, że niektórzy z naszych ludzi zostali odkomenderowani z *Montagu* albo z *Sandwicha*.

- Z *Sandwicha*?

- Tak, sir. Uważano za słuszne rozrzucić po innych okrętach załogi, które przodowały w buncie. W sumie około piętnastu ludzi zostało przesłanych na Spitfire'a. Uważają oni służbę na branderze za pewnego rodzaju karę, sądzą bowiem, że prawdopodobnie prędzej czy później wyleci on w powietrze.

- Ależ to nonsens. Każdy okręt wojenny ma na swoim pokładzie dostateczną ilość prochu, żeby zapewnić sobie zniszczenie w wypadku, gdyby ogień dostał się do magazynu. Brander może mieć większą ilość prochu, ale jego załoga nie jest wystawiona na większe ryzyko niż na jakimś innym okręcie. Mogą wylecieć w powietrze

trochę wyżej, ale nie mogą być dwa razy zabici.

- Tak. też im powiedziałem, sir. Tak czy inaczej nie mam wielkiego zaufania do tej załogi. Jest dwóch dobrych podoficerów funkcyjnych, bardzo dobry działomistrz, zdolny midszypmen, a reszta – niewiele warta.

W ciągu pół godziny Delancey znalazł się na pokładzie *Spitfire'a*. Z boku ozwał się przepisowy gwizdek. bosmana i Delancey rzucił okiem w tym kierunku. Okręt, jak to już zdążył stwierdzić będąc na łodzi, znajdował się w dość dobrym stanie, ani lepszym, ani gorszym od przeciętnego. W sumie przeważała fachowość nie artyzm. Ludzie wyglądali na zbieraninę. Ich postawa wahała się od obojętności do ponurej apatii. Stojąc przy uskoku pokładu rufowego w asyście Partridge'a, bosmana i działomistrza, Delancey odczytał akt swojej nominacji dobitnym głosem i energicznie, po czym zwolnił załogę. Było zbyt zimno, by trzymać ludzi na pokładzie. Inspekcję okrętu odłożył do dnia następnego. Zanim podstawiono łódź do głównego trapu, zadał tylko dwa pytania:

- Nie mamy zamontowanych haków abordażowych?

- Nie, sir - odparł Partridge. - Możemy je zamontować w cztery minuty.

- Czy są łodzie dla całej załogi?

- Tak, sir. Mamy o jedną więcej niż inne żaglowce o tym samym tonażu.

- Dziękuję panu, panie Partridge. Jadę na pokład *Seahorse'a*, ale przypuszczam, że niebawem wrócę. Wtedy będę chciał obejrzeć dokumenty okrętowe, dziennik, kopiały, księgi i rachunki.

Kiedy z regulaminowym gwizdkiem bosmana łódź odbiła od trapu, Delancey zauważył, krytycznie oceniając stan farb na burtach, że pokrywy ambrazur miały zawiasy u dołu zamiast u góry.

Zdał sobie sprawę, że jest to specyficzna cecha brandera. Ale dlaczego? Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że gdyby okręt się zapalił, to płomienie mogłyby objąć liny podnoszące te pokrywy. Wtedy ambrazury zostałyby zamknięte, zmniejszając ciąg powietrza między pokładami i blokując wyloty luf dział. Chodziło zaś o to, aby rosnący żar spowodował odpalenie dział w czasie zbliżania się do celu, odstraszać tym nieprzyjacielskie łodzie, które mogły być wysłane, by wytrąciły brandera z jego kursu. Pokrywy z zawiasami umocowanymi u dołu miały tendencję do samoczynnego otwierania się i po otwarciu nie groziło im ponowne zamknięcie.

Jeśli chodzi o haki abordażowe - to wiedział, że były one przymocowane łańcuchami do boków rei brandera i do bukszprytu, a wszystko po to, by brander mógł szczepić się z okrętem będącym jego celem. Zamontowanie harpunów zawczasu byłoby błędem - Delancey zdał sobie teraz z tego sprawę - gdyż wtedy zostaliby rozpoznani jako okręt z niewielką załogą, łatwy do rozbicia, choć będący

potencjalnym niebezpieczeństwem. W pewnych, raczej mało prawdopodobnych okolicznościach brander mógłby być asem w eskadrze. Jego skuteczność powinna pozostać ukryta do momentu wejścia do akcji. Do ostatniej chwili brander musi wyglądać tak jak każdy inny okręt.

Delancey ciągle jeszcze nad tym rozmyślał, gdy łódź jego dobiła do burty *Seahorse'a*. Kilka minut później zameldował się u komandora Ashleya, który okazał się inteligentnym, dobrze zorientowanym, zdolnym i miłym człowiekiem. Rozmowa była krótka i rzeczowa, skończyła się zaproszeniem na wieczór na kolację.

- Poza moim pierwszym porucznikiem, panem Goodrichem, drugim gościem będzie kapitan Kerr z *Vulture*, najstarszy syn lorda Lichfielda,

Delancey przyjął zaproszenie i powrócił na *Seahorse'a* jeszcze tego samego wieczora. Nie było to, jak przypuszczał, jedynie towarzyskie spotkanie. Jednym z celów tej kolacji na pokładzie *Seahorse'a* było oczywiście przedstawienie go kapitanowi Kerrowi w swobodnej atmosferze biesiady. Wiedział od Partridge'a, że *Spitfire* podczas ostatniego wyjścia w morze działał wspólnie z *Vulture*, i sądził, że Ashley zamierzał znowu podporządkować brander rozkazom Kerra. Chciał widocznie, aby obaj dowódcy poznali się zawczasu.

Ten punkt planu nie powiódł się. Kerrowi od samego początku Delancey nie spodobał się. Kerr miał około dwudziestu czterech lat, był przystojny, wysoki, o bladej twarzy i jasnych włosach. Zachowywał się nieco protekcyjnie. Jako dziedzic wielkiej fortuny miał poczucie ważności. Łączył z pewną naturalnością inteligencję. Dawał do zrozumienia, nie uciekając się do słów, że nawykł do towarzystwa dżentelmenów i że mało mu zależy na pochodzących z niższych klas oficerach z wysp na kanale.

- Proszę mi wybaczyć moją ignorancję, kapitanie - wycedził - ale nie dosłyszałem nazwy pańskiego okrętu.

- Służyłem na okręcie *Russell*. Jest to okręt o siedemdziesięciu czterech działach, dowodzony przez sir Henry Trollope'a.

- Ach, tak, teraz sobie przypominam. A przedtem był pan na *Glattonie*? Zdaje się jako pierwszy porucznik Trollope'a?

- Tak jest.

- Chyba się nie mylę... wydaje mi się, że odegrał pan pewną rolę w bitwie pod Camperdown, prawda?

- Tak jest.

- Ale jak sobie przypominam, mówiono mi również, że wszyscy pierwsi porucznicy dostali awans. Dlaczego był pan wyjątkiem? Zastanawia mnie, dlaczego jest pan ciągle na liście poruczników.

Wygląda na to, że nie miał pan szczęścia, czyż nie?

W tym momencie interweniował komandor Ashley.

- Znam wszystkie towarzyszące temu okoliczności, kapitanie Kerr. Przemawiają one wyłącznie na korzyść pana Delanceya.

- Oczywiście, sir! Zapytałem z prostej ciekawości. Co więcej, powiedziano mi, kapitanie Delancey, że dowodził pan kiedyś statkiem kaperskim. Wydaje się, że ma pan ogromnie interesującą karierę.

- Być może interesującą, ale zawdzięczam ją wyłącznie samemu sobie.

- Jest pan podobnych poglądów co poczciwy pan Partridge. Uważam go za bardzo

wartościowego człowieka.

Tu komandor wtrącił się znowu:

- Żaden oficer nie może mieć wszechstronnego doświadczenia, a pan Delancey nigdy jeszcze nie służył w Irlandii i pewne ogólne informacje będą mu zapewne potrzebne. Proszę podać wino, panie Goodrich. Panie Kerr, jeśli coś umknie mojej uwadze, proszę uzupełnić to, co powiem. Na ogół uznaję zasadę, że nie należy dyskutować o sprawach służbowych przy stole, czuję się jednak upoważniony do opisanie ogólnej sytuacji. Bez wątpienia pamięta pan próbę francuskiej inwazji na Irlandię w grudniu zeszłego roku.

Wiceadmirał Morard de Galles usiłował wylądować w zatoce Bantry. Wojskiem dowodził generał Hoche. Próba ta nie powiodła się z powodu złej pogody.

- A nie dzięki lordowi Bridport - dorzucił Kerr.

- Mamy jednak wszelkie powody, aby przypuszczać, że następna próba będzie podjęta w ciągu przyszłego lata. Francuzi nauczyli się przynajmniej tego, że zima nie jest najlepszą porą. Oprócz tego mogli też dojść do wniosku, że Bantry nie jest najdogodniejszym do tego miejscem. Duża część Irlandii ma do nas stosunek nieżyczliwy,

a jak wieść niesie, agenci francuscy są bardzo aktywni. Stacjonują tu wojska pod dowództwem lorda Lake, a także lojalne regimenty milicji, ale z punktu widzenia Francuzów sytuacja jest kusząca. Nie sądzimy, by Francuzi mieli wiele sił w odwodzie, ale leżałoby z pewnością w ich interesie zaopatrzenie irlandzkich rebeliantów w broń, amunicję, a przy tym kierowanie nimi i zachęcanie do działania. Wylądowanie nawet niewielkich sił francuskich byłoby klęską. Dlatego moim zadaniem jest patrolowanie wybrzeży irlandzkich i czuwanie, by jak najwcześniej zapobiec podobnym próbom. Te okręty, które posiadam, to jest fregaty i korwety, do tego najzupełniej wystarczają. Brak mi siły, by pokonać nieprzyjaciela, ale starczy na to, by obserwować i składać raporty. Mogę tylko dodać, że brander może wykonywać takie zadania równie dobrze jak słup i dlatego właśnie dołączono *Spitfire'a* do mojej eskadry. Jestem odpowiedzialny za całe wybrzeże zachodnie od tego miejsca aż do przylądka Malinmore Head w Donegalu. Wydaje mi się, że w chwili obecnej należy zwracać szczególnie baczna uwagę na wybrzeże Connaught.

- Czy można wiedzieć, dlaczego, sir? - rzucił Delancey, przypuszczając, że na pytanie to czekano.

- Ponieważ - odparł Ashley - Francuzi ostatnim razem zbytnio polegali na południowo-zachodnich silnych wiatrach, wichura, która pomagała im przyplłynąć z Brestu, była wystarczającym powodem, by zatrzymać lorda Bridport w Spithead. To im odpowiadało. Ale ten sam wicher dał prosto w zatokę Bantry i wszystkie inne znajdujące się od Dingle do Baltimore - jako że otwarte są one na południowy zachód. W takich warunkach lądowanie było rzeczą wprost niemożliwą. Tak więc z pewnością doszli do wniosku, iż jest bardziej gościnne miejsce pomiędzy Galway a Donegalem.

- A czy wolno spytać, sir, czy doniesienia waszego wywiadu wskazują na taką możliwość? - zagadnął Kerr takim tonem, jakby już był jednym z tych, którzy znają odpowiedź.

- Nie mogę twierdzić, że tak. Słyszymy o podżeganiu do buntu i o wywrotowej robocie niemal w każdej części tego kraju.

- A więc Francuzi mogliby równie dobrze wylądować na wschodnim wybrzeżu, na północ od Wexford?

- Jak najbardziej, kapitanie Kerr. Ale to już znajduje się poza zasięgiem mojej kontroli.

Delancey tego popołudnia zrozumiał, jakie zadanie miała eskadra stojąca w Cork, a jednocześnie

nabrał szacunku dla zdolności komandora Ashleya. Natomiast irytowała go atmosfera stworzona przez arystokratycznego kapitana Kerra, który w sposób zdawkowy okazywał szacunek dla oficera wyższego rangą, a przy tym robił wszystko, co mógł, by upokorzyć tych, którzy mieli niższy stopień od niego. Kerr nie był ani głupcem, ani tchórzem - tyle Delancey wiedział chociażby z plotek - ale zdawał się żywić wielką pogardę dla niższych od siebie. Nie krył się zupełnie z przekonaniem, że Delancey wcale nie nadaje się do dowodzenia jakimkolwiek okrętem wojennym, nawet takim przestarzałym gratem, na jaki został przydzielony. Natrząsał się z nazwy *Spitfire*, manifestował swoje wątpliwości na temat opanowania sztuki żeglarskiej przez Delanceya oraz jego odwagi i prawie otwarcie dziwił się, jak pewni ludzie (nie wymieniając nazwisk) mogli w ogóle otrzymać odpowiedzialne funkcje we flocie. Opanowanie i kurtuazja Ashleya stanowiły zupełny kontrast, ale to nie wystarczało, by uczynić kolację spotkaniem przyjemnym.

Eskadra pozostała w porcie przez Boże Narodzenie, jak się można było tego spodziewać, i dało to Delanceyowi sposobność złożenia wizyty niektórym miejscowym kupcom. Zaczął od pana Jeremiaha

Coyne, który, jak się okazało, był jeszcze dość młodym i zdolnym człowiekiem. Potwierdził wszystko, co napisał do swoich przyjaciół w Bristolu - francuski wywiad był znakomicie zorganizowany. Podkreślił, że w jego działaniu nie było przypadkowości, żadnego opierania się na dysydentach, wysyłających do Francji informacje na chybił trafił. Działali tu świetnie przygotowani agenci, pracujący pod kierunkiem głównego sztabu, a powiązani ze sobą wspólnym zadaniem.

W centrum tej siatki jest osobnik znany swoim podwładnym jako Fabius. Istnieje przekonanie, że znajduje się on w ciągłym ruchu, pracuje jednak w oparciu o bazę, która może się okazać punktem wybranym na lądowanie.

Pan Coyne dodał też, iż nie ulega wątpliwości, że w Cork musi działać co najmniej jeden nieprzyjacielski agent, ale nie zdradził się, czy wie, kim jest ów człowiek. Po otrzymaniu podobnej informacji od dwóch innych kupców z Cork Delancey zameldował o tych plotkach kapitanowi Ashleyowi.

- Postąpił pan bardzo słusznie mówiąc mi to, co pan usłyszał. Osobiście sędzę, że informacje Coyne'a są prawdziwe. Muszę powiedzieć, że ta sama wiadomość dotarła już przedtem do mnie. Powinien pan sobie zdawać sprawę, że my również mamy swoich agentów. Nie zajmujemy się nimi bezpośrednio, ale wiem o ich istnieniu i mam możliwości kontaktowania się z nimi przez łącznika.

- A więc postępuję niewłaściwie robiąc wywiad na własną rękę?

- Powiedziałbym raczej, że nie powinien pan lekceważyć informacji, ale nie należy bawić się w tajnego agenta, i to z dwóch powodów. Przede wszystkim nie może pan działać tajnie, nosząc na sobie uniform. Poza tym nasi agenci mogą nie być zadowoleni z pańskiej czy mojej pomocy. Najlepiej zrobimy, jeżeli będziemy się trzymać tego, co do nas należy.

Delancey musiał przyznać, że kapitan Ashley miał rację. Tym niemniej żywił nadzieję, że agenci ze strony brytyjskiej rzeczywiście byli dostatecznie aktywni. Patrolować całe wybrzeże irlandzkie to niełatwe zadanie. Sprawa zostałaby ogromnie uproszczona, gdyby można było zawczasu ustalić miejsce lądowania Francuzów. Można byłoby chyba o tym wywnioskować na podstawie poprzednich rebelianckich działań na tych terenach. A może nieuchwytny pan Fabius był na to za sprytny?

Nazajutrz po tej rozmowie - 3 stycznia 1798 roku - *Vulture* i *Spitfire* otrzymały rozkaz wypłynięcia. Godzina została ustalona wcześniej, armatni wystrzał na *Vulture* zaraz po pierwszym brzasku był zupełnie zbędny i posłużył jedynie, mówiąc prawdę, jako sygnał do postawienia żagli.

Ludzie Delanceya czekali w stanie gotowości, łańcuch kotwiczny wybrany i kotwica gotowa do podniesienia. Partridge znajdował się na dziobie, przygotowany, by w każdej chwili podnieść i podciągnąć kotwicę i obwiązać ją mocno linami. W kierunku wyjścia z portu wiała świeża bryza i Delancey potwierdził otrzymanie sygnału, potem rozkazał, by Partridge podniósł kotwicę. Gdy tylko oderwała się od dna, wydał przez tubę następane rozkazy.

- Podnieść kliwer! - A potem: - Podnieść bezan!

Ponieważ miał małą załogę, uważał, że będzie lepiej ograniczyć się tylko do tych dwóch płócien do czasu, aż kotwica zostanie całkowicie podciągnięta i zamocowana.

Od strony *Vulture'a* doszedł odgłos drugiego wystrzału i zasygnalizowane zostało pytanie:

- Dlaczego nie wykonał pan mego rozkazu?

- Przyjęte do wiadomości - burknął Delancey. - Postawić marsie.

Tymczasem *Vulture* był już pod pełnymi żaglami i zaczynał się oddalać.

- Fokżagiel w górę! Wybrać szoty!

Klnąc w duchu, Delancey nadał sygnał braku gotowości. Zdał sobie sprawę z tego, czego już się przedtem domyślał. Szanowny kapitan Vincent Kerr nie był człowiekiem łatwym do współpracy. W czasie kilku najbliższych miesięcy miał się przekonać o tym, iż było to bardzo łagodne sformułowanie. Delancey zaczynał widzieć rezygnację swego poprzednika w zupełnie innym świetle.

ROZDZIAŁ 8

Fabius

W tym pierwszym okresie na *Spitfire*, kiedy pływali wzdłuż zachodniego wybrzeża Irlandii, zgryźliwe sygnały od Kerra stanowiły tylko część kłopotów. Złej pogody można się było oczywiście spodziewać, ale poza tym Kerr miał zwyczaj wpływać do wszystkich wąskich zatoczek i opuszczać je nie rzucając nawet kotwicy. Z jednej strony robił w ten sposób należyte wrażenie na Irlandczykach, sugerując, że Marynarka Brytyjska była wszędzie, że mogła pojawić się w najbardziej odległym porcie bez żadnego ostrzeżenia. Załogi okrętów nie miały jednak wytchnienia, nie mówiąc już o szansie postawienia nogi na lądzie. W ciągu lutego i marca Delancey opłynął cały rejon patrolowy Kerra, wiedząc, że poznanie linii brzegowej będzie miało ogromne znaczenie, jeżeli Francuzi zdecydują się wylądować. Dwa ich okręty dopłynęły aż do wybrzeży Galway i Donegal, okrążając Arranore i wyspy Tory, wchodząc do takich zatoczek jak Sheep, Haven i Mulroy Bay.

Potem sprawy wzięły lepszy obrót, a i pogoda zdążyła na czas się poprawić. *Spitfire* dzięki ostrej dyscyplinie nabrał bardziej eleganckiego wyglądu, a ćwiczenia w stawianiu i zmianach żagli sprawiły, że Kerr stopniowo zaprzestawał swoich złośliwych komentarzy. Płynąc po raz drugi na północ, oba okręty zawinęły do Westport i do Broad Haven, a wreszcie wylądowały w Kulali. Ich postój tam mógł trwać tak długo, jak długo pozwalał na to niespokojny temperament Kerra; ale zarówno on, jak i Delancey otrzymali niezwykle

naglące zaproszenie od protestanckiego biskupa Kulali, którego oficjalna rezydencja mieściła się w zamku. List był niczym więcej jak tylko przyjacielskim zaproszeniem na kolację, ale brzmiała w nim wyraźna nuta nacisku, której Kerr nie mógł nie zauważyć. Widocznie biskup chciał im coś przekazać, coś, czego nie dało się wyrazić na papierze.

Obaj oficerowie popłynęli na brzeg łodzią z *Vulture*. Tam czekał zaprzęgnięty w parę koni powóz, który z przystani zabrał ich do biskupiego pałacu. Doktor Stock osobiście powitał gości przed frontowymi drzwiami. Był to okazały mężczyzna w średnim wieku, o czerwonej twarzy bez

szczególności piętna uczoności czy pobożności. Robił wrażenie ogromnie zdenerwowanego.

- Kapitanie Kerr! Kapitanie Delancey! Jak to miło, że panowie przyjechali. Tędy, proszę.

Służący odebrał od nich kapelusze, a biskup poprowadził do salonu, gdzie przedstawił ich pani Stock i kilku córkom. Potem zaprezentowano im kapelana, pana Ludlow. Padła też wzmianka na temat kilku synów, którzy kręcili się gdzieś w pobliżu. Wkrótce zasiedli do kolacji; usługiwały im obdarzone najlepszymi chęciami, ale ogromnie niezdarne irlandzkie dziewczyny. Z kuchni dobiegał brzęk naczyń, a w pewnym momencie odgłos tłuczonego szkła. Pani Stock skrzywiła się tylko, ale udawała, że nie przywiązuje wagi do tego wypadku - i rozmawiała na temat życia towarzyskiego w hrabstwie Mayo. Podkreślała, jak bardzo się ono różniło od tego, co było w jej własnym domu w okolicach Tunbridge Wells. Sceneria nadbrzeżna była piękna, przyznała, ale ona i jej mąż już z góry cieszyli się na swój zimowy pobyt w Dublinie.

- A czy w Kulali jest dużo protestanckiej ludności, Wasza Wielbność?

- Niestety, nie - odparł biskup. - Jest oczywiście trochę obywateli ziemskich i ich służby, są tu celnicy i bardzo niewielu rzemieślników, natomiast wszyscy wieśniacy są katolikami i mają bardzo minimalne wykształcenie lub nie mają go wcale. Robię, co tylko mogę, ale trudno jest obronić się przed poczuciem izolacji.

- Wierzę jednakże, Wasza Wielbność, że ma pan tu spokój. Mówiono mi, że w niektórych częściach Irlandii ostatnio chłopci zaczynają się buntować.

- Jak dotąd mieliśmy pod tym względem szczęście, sir. Modłę się, by podobne kłopoty, jakie nękają inne okręgi, zostały nam oszczędzone.

To, jak się rozmowa toczyła, zależało głównie od biskupa i Delanceya. Pani Stock mówiła niewiele, a dzieci wcale. Kapitan Kerr był w jednym ze swoich najgorszych nastrojów. Z trudem zdobywał się na uprzejmość i niewiele okazywał szacunku dla pani i pana domu. Nie znał żadnego szlachcica nazwiskiem Stock, a poza tym doszedł do wniosku, że nikt z jako taką pozycją nie byłby zesłany na tę odludną diecezję. Wobec biskupa Winchesteru albo Salisbury należy zachowywać formy grzeczności, ale kto kiedy słyszał o biskupie Kulali? Odmówił spróbowania kilku dań i zostawił nie tknięte wino, zakładając z góry, iż doktor Stock nie mógł mieć w swojej piwnicy niczego, co nadawałoby się do picia.

Delancey odczuł prawdziwą ulgę, kiedy pani Stock wraz z dziećmi opuściła stołowy pokój pozwalając, by biskup zaoferował swoim gościom po kieliszku portu. Pan Ludlow jak dotąd zachowywał milczenie, ale teraz stał się aktywny, rozstawiał na stole karafki i polecał maderę, którą Delancey ocenił jako znakomitą.

- Dziwicie się zapewne, panowie, dlaczego tak nalegałem, abyście mnie zaszczylili swoim towarzystwem dziś wieczór. Zawsze jest przyjemnie mieć gości w tak odludnym miejscu, a zwłaszcza oficerów marynarki, którzy o każdej porze są przeze mnie mile widziani.

Muszę jednak być szczery i wyznać, że potrzebuję panów pomocy. Pan Ludlow i ja zauważyliśmy ostatnio w okolicy pewną działalność, która wydaje się nam nieco niezwykła. Gdy się spędziło sześć lat w tej samej diecezji, wie się, czego się po kim można spodziewać. Jest tu trochę ciemnych typów, których wyczyny i gadanina są dla nas chlebem powszednim. Potworzyły się grupy, niezmiennie w swoim składzie, przyjaźnie utrwalone przez lata, a nastroje wrogości - z przykrością muszę stwierdzić - przeszły w tradycję. W ubiegłym roku jednakże zauważyliśmy nie dające się wytłumaczyć zmiany. W tym roku zmiany te stały się jeszcze bardziej widoczne. Jeżeli rozważa się te sprawy oddzielnie - to żadna z nich nie wydaje się czymś ważnym, ale w sumie stwarzają

niepokojącą sytuację.

- Jego Wielbność chce powiedzieć, że ludzie, których sposób zachowania był otwarty, stali się teraz skryci i nieufni. Kiedy się wchodzi do jakiegoś mieszkania, ożywione rozmowy zamierają natychmiast. Pojawili się też jacyś obcy ludzie, których obecności nie umiemy sobie wytłumaczyć, inni natomiast nagle znikają, nie mówiąc słowa o swoim wyjeździe ani też o powrocie. Odnosimy wrażenie, że coś się tu planuje, że oczekuje się na jakieś niezwykle wydarzenia.

- Pan Ludlow bardzo dobrze przedstawił sytuację - rzekł biskup. - Panowie rozumieją, że moja pozycja nie jest pozycją angielskiego prałata w Anglii. Jestem kapłanem, to prawda, i jestem tu po to, by głosić Ewangelię oraz wyjaśniać doktrynę kościoła anglikańskiego. W pewnym jednak sensie jestem również urzędnikiem państwowym i z pewnością jako taki jestem tu traktowany. Jeżeli rodzi się zarzewie buntu, nie mogę stać bezczynnie i przyglądać się temu. Jeżeli popełniane jest przestępstwo, muszę zrobić wszystko,

co w mojej mocy, by zapobiec ucieczce przestępcy przed sprawiedliwością. Ja sam nie jestem sędzią pokoju, ale niektórzy z moich duchownych za moją zgodą zasiadają w sądzie. Czy chcę, czy nie chcę, jestem członkiem administracji Irlandii i jako taki odczuwam szczerą niepokój.

- Wasza Wielbność opisuje tu zmiany w nastrojach - podjął Kerr. - Czy zdarzył się jednak jakiś szczególny wypadek? Albo czy zaistniały jakieś okoliczności, o których mógłbym złożyć meldunek mojemu dowódcy, jako o niezbitym fackie?

- Tak, proszę pana - rzekł Ludlow. - Otóż widzieliśmy czterech katolickich księży zupełnie obcych w tych stronach. I to w ciągu ostatnich trzech tygodni.

- Ale czy istotnie jest w tym coś szczególnego? Przecież to kraj katolicki i z pewnością jest tu wielu księży?

- Księży może być wielu - zgodził się biskup - ale ci nie włączają się po sąsiednich parafiach. Można mieć wątpliwości, czy mężczyźni, których widzieliśmy w sutannach, są w ogóle księżmi.

- Sutanna to dobre przebranie - wtrącił pan Ludlow - nikt nie zadaje pytań, chyba że jakiś inny duchowny, jak na przykład Jego Wielbność. Pan natomiast, kapitanie, nie widzi w tym nic niezwykłego, że jacyś kapłani przychodzą i odchodzą.

- A gdyby chodziło o jakiegoś obcego księdza protestanckiego, który zachowywałby się tak samo jak tamci, to czy i wtedy jego zachowanie wydałoby się panu dziwne? - zapytał Kerr.

- Obcy kapłan protestancki?! - wykrzyknął Ludlow. - Ależ to wręcz niemożliwe. Duchowni naszego kościoła są tutaj bardzo nieliczni i wszyscy się bardzo dobrze znamy.

- Dobrze - ciągnął Kerr - napiszę więc raport na temat pańskich obserwacji. Jednakże Wasza Wielbność zdaje sobie sprawę, że to, co zrelacjonuję, jest raczej niesprecyzowane. Podobne raporty napłyną i z innych okręgów. Nasunie się z tego ogólny wniosek, że chłopci są niespokojni. Niech mi Wasza Wielbność wybaczy, ale mam pewne wątpliwości, czy to istotnie będzie wielką niespodzianką dla zamku w Dublinie.

- Ależ nie chodzi o to, sir, że ludzie są niespokojni - zawołał pan Ludlow - ale o to, że w tym właśnie okręgu knuje się coś niedobrego.

- Co mogliby osiągnąć ci francuscy agenci, zakładając, że owi bawiący tu gościnnie księża pracują dla nieprzyjaciela? - spytał Kerr.

- Mogliby podkopać lojalność milicji - odparł szybko pan Ludlow. - I podejrzewam, że to właśnie robią.

- Zrozumcie, panowie - rzekł biskup - że przemyśleliśmy tę sprawę. Powiedzieliśmy już wiele i

panom zostawiamy wyciągnięcie z tego wniosków. Przejdźmy teraz do przyjemniejszych tematów. Czy próbowaliście już coś złowić w tej zatoce? Jeżeli to panów interesuje, moi synowie mogliby wam pokazać, gdzie tu można łapać ryby. Wyrosli tutaj i rzadko przebywają na brzegu. Robią też własne kosze na kraby.

Przyłączyli się do pań i kapitan Kerr nawiązał rozmowę z córkami. Tymczasem Delancey zaczął gawędzić z jednym z chłopców o łapaniu ryb. Wkrótce powóz odwiózł ich z powrotem do przystani, gdzie czekały łodzie z obu okrętów. Zanim się pożegnali, Delancey zapytał prywatnie Kerra, czy to, co biskup mówił o lokalnych niepokojach, zrobiło na nim jakieś wrażenie.

- Nie - odparł Kerr. - Przypuszczam, że to samo dałoby się powiedzieć o każdym innym okręgu. Zrobię jednak raport i pozostawię kapitanowi Ashleyowi decyzję co do tego, czy należy podjąć jakąś akcję. Odbijemy z porannym odpływem.

- Tak jest, sir - odparł Delancey i wszedł, do łodzi

Kiedy płynął na *Spitfire'a*, zastanawiał się, dlaczego Kerr był taki niemiły dla ludzi, których spotkał po raz pierwszy. Zdarzały się rzadkie momenty, kiedy prawie lubił Kerra, dostrzegając w nim pewne rysy charakteru, które rzadko uzewnętrzniał. Dzisiaj jednak nie dało się zaprzeczyć, że był niepotrzebnie szorstki w stosunku do biskupa. Zastanawiając się Delancey doszedł do wniosku, że ostrzeżenie, jakie otrzymał Kerr, pochodziło bardziej od kapelana niż od biskupa. W tym Ludlowie było coś z fanatyka. Musiał naprawdę nienawidzić papieżstwa, będąc człowiekiem z Londonderry, purytaninem z pochodzenia, powiązań i wyboru. Poza tym był człowiekiem nie pozbawionym inteligencji, lojalnym wobec Korony i całkowicie przeciwnym rewolucji w jakiegokolwiek postaci. Natomiast biskup to człowiek poczciwy, prawdopodobnie szczerze religijny, a poza wszystkim uprzejmy pan domu. W żadnym wypadku nie był osobowością narzucającą innym swoją wolę. Gdyby Delancey był sam, pozostałby w Killali dłużej, by wybadać sytuację na własną rękę.

Jeszcze tego samego dnia Delanceyowi powiedziano, że jakaś łódź przyplłynęła do brzegu i że młody wioślarz pragnie się z nim zobaczyć. Był to Dawid Stock, najmłodszy syn biskupa. Przywiózł od pana Ludlowa list następującej treści:

„Drogi kapitanie Delancey,

wkrótce po pańskim odjeździe mieliśmy nieoczekiwanego gościa, duchownego nazwiskiem Matthew Clarke. Nie wiem, co o tym myśleć. Biskup byłby ogromnie wdzięczny, gdyby pan raz jeszcze przybył na brzeg i udzielił łaskawie rady. Proponowałbym, żeby pan włożył cywilne ubranie i ukrył swój właściwy zawód i rangę, udając, że jest pan przyjacielem biskupa, który przyjechał, by udzielić mu rad na temat odbudowy zamku.

Mam zaszczyt być pańskim uniżonym sługą

William Ludlow”

Delancey przeniósł spojrzenie z listu na jego doręczyciela. Był to bystry chłopak, około dwunastu lat.

- Powiedz mi, Dawid, czy ty wiesz, co jest w tym liście?

- Tak, proszę pana.

- Widziałeś tego gościa, pana Clarke?

- Tak, sir.

- Co o nim myślisz?

- Nie wiem, doprawdy, sir.

- Dlaczego pan Ludlow uważa go za podejrzanego?

- Nie rozumiem, po co ten człowiek znalazł się tutaj.
- No, dobrze. Zabierzesz mnie na brzeg swoją łódką?
- Tak, sir.

W dziesięć minut później Delancey płynął do przystani jako jedyny pasażer zwariowanej, przeciekającej, pokrytej łatami wiosłowej łodzi. Łódź była stara i zniszczona, ale jej dumny właściciel znał tutejsze wody tak samo dobrze, jak każdy z rybaków. Mówił z ogromną pewnością siebie, kiedy pojawia się fala przyływu, i o skałach, które są źle oznaczone na mapie. Jak Delancey niebawem odkrył, Dawid niechętnie rozmawiał o czym innym.

Tym razem nie było na przystani powozu, ale Dawid zabezpieczywszy łódkę zaprowadził Delanceya do zamku krótszą ścieżką. Został przedstawiony po raz drugi, ale tym razem pod nazwiskiem Cartwrighta Odgrywając swą rolę zdumiewająco dobrze, biskup podziękował mu za przybycie aż z Belfastu.

- Może pan pomyśleć, że niepotrzebnie robię alarm, i mam nadzieję, że tak jest istotnie. Wierzę jednakże, iż wczesne zajęcie się

słabymi punktami budynku jest prawdziwą oszczędnością. W Anglii podejrzewa się czasami, że budowniczy sam sobie wyszukuje pracę, ale w gruncie rzeczy jest odwrotnie. Mój miejscowy budowniczy Shamus O'Toole powiedziałby: „Ależ, sir, na honor, jest świetnie tak, jak jest”, żeby tylko oszczędzić sobie kłopotów. Ale teraz proszę poznać mojego drugiego gościa, pana Clarke z Oxfordu. Panie Clarke, chciałbym, żeby pan poznał Cartwrighta, mego starego przyjaciela z Belfastu.

- Pański sługa, sir - rzekł Clarke. Delancey ujrzał przed sobą pulchnego duchownego w średnim wieku, o bladej twarzy, w okularach, uśmiechniętego dobiegająco do całego świata. Wyglądał dobrze i dostatnio. Miał na sobie zupełnie nowy czarny garnitur i pięknie odprasowany krawat.

- Witamy w Irlandii - powiedział Delancey. - Czy mogę spytać, co pana sprowadza w nasze strony?

- Najbardziej to ciekawość, panie Cartwright. Jestem wykładowcą w Oxford college, ale ostatnio dostałem propozycję pracy w Irlandii. Zdaje mi się, że gdzieś w Donegalu. Zanim zdecyduję się na to czy tamto, postanowiłem rozejrzeć się w tym kraju. To znaczy przynajmniej w tych okęgach, gdzie jest najspokojniej. Nie muszę chyba dodawać, że Jego Wielbność okazał się niezwykle uprzejmy. Poza tym spotkałem tutaj innego oxfordczyka, to jest pana Ludlowa.

Zostało tak ułożone, że zarówno Clarke, jak Cartwright zostali na kolacji. Potem poszli obejrzeć tę część zamku, o którą biskup był rzekomo najbardziej niespokojny.

- Wydaje mi się - wyjaśnił biskup - że ściany pod naporem krokwi wychylają się na zewnątrz. Potrzebna jest przypora, a może nawet dwie.

- Na ogół krokwie nie napierają, Wasza Wielbność - rzekł Delancey, przypominając sobie skromne wiadomości, jakie posiadał

na temat konstrukcji budowlanych. - Jeżeli jest jakiś napór, to powinien tu pomóc wiązar. Może mógłbym przyrzyć się dachowi jutro, kiedy będzie lepsze oświetlenie?

Przy kolacji pan Clarke był bardzo swobodny, rozmawiał o klasykach, wspominał o ostatnio wydanym podręczniku teologii i wyraził ubolewanie dla wyboru ostatniego lektora na wydziale teologicznym w Oxfordzie. Pani Stock, która nigdy nie była w Oxfordzie, zapytała o życie towarzyskie w tym mieście. Pan Clarke odpowiedział, że niestety, jest tam bardzo niewiele pań. Zawahał się na moment, kiedy zapytano go o władze college'u Oriel, w którym, jak mówił, był pracownikiem naukowym i wychowawcą.

- Może powinienem był od razu wyjaśnić, że dopiero niedawno zostałem tam wybrany. Przedtem pracowałem w innych college'ach. Jeszcze wcześniej jako kapelan u pewnego szlachcica na północy Anglii.

- W jakim college'u był pan przedtem?

Rzucił nazwę Merton i zaczął opowiadać o kazaniu, które musiał wygłosić w kościele uniwersyteckim. Pan Ludlow przysłuchiwał się wszystkiemu cierpliwie, a potem zapytał niewinnie:

- Pan był w Merton pracownikiem naukowym, a nie stypendystą?

Clarke zignorował to pytanie. W tym momencie biskup, który był wychowankiem Cambridge, a więc nie miał nic do dorzucenia na ten temat, skierował rozmowę na Donegal, to jest tę część Irlandii, do której pan Clarke się wybierał.

- Świetne miejsce na połowy pstrąga morskiego. Niestety, jest to kąt trochę zabity deskami.

Po kolacji panowie na pewien czas zostali sami. Wtedy Ludlow zabrał Delanceya na stronę pod pretekstem, że chce mu pokazać plan zamku.

- Ten facet wcale nie był w Merton - powiedział cicho. - Niech pan z nim porozmawia, a ja powiem to biskupowi.

Znowu zawiązała się ogólna rozmowa przy stole. Gdy biskup w towarzystwie kapelana wrócił do pokoju, powiedział:

- Ach, panie Clarke, właśnie przypominano mi, że nasz najenergiczniejszy sędzia, pan Galway z Crofton Park koło Balliny jest także byłym studentem z Merton. Bardzo prawdopodobne, że był on tam w tym samym czasie. Ma wpaść do Kulali, żeby mnie odwiedzić, jutro w południe, i na pewno bardzo by się ucieszył, gdyby pana spotkał. Będzie ogromnie rozczarowany, jeśli się dowie, że pan wyjechał. Mam nadzieję, że będzie pan mógł opóźnić swój wyjazd o jeden dzień. Jeżeli obecne lokum nie jest wygodne, będzie mi ogromnie miło gościć pana u siebie.

- Ależ doprawdy, Wasza Wielbność, pan mnie zawstydza swoją uprzejmością - odparł Clarke. - Nie będę jednak nadużywał pańskiej gościnności. Tak się złożyło, że jutro wieczorem jestem oczekiwany w Sligo. Stamtąd wrócę do Balliny, a wtedy chętnie odwiedzę pana Galwaya. Co prawda nie pamiętam, byśmy się gdzieś zetknęli, ale nazwisko, muszę przyznać, wydaje mi się znajome.

- Nic dziwnego, jest on kuzynem doktora Latimera, obecnego dyrektora college'u Oriel.

- W takim razie to zrozumiałe, że o nim słyszałem. A teraz, Wasza Wielbność, jeżeli pan pozwoli, pożegnaj się, bo jutro czeka mnie daleka podróż.

- Chwileczkę, panie Clarke. Myślę, że powinien pan spotkać się jutro z Galwayem. Proszę zrozumieć, że w kraju tym jest niespokojnie, że lądowanie Francuzów nie jest wcale takie nieprawdopodobne i że patrzymy tu na obcych z pewną podejrzliwością. Widzimy w nich wrogich agentów, przygotowujących bunt przeciwko legalnemu rządowi. Zakładam, że pan potrafi udowodnić swoją niewinność,

167ale poczuwam się do obowiązku ostrzec, że w chwili obecnej jest pan dla nas kimś podejrzanym i że może nastąpić aresztowanie.

- Sądzi więc pan, Wasza Wielbność, że jestem tajnym agentem?

- Muszę przyznać, że to, co pan opowiadał o sobie, nie jest całkowicie przekonujące.

- A czy nie przyszło Waszej Wielbności na myśl, że mógłbym być tajnym agentem, ale po stronie brytyjskiej? - Wyraz twarzy pana Clarke zmienił się całkowicie. Zdjął okulary i patrzył na biskupa z nie ukrywaną wrogością. Z dobrodusznego i łagodnego duchownego stał się nagle mocnym

i energicznym człowiekiem interesu. - Czy nie wydaje się panu możliwe, że pańskie wścibstwo może stać się najgorszą przysługą, jaką pan mógłby wyrządzić własnej sprawie?

- Przecież nie wtrącałem się do niczego, po prostu ostrzegłem pana o swoich podejrzeniach. Mam szczerą nadzieję, że potrafi pan wyjaśnić panu Galwayowi swoją obecność tutaj.

- A nie obawia się pan, że zamek w Dublinie będzie z tego mocno niezadowolony? Sam pan powiedział, że są to niespokojne czasy i obie strony podlegają do buntu. Czy to możliwe, żeby rząd zaniedbał wysłania swoich agentów na zagrożone wybrzeża? Kto wie, czy niektórzy z nich nie są na przykład przebrani za katolickich księży po to, by mogli zdobyć zaufanie dysydentów. Inni, być może, występują jako duchowni protestancy, adwokaci przebywający w podróży albo dżentelmeni zainteresowani połowami ryb morskich. Jakim cudem mogliby spełnić należycie swoją misję, gdyby każdy

sędzia, który ich podejrzewa, miał prawo ich aresztować?

- Ależ proszę pana! Fakt, że zostali aresztowani, mógłby tylko umocnić ich pozycję u rebeliantów - wtrącił pan Ludlow.

- To bardzo inteligentna interpretacja, panie Ludlow. Zaczynam się zastanawiać, czy pan jest tym, za kogo się podaje. Czy mogę pana zapytać, od jak dawna jest pan kapelanem przy biskupie?

- Jest moim kapelanem od przeszło roku - pospieszył z wyjaśnieniem biskup. - Przybył do mnie z niepodważalnymi listami polecającymi od pewnego szlachcica, którego lojalność jest niekwestionowana.

- Nie wątpię, Wasza Wielbność. Opinia pana Ludlowa jest na pewno bez zarzutu. Ale co byśmy powiedzieli, gdyby jego prawdziwe nazwisko brzmiało na przykład Smith lub Jones?

- No, wie pan! - zawołał Ludlow. - To jest niewybaczalne!

- Nie bardziej niż pańskie podejrzenia w stosunku do mnie.

Ta riposta uczyniła pana Clarke'a panem placu boju, zaś przeciwników jego zbiła z tropu. Żeby ich jeszcze bardziej pogłębić, ciągnął dalej:

- Nie znaczy to, Wasza Wielbność, że podaję się za tajnego agenta z zamku w Dublinie. Po prostu uświadomiłem panom, że nie posiadacie: żadnych dowodów, iż jestem wrogiem, tak samo jak nie istnieje żaden dowód, że pan Ludlow jest przyjacielem. Mogę do tego jeszcze dodać, iż istnieje duże prawdopodobieństwo, że się ośmieszycie i wyjdziecie na głupców.

- Czy się ośmieszymy, czy nie, muszę pana poprosić o pozostanie tutaj, w Kulali, do jutra w południe, kiedy to będzie się pan mógł zobaczyć z panem Galwayem. Dobrze?

- Tak, Wasza Wielbność. Do tego czasu mogę pozostać bez większego kłopotu. A teraz proszę mi pozwolić odejść. Dobranoc, Wasza Wielbność. Dobranoc, panowie.

Pan Ludlow doprowadził gościa do drzwi frontowych i wrócił nieco zdezorientowany.

- Odszedł, Wasza Wielbność. Jeżeli zostanie tu do jutra w południe, będziemy musieli uwierzyć, iż istotnie jest on agentem działającym po naszej stronie. Jeżeli zaś zniknie albo będzie próbował uciekać przed świtem, co jest bardziej prawdopodobne, zdobędziemy pewność, iż to agent wroga. Czy mogę zwrócić uwagę Waszej Wielbności, iż obowiązkiem naszym jest obserwowanie domu, gdzie się zatrzymał, a w razie próby ucieczki aresztowanie go?

- Nie wiem - odparł biskup z wahaniem - nie byłbym taki pewny... Właściwie jest to sprawa bardzo delikatna. A poza tym, komu możemy zaufać?

- Na przykład Tomowi, pańskiemu woźnicy, Larry'emu z poczty.

- Człowiek chciałby zrobić to, co jest słuszne... Ale czy mamy prawo uciekać się do przemocy?

Jesteśmy ludźmi miłującymi pokój, proszę o tym pamiętać, i musimy być wierni szatom, jakie nosimy.

Tymczasem Delancey musiał już wracać. Właściwie przyjeżdżając na ląd nie złamał żadnego zakazu, zrobił to jednak bez wiedzy Kerra. A gdyby Kerr zmienił plany i zdecydował się odpłynąć jeszcze tej nocy albo gdyby na przykład zasygnalizował, że Delancey ma się stawić na pokładzie *Vulture'a*? W Killali nic więcej zdziałać nie mógł. Teraz najważniejszą rzeczą było jak najszybciej powrócić na własny okręt.

- Do widzenia, Wasza Wielbność - rzekł Delancey. - Przykro mi, że niewiele mogłem pomóc i że problem pozostaje nie rozwiązany. Jednakże mam nadzieję, że powrócę tu i dowiem się, jakie będzie zakończenie sprawy.

- Do widzenia, kapitanie - odparł biskup. - Zdaję sobie sprawę, że nie zależy pan od siebie. Dziękuję, że tak dobrze odegrał pan swoją rolę. Będę oczekiwał pańskiej następnej wizyty.

Kiedy Delancey znalazł się na przystani, zrobiło się już ciemno.

170 Wiedział jednak, że młody Dawid Stock jest znakomitym pilotem. Na swojej zwariowanej łódce wiosłował w bezkieszyńcową noc z absolutną pewnością, gawędząc beztrzesko o żeglarskich niebezpieczeństwach. W przeciągu pół godziny znaleźli się przy burcie *Spitfire'a*. Delancey odpowiedział na przywitanie wachty w taki sposób, by uniknąć wszelkich ceremonii przy wejściu na pokład.

- Dobranoc, Dawidzie! - zawołał. - To była dobra robota!

Odetchnął z ulgą, gdy Partridge zameldował mu, że nie było żadnych sygnałów z *Vulture'a* i nie zdarzyły się żadne kłopoty na pokładzie okrętu. Natychmiast zaczął się przygotowywać do odpłynięcia, wiedząc, że Kerr, tak jak powiedział, będzie chciał wyruszyć o świcie.

Delanceya obudzono o czwartej. Całą załogę też. Łańcuch kotwiczny został wybrany krótko i czekano tylko na strzał armatni i sygnał do odpłynięcia. Ludzie stali na stanowiskach przy fałach i szotach, a majtkowie pełniący służbę na marsie byli już wysoko w górze. Białe światło pojawiło się nad lądem i niebawem miał się zrobić dzień.

Nagle dobiegł głos wachtowego z okna na forkasztelu:

- Łódka! Ahoj! Nie zbliżać się! Czego chcesz?

Delancey nie dosłyszał odpowiedzi, ale poszedł ku dziobowi, by zobaczyć, co się dzieje. Było już na tyle widno, że mógł rozpoznać Dawida Stocka i jego starą rybacką łódź.

- Dobrze, Dawidzie! - zawołał. - Podpłyn łódką do głównego trapu i, wejdź na pokład. Ale pospiesz się, bo za kilka minut odpływamy.

Łódka zręcznie przesunęła się wzdłuż burty ku rufie i ktoś rzucił chłopakowi linę. Chwilę później Dawid znalazł się na pokładzie. W półmroku postać jego była ledwie widoczna.

- Czy coś się stało, Dawidzie?

- Dziś w nocy pan Ludlow został zamordowany, sir.

- Gdzie? Jak?

- Zasztyletowany, sir. Nożem. Niedaleko od miejsca, gdzie zatrzymał się pan Clarke.

- A co z panem Clarke?

- Zniknął, sir.

- Czy to biskup cię tu przysłał?

- Nie, proszę pana.

- To dlaczego przyjechałeś?

- Żeby to panu powiedzieć, sir.

- Dziękuję, Dawidzie. - Nastąpiła chwila milczenia. Delancey zastanawiał się, na co chłopak czekał. - Chyba byłoby lepiej, żebyś zaraz wracał na ląd, Dawidzie - dodał.

- Nie, sir. Ja nie chcę wracać.

- Jak to?

- Chcę wstąpić na pański okręt, sir.

- Bez pozwolenia twojego ojca to niemożliwe, Dawidzie. Gdybym cię przyjął, nie wiedziałby, gdzie się podział. Ojciec i twoja matka myśleliby, że utonąłeś.

- Nie, proszę pana. Zostawiłem list. - W głosie chłopca brzmiał upór. Powziął decyzję i nie miał zamiaru jej zmieniać.

- Dawidzie, nie mogę cię przyjąć. Ja tu wrócę za kilka tygodni, a wtedy przedyskutujemy całą tę sprawę z twoim ojcem. Jeżeli się zgodzi, zabiorę cię na pokład jako ochotnika. No, jak? Zgadzasz się?

- Nie, sir.

- Co to znaczy? Taka jest moja decyzja.

- Ale mnie to nie odpowiada. Ja chcę wstąpić teraz.

- No cóż, chcesz, ale nie możesz. Odpływaj!

W tym momencie rozległ się huk armatniego wystrzału z pokładu *Vulture'a*, powitany wrzaskiem protestu mew. Przez zatokę przeszło dudniące echo. Jednocześnie otrzymano sygnał do postawienia żagli.

- Przyjete - zawołał Delancey. - Wszyscy do żagli!

- Wyrwać kotwicę! - padł rozkaz. A potem: - Postawić marsle!

Kotwice *Spitfire'a* zostały wyrwane z dna i okręt ruszył w drogę w ciągu dwóch minut, o ułamek sekundy wcześniej od samego *Vulture'a*. Spoglądając w jego kierunku Delancey uśmiechał się przez chwilę, a potem wydał rozkaz sternikowi, który powtórzył go dalej. Okręt zaczął nabierać coraz większej szybkości. Wtedy Delancey zdał sobie nagle sprawę, że chłopak był ciągle jeszcze na pokładzie.

- Dawid! - zawołał. - Szybko do łódki!

- Nie mogę, sir.

- Dlaczego nie możesz?

- Zatonęła, sir.

Delancey wychyliwszy się za burtę po raz ostatni zobaczył w smudze za okrętem tonącą starą łódź. Odgadł, że Dawid sam wybił w niej dziurę, niszcząc w ten sposób to, co było niemal jedynym jego majątkiem na świecie. Dlaczego chłopak to zrobił? Tak czy inaczej, na razie jednak postawił na swoim. Chciał zostać na pokładzie i chwilowo nie było innego wyjścia. Delancey nie mógł go przyjąć jako członka załogi, ale musiał potraktować jako gościa, nazywając młodym dżentelmenem. Można go będzie odesłać do domu z następnego miejsca postoju okrętu. Może nawet z Ballyshannon.

- Panie Heyworth!

Starszy z dwóch midszipmenów na okręcie podszedł do Delanceya przykładając dłoń do kapelusza.

- Ten chłopak to Dawid Stock. Zostanie z nami przez kilka następnych dni. Niech pan zabierze go na dół i przygotuje mu koję. Proszę dopilnować, by otrzymał hamak i pościel. Będzie się kręcił przy panu i innych. Dołączyć go do wachty na sterborcie!

- Tak jest, sir!

Dawid zniknął przeszedłszy pod opiekę Heywortha, a Delancey powrócił znowu do swoich spraw. Miał teraz nowy problem: jak poinformować Kerra o tym, co się wydarzyło. Nie było takiej kombinacji flag, za pomocą której mógłby przekazać wiadomość: „Ludlow zamordowany, syn biskupa na pokładzie”. Postanowił więc czekać na sposobność. Pod tym względem dopisało mu szczęście, gdyż Kerr postanowił zarzucić kotwicę nie opodal, w zatoce Sligo, prawdopodobnie po to, by odebrać pocztę. Delancey spuścił na wodę łódź i niebawem wraz z Dawidem wszedł na pokład *Vulture'a*. Gdy złożył meldunek, Kerr przez kilka minut wypytywał o wszystko chłopaka, żeby się upewnić, czy nie był on świadkiem morderstwa. Potem poprosił Delanceya o rozmowę w cztery oczy.

- Wygląda na to, że teoria biskupa na temat francuskich szpiegów poprzebieranych za księży była słuszna.

- Ale czy mamy taką pewność? - spytał Delancey,

- No cóż, facet, który się przedstawił jako Clarke, jest oszustem, a Ludlow, który go zroszyfrował, został zabity. Killala może się okazać miejscem zamierzonego lądowania Francuzów.

- Ale istnieje też możliwość, iż to Ludlow był francuskim agentem, a Clarke jest po naszej stronie,

- Do diabła! Pan może mieć rację!

- W każdym razie w obu przypadkach Killala może być główną sceną wydarzeń.

- Tak, ale nie na początku tego roku. Poza tym proszę pamiętać, że może być więcej niż jedno lądowanie albo kilka upozorowanych, a jedno prawdziwe.

- To jest zupełnie możliwe.

- A więc będę patrolował brzeg w kierunku północnym, jak to było w planie.

- Tak, sir. A co z chłopakiem? Może go odesłać stąd do domu?

- Nie. Napiszę do biskupa i do kapitana Ashleya. A pan niech zatrzyma Dawida i zrobi z niego dobrego marynarza. Może kiedyś stanie się zdolnym midszypmenem. Tymczasem... Kto wie? Może będzie nam potrzebny doświadczony, miejscowy pilot w zatoce Killala!

ROZDZIAŁ 9

Rewolta w Irlandii

Vulture i *Spitfire* znalazły się znów na kotwicy w zatoce Sligo, ale tym razem w drodze na południe. Był to koniec lipca i oba okręty żeglowały przez parę miesięcy wzdłuż zachodnich wybrzeży Irlandii i z powrotem pomiędzy Galway i Donegalem. Okręty wpływały do każdej zatoczki, odwiedzały każde miasto od Westportu do Buncrany. Delancey był oczarowany piękną wybrzeża i tym, co tylko pobieżnie zdołał zobaczyć w głębi łądu. Choć urodził się w Guernsey, na bardzo małej wysepce, nigdy jeszcze nie widział takiego nagiego pejzażu i takich wielkich wzniesień skąpanych w słońcu i pogrążonych w ciszy, przerywanej tylko krzykiem dzikiego ptactwa. Tu i tam widoczne były rzadko rozsiane małe grupki domków. Jeszcze rzadziej rozmieszczone były w rozległych parkach rezydencje szlacheckie z białymi kolumnami. Prowadziły do nich długie aleje pięknych drzew. Był to kraj wymarzony dla miłośników polowania i wędkarstwa, ogrodnictwa i malarstwa pejzażowego. Poza tym gościnność, z jaką Delancey się wszędzie na lądzie spotykał, była czymś niezapomnianym. Od czasu do czasu zapraszali go do siebie na kolację urzędnicy lub duchowni, a każdy następny pan domu wydawał się być bardziej gościnny od poprzedniego. Wprost nalegano, by korzystał z ich koni i sportowych muszkietów. Zapraszano go na noclegi, a nawet na

miesięczny pobyt. Proszono, by traktował każdy, z domów, w którym się znalazł, jak swój własny. Niektóre przyjęcia wydane na jego cześć psuł fakt, że towarzyszył

mu kapitan Kerr, który obserwował go złośliwie spod oka, czekając tylko, kiedy i czym zdradzi się ze swoim niskim pochodzeniem. Na szczęście Kerr nie przyjmował wszystkich zaproszeń, bo tylko te, na których był nieobecny, sprawiały Delanceyowi naprawdę wielką przyjemność. Tłem całego tego życia towarzyskiego był kraj w stanie wojny domowej. W Sligo i Donegalu było spokojnie. Może tylko chłopcy wykazywali pewien niepokój. Tymczasem mówiono jednak o walkach w Waterford i Kerry i o zaszarych bitwach pod Enniscorthy i Wexford Bridge. Uparcie powtarzały się pogłoski o niezbyt pięknych czynach popełnianych z jednej strony przez rebeliantów, a z drugiej przez dragonów lorda Lake, jak również przez milicję z North Cork. Dochodziły też pogłoski na temat francuskich agentów i ich planów inwazyjnych. Ile w tym było prawdy? Jeden fakt nie ulegał wątpliwości: rebelia istotnie była przygotowywana, mnóstwo o niej mówiono. Ten fakt stwarzał dla Francuzów znakomitą szansę. Ich szpiedzy na pewno donosili o siłach rebelianckich, którym brakowało tylko broni i amunicji. Wystarczyło wysadzić na brzeg niewielkie siły, by stworzyć załazek dużej, narodowej armii. Nikt nie mógł wątpić, że byli o tym przekonani przywódcy irlandzcy, na przykład Wolfe Tone i Napper Tandy. Nikt też nie miał wątpliwości co do tego, że Francuzi są o wszystkim poinformowani. Być może niewiele wiedzieli na temat sporów, które mogły wybuchnąć wśród samych Irlandczyków, a jeszcze mniej o nieporozumieniach, jakie mogły wynikać między irlandzkimi katolikami i francuskimi ateistami. Pewne było, że oczekiwano na francuską pomoc. To, że wkrótce Francuzi wylądują, traktowano jako fakt. Delancey jednakże uważał, że miejscem inwazji będzie Waterford lub Kinsale, bo tam najłatwiej nawiązać kontakt z rebeliantami, którzy byli bardzo aktywni.

To, że francuscy agenci działali w Killali, było dla niego bezspornym faktem, ale wiadomości, jakie tam zebrali, mogły przecieżyć ich odwieść od tego zamiaru. Poza tym było to miejsce ogromnie odległe. Jako punkt lądowania Sligo wydawało się co najmniej równie nieodpowiednie, choćby dlatego, że posiadało bardzo niewiele ludności. Jeszcze mniej odpowiednią była Mayo. Delancey nie miał wątpliwości, że regularne pojawianie się brytyjskich okrętów wojennych działało uspokajająco i paraliżująco na wrogie elementy.

Przechadzając się po swoim pokładzie i podziwiając „czystą linię położonych w głębi ładu gór Dartry, a nieco dalej na południe gór Ox - wiedział już teraz, że może polegać na swojej załodze. Kazał im ciężko pracować, ale też zawsze korzystali z luksusu jedzenia świeżego mięsa i jarzyn. Właśnie intendent był na lądzie i miał wrócić z baranami i kurczakami, z serem i jajami. Nie widać jeszcze było jego barkasa. Zamiast tego Delancey zauważył rodzaj płytkiej łódeczki, która pod zaglelem zbliżała się do *Vulture'a*. Może przywoziła zaproszenie do miejscowego sędziego, pana Booth-Gore, albo nowe rozkazy wysłane drogą lądową z Cork.

W dziesięć minut później *Vulture* nadał sygnał, by kapitan *Spitfire'a* zjawił się na pokładzie. Gig był już na wodzie, więc Delancey nie tracąc czasu spieszenie wykonał rozkaz. Kerr przyjął go jak zwykle bez wielkiego entuzjazmu, niemal mierzając wzrokiem od stóp do głów.

- Dzień dobry, kapitanie. Właśnie dostałem pilny list od komandora Ashleya. Dowiedziałem się z niego, że Francuzi szykują dwie ekspedycje - obie najprawdopodobniej do Irlandii. Jedna przygotowywana jest w Breście, pod dowództwem kontradmirała Bomparda z trzema tysiącami żołnierzy na pokładach, druga pod dowództwem kontradmirała Savary z ponad tysiącem żołnierzy w Rochefort. Takie dostałem informacje. Naszym agentom jednakże nie

udało się dowiedzieć, w jakich punktach te siły mają wylądować. Polecono nam więc oczekiwać na nich gdzieś w pobliżu irlandzkiego wybrzeża.

- A jaką rolę mamy odegrać w pokrzyżowaniu francuskiego planu?

- Powinniśmy pozostać tutaj i w razie ukazania się nieprzyjaciela przesyłać raporty do Cork. Gdyby rebelianci zaczęli gromadzić się w jakimś punkcie w oczekiwaniu na lądowanie Francuzów, musimy natychmiast poinformować o tym komandora Ashleya.

- Tak jest, sir.

- Przeanalizowawszy te rozkazy, proponuję opuścić zatokę. Nie chcę zostać tu osaczony przez przeważające siły wroga. Będę patrolował między Broad Haven i Malinbeg. A kiedy zobaczę Francuzów, pana wyślę do Cork, a sam będę obserwował nieprzyjaciela.

- Tak jest, sir.

- Widzę, że ma pan jakieś wątpliwości, kapitanie.

- No cóż, po prostu zastanawiam się, w jaki sposób dotrze do pana z lądu następny rozkaz.

- Poproszę tutejszego kapitana portu, żeby przysyłał mi całą pocztę do Broadhaven.

- Tak jest, sir.

- Ale pan dalej ma wątpliwości.

- Nie wiem, w jaki sposób listy dotrą do pana, jeżeli Francuzi wylądują w Lough Swilly.

- Kapitan portu w Buncranie prześle mi wiadomość do Donegalu. Sądzę jednak, że Lough Swilly nie grozi niebezpieczeństwo, gdyż leży daleko od Dublina. Wyjdziemy w morze z wieczornym odpływem. Mam nadzieję ujrzeć wkrótce *Spitfire'a* wyruszającego z zatoki. Pańska załoga jest teraz lepsza, niż była, co nie znaczy, że jest już doskonała.

Żadne dalsze informacje nie nadeszły z Cork, ale w dalszym ciągu wszędzie krążyły plotki na temat spodziewanego lądowania

Francuzów. Jednakże aż do ostatniego tygodnia sierpnia nic się nie wydarzyło. W tym okresie organizowany był synod diecezjalny u biskupa z Kulali. Było to doroczne zebranie duchownych z jego parafii. Zjechało się ich około tuzina. Przybyli wszyscy 21 sierpnia. Niektórzy jeszcze tego samego wieczoru albo nazajutrz rano odbyli swoje pierwsze konklawe.

Ponieważ nie było kapelana - nie starczyło czasu, aby znaleźć następcę pana Ludlowa - biskup sam wypisał kopie porządku obrad, które zaczynały się od ogromnie ważnego tematu szkół kościelnych. Gdy już o wyznaczonej godzinie wszystko było przygotowane, biskup nagle otrzymał list od urzędnika celnego. Zawiadamiano w nim, że pokazało się kilka nie zidentyfikowanych okrętów wojennych. Zakładając, że były to z pewnością brytyjskie okręty patrolowe, a wśród nich być może nawet *Spitfire*, biskup wszedł do jadalni, gdzie miało się odbyć posiedzenie. Przywitał synod i otworzył obrady. Gdy odmówiono modlitwę, podał pierwszy temat do dyskusji i poprosił pana Carpentera, by szerzej przedstawił swoje poglądy na tę sprawę, którą pokrótce referował już w ubiegłym roku.

- Wasza Wielbność - zaczął pan Carpenter - wszyscy czujemy...

Głos pana Carpentera zagłuszony nagle został hukem dział. Rozległ się łoskot i wyleciały szyby z okien. Biskup chciał nacisnąć dzwonek, znajdujący się koło kominka, by zapytać służącą, co się dzieje, jednakże zanim to zrobił, drzwi otworzyły się z hałasem i wpadła przerażona pokojówka.

- Francuzi, Wasza Wielbność! Zabijają i mordują!

Od strony miasteczka dobiegał odgłos palby z muszkietów oraz wrzaski komend, tętent koni i krzyki kobiet. Kiedy pojawił się służący, biskup kazał mu zaryglować wejście, po czym oświadczył

odważnie;

180- Utrzymamy zamek, dopóki nie przybędą oddziały konnego pospolitego ruszenia.

- Oddziały pospolitego ruszenia oddały kilka strzałów, Wasza Wielbność, i odjechały galopem, zanim Francuzi zdążyli odpowiedzieć im ogniem. W zamku już są francuscy żołnierze!

Z holu dobiegły okrzyki przerażenia. Po paru sekundach wszedł francuski oficer ze szpadą w rękę i oświadczył, że wszyscy obecni są więźniami i muszą natychmiast stąd wyjść. Mówił zupełnie dobrze po angielsku. Sprowadził ich po schodach w dół, po czym zamknął w spiżarni. Panią Stock, jej dzieci oraz służbę zagnano tam nieco później. Powiedziano im, że generał Humbert, głównodowodzący inwazyjnej armii, rekwiruje zamek na swoją kwaterę główną.

Spiżarnia miała jedno małe okienko z widokiem na port. Wspinając się na zlew, mogli kolejno przez nie wyglądać. Pod wieczór ku swemu zdumieniu biskup zobaczył, że francuskie okręty wojenne pod żaglami opuszczają port. Później ktoś zastukał kijem w okienko. Okazało się, że był to stangret Tom, który akurat znajdował się w miasteczku, kiedy przybyli Francuzi.

- Czy Wasza Wielbność mógłby wyjść przez okno? - zapytał.

- Nie - odparł biskup. - Ale moi chłopcy mogliby. Czy stoi tam ktoś na warcie?

- Nie, z tej strony nie ma nikogo.

- Powiedz, jak wygląda sytuacja?

- No cóż, Wasza Wielbność, są tu francuscy żołnierze pod dowództwem generała Humberta.

Nie zachowują się tak źle, bo otrzymali rozkaz, żeby nie grabić,

- Muszę wysłać ostrzeżenie. Czy mógłbyś mi dostarczyć papier, pióro i atrament?

- Spróbuję, Wasza Wielbność.

- No to czekam, Tom,

Znalezienie przyborów do pisania na wsi zabrało stangretowi nieco czasu. Zdobył je włamując się już po zapadnięciu zmroku do szkoły, ale kiedy przybył z nimi do biskupa, okazało się z kolei, że nie było czym zapalić światła. Nastąpiło pełne napięcia oczekiwanie świtu. Biskup napisał aż trzy listy: jeden do Broad Haven, drugi do Sligo, a trzeci do Newport. Dwaj jego synowie byli jeszcze takiego wzrostu, że mogli wydostać się na zewnątrz przez okno spiżarni. W chłodnym świetle brzasku ruszyli wraz z Tomem otwartą alejką. Wszystkie trzy listy zostały wysłane, zanim generał Humbert znalazł lepsze i bardziej pewne pomieszczenie dla swoich więźniów. Więcej listów nie udało się przemycić. Dwa z wysłanych najprawdopodobniej nie zostały doręczone. Jedyny list, który doszedł, przekazany został osobiście przez Toma. Udało mu się dotrzeć do Broad Haven na pożyczonym koniu. W trzy godziny później kapitan Kerr otrzymał ten list na pokładzie *Vulture'a*, znajdującego się trzydzieści mil na zachód.

List z Kulali, datowany 23 sierpnia, donosił, co następuje:

„Głównodowodzący Okrętami Jego Królewskiej Mości

Broad Haven

Szanowny panie,

z wielkim żalem informuję pana ó francuskim desancie w Killali. Wczoraj cztery fregaty rzuciły kotwice przy Kilcummin Head i wysadziły na ląd tysiąc żołnierzy pod dowództwem generała Humberta. Posiadają cztery działa i broń dla otumanionych irlandzkich rebeliantów, którzy mogą się nabrać na zieloną flagę, jaką wywieszono nad kwaterą główną, mieszczącą się w moim domu. Sądzę, że następnym zadaniem Francuzów będzie zajęcie Balliny. Fregaty wczoraj popłynęły w drogę powrotną. Powiadają, że do Francji.

Według tego, co mówi ich komendant Savary, należy się spodziewać nowych okrętów z większą siłą wojska. Będąc więźniem, bardzo mi trudno znaleźć sposób wysłania tego listu, ale pokładam zaufanie w swoim służącym, który ma nadzieję zdobyć konia w Ballycastle, jako że wszystkie moje konie zostały zabrane przez Francuzów.

Mam zaszczyt być pańskim uniżonym sługą

Biskup Killali”

Biskup miał całkowitą słuszość, że wojska były w drodze, gdyż ekspedycja generała Bomparda rzeczywiście zbierała się w Breście, a Savary miał wyruszyć do Rochefort, by zaokrętować drugi rzut wojska. Biskup nie powiadomił, bo nie mógł o tym wiedzieć, że Savary odpłynął z jeszcze jednym okrętem. Był to *Hercule* z siedemdziesięcioma czterema działami, dowodzony przez kapitana L'Héritier. Jego rejs został opóźniony przez stratę fokstengi. Zbliżał się do zatoki Killali w nocy z 22 na 23 i w ciemności zgubił Savary'ego. W rezultacie o świcie znalazł się w zasięgu łądu opodal Mayo.

Ostrzeżony listem doktora Stocka, kapitan Kerr wypłynął natychmiast z Broad Haven, zdążając do zatoki Killali. Rezultat był taki, że *Vulture* i *Spitfire* znalazły się na tym samym kursie co *Hercule*, ale o około dwunastu mil za nim. Kiedy Kerr spostrzegł *Hercule'a*, wchodził on właśnie do zatoki Killali, oczekując bez wątpienia, że przyłączy się do eskadry generała Savary'ego. Zatoka jednakże była pusta, a zielona flaga nad zamkiem stanowiła jedyny ślad tego, co się wydarzyło. Savary wysadził swoje wojska po zachodniej stronie zatoki, ale L'Héritier rzucił kotwicę koło Inishcrone, mając zamiar wysadzić swoje wojska (w sumie około trzystu ludzi) w tym właśnie punkcie.

Kiedy się do tego przygotowywał, otrzymał list od pułkownika Charosta, z którego dowiedział się, że piechota generała Humberto maszeruje do Balliny.

Oddział wojska na pokładzie *Hercule'a* dowodzony był przez pułkownika Michauda, który zdawał sobie sprawę, że równie dobrze może dotrzeć do Balliny z Inishcrone. Jego ludzie zostali wysadzeni na brzeg przed południem. Ale wyładowanie dodatkowego uzbrojenia i ekwipunku dla irlandzkich rebeliantów zajęło kilka godzin. Trochę też czasu zeszło na zamontowanie dział na dolnym pokładzie *Hercule'a*, jako że niektóre z nich zostały umieszczone w ładowni, żeby zrobić miejsce dla żołnierzy.

Wczesnym wieczorem *Hercule* był wreszcie gotów do odpłynięcia. Wciągnięto łodzie na pokład, zakończono przygotowania do wyruszenia. Dopiero wtedy kapitan L'Héritier zrobił bardzo ważne odkrycie.

Około ośmiu mil dalej, naprzeciwko cypla Kilcummin Head, kapitan Kerr obserwował przez swoją lunetę francuski okręt liniowy. Wiedział, że inne francuskie okręty wyruszyły w drogę powrotną po wysadzeniu na brzeg wojska, mógł więc łatwo wywnioskować, że ten spóźniony okręt zacznie je gonić. Nie mógł nic zrobić, żeby temu przeciwdziałać, ale popełniłby błąd, gdyby opuścił swoje stanowisko, zanim będzie mógł przesłać meldunek z ustaleniem kierunku, w którym francuski siedemdziesięcioczerodziałowy okręt odpłynie. Wtedy *Spitfire* popłynie z tą wiadomością do Cork, podczas gdy *Vulture* podąży za nieprzyjacielem. Dał sygnał na *Spitfire*, żeby kapitan Delancey natychmiast przybył.

Był piękny, letni wieczór, niebo skrzyło się błękitem. Zamierała północno-zachodnia bryza, a na wybrzeżu panował spokój. Do bitwy musiało prawdopodobnie dojść koło Balliny, ale w Killali pod zieloną flagą panowała cisza. Irlandia mogła być w stanie rewolty, katolickie chłopstwo mogło się masowo przyłączyć do generała Humberta, ale tego nie można było zobaczyć ani usłyszeć w Killali.

Wokół francuskiego okrętu wojennego kręciło się kilka łodzi i Kerr domyślił się, że właśnie przywożono wodę z brzegu. Mając żołnierzy na pokładzie, okręt musiał zużyć jej bardzo dużo w czasie rejsu z Francji. Kerr pomyślał w duchu, że zrobiliby o wiele lepiej, gdyby odpłynęli natychmiast, wykorzystując odpływ, i kto wie, czy nie ostatni podmuch wiatru. Jednakże okręt francuski nie widział prawdopodobnie żadnego niebezpieczeństwa, zwłaszcza że miał irlandzkiego pilota na pokładzie. Ów kapitan mógł sobie pozwolić na zlekceważenie dwóch rysujących się w dali żaglowców. Nie był to równy przeciwnik nawet dla fregaty.

Kapitan Kerr przywitał Delanceya jak zwykle z nutą wyższości w głosie:

- Zdaje pan sobie sprawę, kapitanie - zaczął - że Francuzi wylądowali w Irlandii i że prawdopodobnie posuwają się w stronę Castlebar. To jest zadanie dla lorda Lake. Fregaty, na których wylądowały pierwsze oddziały, są w drodze powrotnej do Francji, w każdym razie tak przypuszczam. Ale ten spóźniony okręt jest

jeszcze na kotwicy i bez wątpienia ruszy za tamtymi w ciągu najbliższych paru godzin, korzystając ze światła księżyca oraz rad jakiegoś miejscowego Irlandczyka. Popłynę za nim w nadziei, że uda mi się skontaktować z jakąś naszą fregatą, pan zaś uda się do Cork

z moim meldunkiem na temat tego, co się tu wydarzyło. Myślę, że należy odłożyć pańskie odpłynięcie do czasu, aż ten ostatni francuski okręt opuści zatokę.

- Pański meldunek wypadłby lepiej, gdyby kończył się opisem, w jaki sposób ten ostatni okręt, stojący na kotwicy, został zniszczony.

- Czy pan oszalał? Czy panu się zdaje, że ja sam nie rozważyłem wszystkich możliwości ataku? Czy pan kiedykolwiek słyszał o tym, by dwa ślupy zaatakowały okręt liniowy? Przyznaję, że patrzenie na obcy okręt na kotwicy w brytyjskim porcie może doprowadzić do wściekłości, ale nic nie możemy na to poradzić. Nie ma wątpiwości,

że możemy tylko poinformować o tym naszych dowódców. Możemy próbować nie tracić go z oczu, jednak byłoby istnym samobójstwem go atakować. Niech pan sam przyzna, Delancey, że pan to rozumie.

- Rozumiem, ale widzę też inne możliwości. Ten francuski okręt nie stoi na kotwicy. On siedzi na mieliźnie.

- Skąd pan to wie?

- Mam przecież pilota na pokładzie. Młody Dawid Stock zna każdy cal wybrzeża. Otóż on powiada, że okręt ten będzie tkwił na mieliźnie przez najbliższe cztery godziny. Właściwie niczym mu to nie grozi. Nie ma tu skał i morze jest spokojne. Niemniej nie postawi żagli przed dziewiątą. W tym stanie rzeczy stanowi nieruchomy cel.

- Pan ma na myśli... Poważnie?

- Tak. Atak brandera.

- Ależ żaden brander nie był używany, jak tylko sięga pamięć kogokolwiek z żyjących.

- Wiem o tym. Jednakże *Spitfire* został zbudowany z myślą o takim właśnie specjalnym zadaniu. Taka okazja może się zdarzyć tylko raz w życiu.

- A co będzie, jak pan nie trafi? Będę musiał poświęcić *Spitfire'a* nic przez to nie zyskując?

- A co będzie, jeśli pan pozwoli Francuzowi uciec? Powiedzą, że miał pan sposobność zniszczyć okręt nieprzyjacielski, ale wolał pan wstrzymać się od działania.

- Też racja. Właściwie każda decyzja jest cholernie ryzykowna. Łatwo panu mówić. Nie, nie to miałem na myśli. To byłoby piekielne zadanie. Ale odpowiedzialność za to muszę wziąć na siebie ja.

Jeżeli człowiek zrobi błąd, będą mu to wytykać przez całe lata. No więc co, u diabła, robić? Na co się zdecydować?

Delancey patrzył na Kerra z zainteresowaniem. Arystokratyczna poza gdzieś zniknęła. Przez jakiś czas chodził tam i z powrotem po

kajucie, gryząc paznokcie. Nagle zatrzymał się, jakby uderzyła go jakaś nowa myśl.

- Ale przecież nikt nie będzie wiedział, że ten przeklęty okręt jest na mieliźnie! Chyba że ja sam złożę o tym meldunek.

- Fakt ten będzie już znany wszystkim w Inishcrone i w Kulali.

- Na Boga! To prawda!

- Niech pan posłucha. Czas płynie. Jeżeli mam zniszczyć ten okręt, zanim zejdzie z mielizny, to muszę zacząć działać już teraz. Jeśli to panu pomoże powziąć decyzję, to chciałbym powiedzieć jedno: jeżeli istnieje jakaś szansa, to lepiej zrobić cokolwiek niż nic.

- Chyba ma pan rację. A więc dobrze. Niech tak będzie. Atakujemy. Ale co ma zrobić *Vulture*”!

- Iść za nami, a potem wykończyć nieprzyjaciela ogniem z dział.

- Czy mam wziąć na pokład wasze łodzie po przeprowadzeniu ataku?

- Dziękuję panu. Sądzę, że pójdziemy prosto na nieprzyjaciela i będziemy próbowali wydostać się na ląd. Może byłby pan tak uprzejmy, żeby nas potem stamtąd zabrać. Przydałoby mi się także jedna dodatkowa łódź.

- Dobrze. Teraz zechce pan wyznaczyć dokładny czas.

- Tak jest. Będę próbował uderzyć w cel o dziewiątej, gdyż mam nadzieję, że będzie już wtedy dostatecznie ciemno. Wcześniej nie mogę, bo będę widoczny, ale też nie później, bo mogą już być gotowi do zejścia z mielizny. Jeśli pan się zgodzi, proponuję, żeby mój okręt przepłynął obok cypla Lenadoon Point tak, jak byśmy mieli zamiar udać się do Sligo. Potem zrobię zwrot i okrążę znowu cypel

o siódmej trzydzięci. Zostanie mi wtedy sześć mil łatwej żeglugi z prądem przyływu. Będę się trzymał blisko lądu, by zlewać się z tłem. Mam nadzieję, że w ten sposób mnie nie zauważą.

- A *Vulture*?

- Byłoby dobrze, gdyby pokazał się pan koło Ross Point i zwrócił na siebie uwagę nieprzyjaciela rakietami i salwą dział. Jeżeli ich obserwator będzie zajęty panem, to jest bardziej prawdopodobne, że nas nie zauważy.

- Doskonale. Wykonam upozorowany atak na Killalę i mam nadzieję, że uda mi się ściągnąć na siebie ich ogień. Wygląda na to, że oni już ustawili trochę dział na lądzie.

- Dziękuję panu. A więc jeśli pan będzie łaskaw, o ósmej. A jeszcze więcej hałasu przydałoby się za kwadrans dziewiąta. Im więcej huk, tym lepiej. Może nastawimy nasze zegarki?

- Tak. Za dziesięć minut szósta.

- Dziękuję panu. Jeszcze jedno. Czy mogę zostawić u pana Dawida Stocka?

- Nie sądzę, żebym go mógł potrzebować.

- Ale chodzi o to, że on jest po prostu pasażerem. Zabrałem go na pokład bez zgody jego ojca. Nie czuję się upoważniony, by ryzykować jego życie.

- Ach tak, rozumiem teraz. Rzeczywiście, lepiej będzie, jeżeli zostanie ze mną. Będzie bezpieczniejszy, a panu, panie Delancey, życzę powodzenia.

Uścisnęli sobie na pożegnanie ręce i Delancey poczuł przyływ przyjaźni do Kerra. Zdał sobie teraz sprawę, że ten młody człowiek był tak antypatyczny tylko przez swój sposób zachowania się, a

nie to, jaki był naprawdę. Delancey wydał rozkaz załodze swojej, by odwiozła go z powrotem na *Spitfire'a*. Było wiele do zrobienia, a czasu zostało bardzo niewiele. Gdy tylko bosman powitał go gwizdkiem na pokładzie, Delancey kazał, by Partridge zarządził alarm

dla całej załogi. W ciągu kilku minut bosman złożył meldunek Partridge'owi, że wszyscy są obecni, z kolei Partridge powtórzył ten raport kapitanowi. Stojąc przy uskoku pokładu rufowego, Delancey spoglądał krytycznie na swoich ludzi. Wyglądali lepiej niż wtedy, gdy ujrzał ich po raz pierwszy. Teraz miał ich poprowadzić na niebezpieczną akcję. Stali przed nim ludzie, których życie, być może, będzie musiał poświęcić. Jedyne, co mu pozostało do zrobienia, to wyjaśnić im, dlaczego ich ofiara... i ofiara złożona z samego okrętu... były usprawiedliwione.

- Wiecie już wszyscy, że francuskie wojska wylądowały w Killali. Ich fregaty powróciły do Francji po dalsze oddziały. Ale jeden siedemdziesięcioczerodziałowy okręt zawinął tu, gdy już wszystkie inne odpłynęły. I wysadził na ląd wojsko, które przywiózł na swoim pokładzie. Otóż okręt ten osiadł na mieliźnie i nie odpłynie, z czego ich kapitan pewnie zdaje sobie sprawę, do dziewiętej godziny dziś wieczór. Ale jest coś, czego ich kapitan nie wie, a o czym my wiemy: a mianowicie, że okręt ten w ogóle już nigdzie stąd nie odpłynie. My, którzy służyliśmy królowi, nie lubimy patrzeć na nieprzyjacielskie okręty, stojące w naszych brytyjskich portach, chyba że są to okręty przez nas zdobyte. Jeszcze bardziej nam nie odpowiada, gdy jakiś nieprzyjacielski okręt opuszcza brytyjski port cało i zdrowo. Moim zamiarem jest zniszczyć ten francuski okręt. Wszyscy wiecie, że *Vulture* i *Spitfire* nie mogą się mierzyć z okrętem o siedemdziesięciu czterech działach. Ale nasz okręt jest branderem, dlatego znajdujemy się w rzadko spotykanej sytuacji, w której brander może być wykorzystany. Przed nami jest nieruchomy cel o dużym znaczeniu. Chcę, żebyście się mu dobrze przypatrzeli. Zobaczcie, że siedzi na mieliźnie po wschodniej stronie zatoki Killali, Jego dziób

zwrócony jest na południe, prawoburtowe działa są wymierzone w Ross Point, zaś lewoburtowe w kierunku bliskiego brzegu. Z naszego punktu widzenia ta pozycja ma jedną stronę dobrą i jedną złą. Plusem dla nas jest to, że możemy zaatakować z północy, nie dostając się pod ostrzał z głównych dział, minusem zaś to, że jego rufa stanowi tylko niewielki cel, co zmusi nas do sterowania naszym okrętem aż do ostatniej chwili. Warunki atmosferyczne są niezłe, choć wiatr jest raczej słabszy, niżbym sobie życzył. Mając tak blisko brzeg, nie spodziewam się zbyt dużych strat, co więcej, możemy mieć nadzieję, że sami ze swoimi rzeczami wylądujemy na plaży w przeświadczeniu, że dobrze spełniliśmy swój obowiązek, i mamy widoki na otrzymanie nagrody pieniężnej za zniszczenie siedemdziesięcioczerodziałowego nieprzyjacielskiego okrętu. Suma ta, podzielona między wszystkich, nie będzie taka duża, jak mogłaby być, gdybyśmy ten okręt zdobyli, trzeba jednak wziąć pod uwagę, że do podziału tego, co możemy otrzymać, jest nas tylko pięćdziesięciu. Przed wszystkim planuję odpłynąć stąd zaraz, omijając Lenadoon Point - ten przylądek, który tam widzicie. Wtedy stracą nas z oczu. W ten sposób nieprzyjaciel będzie sądził, że zostaliśmy wysłani z jakimś meldunkiem. *Vulture* tymczasem zostanie w polu ich widzenia i przeprowadzi upozorowany atak na Killalę. Powinni oni ściągnąć na siebie uwagę i uniemożliwić Francuzom szukanie nas. Wtedy my wrócimy w zapadającym mroku i kiedy robi się całkiem ciemno, zaatakujemy. Życzę wam wszystkim powodzenia i szczęścia. A teraz wszyscy do żagli!

Kiedy się wymknęli z pola widzenia nieprzyjaciela, poczyniono ostatnie przygotowania. Posłano po cieślę, bosmana, działomistrza, żaglomistrza i intendenta. Delancey kazał ustawić osłonę przed

kołem sterowym, szkielec jej miał się składać z krat i drzewa, ale należało to wzmocnić czymś bardziej solidnym,

- Można wziąć z ładownic beczułki z mięsem i chlebem - rzucił. - A dopchnijcie zapasowym płótnem i hamakami.

Intendent był oburzony.

- Nie możemy w taki sposób marnować zapasów, sir. Przecież wystarczą na to beczki z wodą!

- Niech pan posłucha, panie Holt. Mam zamiar zniszczyć cały okręt razem z zapasami, niech się więc pan nie martwi o swoje rozliczenia. Właśnie beczek z wodą nie chcę mieć na okręcie. Mogłyby niechęć przyczynić się do ugaszenia ognia.

- Dobrze, sir. Przypuszczam, że pan wie najlepiej. Jednakże komuś, kto przez całe życie oszczędzał zapasy i obliczał wydatki, trudno jest pogodzić się z myślą, że to wszystko nagle ma być zniszczone. Bardzo trudno. No cóż, każę przynieść beczułki.

- Teraz, panie Shepherd - zwrócił się Delancey do działomistrza - chcę, żeby dwie karonady zostały zamontowane na dziobie za taką osłoną, ażeby można było strzelać ponad nią, mając pod ręką pełno gotowej amunicji. Panie Gillingham, niech pan sprawdzi wszystkie łodzie. Mają być gotowe do spuszczenia, wszystkie będą holowane za rufą, gdy tylko rozpoczniemy akcję.

Przez następną godzinę czy dwie trwały gorączkowe przygotowania. W tym samym czasie *Spitfire* okrążył, przyładek i zniknął z pola widzenia nieprzyjaciela. Teraz Delancey wydał rozkaz wykonania zwrotu. Robiło się coraz ciemniej, a północno-zachodnia bryza lekko przybrała na sile. Delancey złapał się na tym, że bezwiednie zastanawia się, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy światło dzienne. Popatrzył, być może, na swój ostatni zachód słońca, potem zwołał oficerów do swojej kabiny na ostatnią naradę. Chwilową

pieczę nad pokładem powierzył na ten czas intendentowi. Poza Partridge'em i dwoma podoficerami nawigacyjnymi - Ewinsem i Fairbrotherem - był tam jeszcze Shepherd - działomistrz, bosman Gillingham, cieśla Browning i wreszcie dwóch midszipmenów, Heyworth i Travers.

- No cóż, panowie, wszyscy słyszeliście, co powiedziałem załodze, i wszyscy widzieliście tego siedemdziesięcioczerodziałowego Francuza, siedzącego na mieliźnie. Wiecie, jakie mamy zadanie i o której godzinie ma ono być wykonane. Musimy zniszczyć ten okręt, zanim zdoła odplłynąć, a więc około dziewiątej wieczór. Możemy polegać na *Vulture*, możemy liczyć na jego współpracę w zniszczeniu nieprzyjaciela. Nie możemy natomiast polegać na miejscowej ludności i oczekiwać, że nam pomoże, kiedy wykonamy nasze zadanie i znajdziemy się na brzegu. Pamiętajcie, że Killala jest we francuskich rękach i że wielu jej mieszkańców stanie po stronie wroga. Przynajmniej w tej chwili. Po wylądowaniu musimy być przygotowani do walki. Pamiętajcie, że ten okręt był zbudowany i wyposażony w tym właśnie celu. W odpowiednim czasie rzucę *Spitfire'a* na wroga i wysadzę go w powietrze. Nasze podejście do nieprzyjacielskiego okrętu musi odbyć się w zupełnej ciszy. Powinniśmy zbliżyć się do niego, zanim zostaniemy dostrzeżeni. Kiedy nas odkryją, Francuz otworzy ogień z dział na rufie, a wtedy my także odpowiemy ogniem. Jednakże ogień zostanie przerwany za kwadrans dziewiąta. Załoga naszego okrętu zostanie podzielona na pięć łodzi kolejno, na mój rozkaz, będzie opuszczać okręt. Jako pierwsza odplynie ta łódź, którą pożyczaliśmy z *Vulture*. Panowie Ewins i Browning zabiorą ze sobą sześciu uzbrojonych ludzi i załadują zapasową broń, amunicję, proch, koce i rzeczy osobiste. Należy wylądować łodzią w najbliższym punkcie i wystawić przy niej straż.

Drugą łodzią będą dowodzili panowie Partridge i Travers. Zabiorą ze sobą szesnastu ludzi w pełnym uzbrojeniu. Pańskim zadaniem, Partridge, będzie zająć pozycje na południowej stronie Inishcrone tak, by zapobiec jakiegokolwiek interwencji Francuzów lub Irlandczyków z tej strony.

Trzecia łódź zostanie spuszczone na wodę z panami Fairbrotherem i Gillingshamem. Wezmą oni ze sobą dwunastu w pełni uzbrojonych ludzi. Zadaniem ich będzie zebranie pozostałych przy życiu Francuzów, jeżeli pojawią się na brzegu. Czwarta łódź to pięciowiosłowa szalupa z dziesięcioma uzbrojonymi ludźmi, pod komendą panów Shepherd i Heywortha, którzy zajmą pozycje na północnej stronie miasteczka. Ja sam wezmę gig. Panie Partridge, proszę przydzielić ludzi do poszczególnych łodzi. Panie Ewins, proszę sprawdzić zapasy na łodziach. Panie Fairbrother, proszę dopilnować, by działa na dziobie i ich obsługa były gotowe do akcji. Panie Shepherd, niech pan rozda broń. Panów Gillingshama i Browninga poproszę, aby udali się ze mną.

Kiedy *Spitfire* zbliżał się do Lenadon Point, Delancey rozkazał bosmanowi i cieśli, aby zamontowali haki abordażowe, poluzowali maszty i przygotowali się do przecięcia nawietrznych want. Przygotowania były niemal zakończone, gdy *Spitfire* opłynął przylądek i wziął kurs w głąb zatoki, wzdłuż jej wschodniego brzegu.

Zaczynało się ściemniać, wiatr od morza był teraz idealny do przeprowadzenia zaplanowanego ataku. Tuż przed siódmą trzydzieści Delancey skrócił żagle, zwiijając marsie jako bardziej widoczne. Okręt szedł pod fokiem i bezanem, zaś majtek trzymający ołowiankę na łańcuchu otrzymał rozkaz, by nie meldować, zanim głębokość nie osiągnie pięciu sążni. Bardzo ważną rzeczą było trzymać się brzegu tak, aby kontury okrętu zwały się z przylądkiem, ale stałoby się fatalnie, gdyby osiedli na dnie i stracili przez to czas.

Było jeszcze na tyle widno, że mogli obserwować, jak *Vulture* zbliżał się do przylądka Ross. Stojąc za sterem, Delancey sprawdził, czy ma w kieszeni krzesiwo, hubkę i lont. W gigu był półnaładowany muszkiet, a poza tym miał dwa pistolety za pasem. Szybko zastanowił się, czy przypadkiem czegoś nie przeoczył, po czym odwrócił się i zobaczył, że obok stoi Partridge.

- Wszystko w porządku, sir. Mamy wielką szansę, że się nam powiedzie. Ale rufa okrętu to bardzo mały cel, sir. Może się to obrócić przeciwko nam.

- Nie ze mną przy sterze, panie Partridge! Zostanę tu do momentu, kiedy oba statki się zderzą

- Ale to oznacza pewną śmierć, sir!

- Nie. Umknę w łodzi.

- Która do tego czasu zatonie. Nie wolno tego robić. Proszę pozwolić, bym został z panem.

- Wydałem już rozkazy, panie Partridge, i oczekuję, by zostały wykonane. Nie życzę sobie, żeby rozbitkowie z francuskiego okrętu połączyli się z wojskami francuskimi z Killali. Pana zadaniem będzie zapobiec temu. A poza tym - jeśli mnie się nie powiedzie, pan powinien poprowadzić akcję zniszczenia nieprzyjaciela. Nie mam innego oficera pokładowego, nie możemy więc obaj jednocześnie znajdować się w takim miejscu, by można nas było ustrzelić jednym pociskiem. Dlatego weźmie pan drugą łódź. Chwileczkę, coś sobie przypomniałem. Chcę mieć w łodzi beczkę prochu. Niech pan wyda polecenie panu Sheperdowi, by się tym zajął. - Był to oczywiście tylko pretekst, żeby się pozbyć Partridge'a. Udało się.

Delancey popatrzył na zegarek. Było już prawie kwadrans po ósmej. *Spitfire* zbliżał się do cypla Lenadon, który wyłonił się właśnie po stronie zawietrznej. W tej chwili doleciał zgłuszony okrzyk z dziobu. To był głos marynarza sondującego głębokość przy pomocy

ołowianki. Drgnienie przebiegło przez cały kadłub statku. Ustało kołysanie. Zamarł plusk wody po obu burtach. Szok był tak wielki, że Delancey poczuł, jak serce przestało mu bić. Nagle ogarnęło go poczucie katastrofy i klęski, bo wiedział już, że zdarzyło się najgorsze. Nie było już miejsca ani na wątpliwości, ani na nadzieję. *Spitfire* siadł na dnie.

ROZDZIAŁ 10

Koniec *Spitfire'a*

Sukces zaplanowanego ataku zależał od synchronizacji w czasie. Wystarczyłoby piętnastominutowe opóźnienie, żeby położyć całe przedsięwzięcie. 74-działowy Francuz mógł w tym czasie oderwać się od dna, zrobić zwrot i skierować salwę całej swojej baterii na *Spitfire'a*, rozbijając go na kawałki, zanim ten zdążyłby się do niego zbliżyć. Dalszym skutkiem opóźnienia byłoby zmarnowanie całego efektu pozorowanego ataku *Vulture'a*. *Spitfire* znajdował się na ławicy piaskowej i można się było spodziewać, że oderwie się od dna, jak tylko zacznie się przyplływ. Nie istniało niebezpieczeństwo wyrzucenia go na brzeg. Jedynym niebezpieczeństwem było opóźnienie całego planu.

Delancey doszedł do wniosku, że dwie rzeczy przemawiały na jego korzyść. Po pierwsze z góry zostawił sobie dziesięć minut rezerwy na wypadek nieprzewidzianych okoliczności, po drugie - jego okręt był przecież przeznaczony na zniszczenie, wcale nie miał brać udziału w normalnej akcji bojowej. Przede wszystkim należało zwinąć żagle, zanim stenga pójdzie za burtę. Wydał więc odpowiedni rozkaz, a potem krzyknął:

- Wyrzucić wszystkie działa burtowe! Szybko! Ruszać się! Zwijajcie się tak, jak jeszcze nigdy w życiu!

Sam objął dowodzenie grupą, która zabrała się do ciężkich karonad, znajdujących się przy bezanmaszcie. Odrąbano przytrzymujące je liny, wysunięto je z ich kołysek, a potem wyrzucono przez furty burtowe.

- Lawety także - rzucił. - I amunicję!

Usłyszał plusk, kiedy działa wylatywały za burtę.

Poszły wszystkie z wyjątkiem tych, które były najbliżej dziobu, i dwóch dział na forkasztelu. W sumie zostało więc cztery.

- Opuścić łodzie! - zawołał. Były już do tego przygotowane, bo i tak wkrótce miały zostać spuszczone.

Co jeszcze można byłoby usunąć? Pomyślał o zapasach, ale zdał sobie sprawę, że nie ma na to czasu. Najłatwiejszy ładunek do pozbycia się to załoga.

- Wszyscy do łodzi, z wyjątkiem łodzi numer dwa! - rzucił rozkaz i nagle przyszedł mu do głowy genialny pomysł: - Panie Partridge, wyrzucić wszystkie kotwice i liny!

W innych okolicznościach wzięłyby łódź, żeby określić, jak głęboka jest woda przed nimi, ale teraz nie było na to czasu. Jeżeli piaszczyste dno, w jakie uderzyli, było czymś więcej niż izolowaną ławicą - to bitwa i tak była przegrana.

Wyrzucenie kotwicy przechyliło szalę. Delancey poczuł znowu, jak pokład pod jego nogami ożył. *Spitfire* zadygotał i zadrżał, a potem łagodnie ześlizgnął się do przodu na głębszą wodę. Koszmarne minuty grozy minęły, kiedy załoga z powrotem wdrapała się na pokład, zostawiając łodzie na wodzie. Stracono teraz trochę czasu przy żaglach. Kiedy okręt zaczął posuwać się do przodu, Delancey spojrział wreszcie na swój zegarek, obawiając się najgorszego. Stracili dwadzieścia minut, chociaż rezerwy mieli tylko dziesięć. Czy potrafi nadrobić ten stracony czas? Na jedną rzecz nie mógł się mimo wszystko zdobyć - na to, żeby jeszcze bliżej podejść do przylądka Lenadoon. Ale za to okręt był teraz lżejszy i być może nieco szybszy.

Od momentu kiedy utknęli na piaszczystym dnie, Delanceya

prześladowała świadomość, że stało się to wyłącznie z jego winy. Nie popełniono żadnego błędu nawigacyjnego, piasek widocznie został naniesiony już po zrobieniu mapy. Co do tego nie było wątpliwości. Błędem jednakże było pozbycie się pilota. Dawid Stock z pewnością by go ostrzegł przed tym przeklętym piachem. Mógł też powiedzieć mu, jak dalece można było przybliżyć się do Lenadon Point, a potem do Rathlee Head. Teraz Dawid był na pokładzie innego okrętu, *Vulture'a*, słupa, który miał łatwe zadanie odciążenia uwagi od nich. A dlaczego tak się stało? Ponieważ on, Delancey, chciał trzymać chłopaka z dala od niebezpieczeństwa. Oczywiście było dużo motywów na jego usprawiedliwienie - wiek chłopaka i jego cywilny status, niepokój biskupa, który miał dość własnych kłopotów, i ewentualna przyszłość chłopaka. Tym niemniej błąd został popełniony i niewiele brakowało, aby okazał się błędem decydującym o niepowodzeniu. Nadszedł czas, żeby zrobić zwrot na południe i wejść do zatoki, wydał więc konieczne rozkazy. Kiedy okręt był już na nowym kursie, nagle przybrał na sile wiatr, w stopniu być może wystarczającym do zarobienia pięciu minut czasu, jaki był przewidziany na zbliżenie się do celu. A więc w sumie okręt mógł być spóźniony o jakieś pięć minut. Pomimo całego zamieszania, spowodowanego znalezieniem się na mieliźnie, okręt zdawał się być w całkiem dobrym stanie, ciągnąc za rufą łodzie w ustalonym porządku. Przy sterze stał doświadczony marynarz Jim Mailing, a przy nim chłopiec do przekazywania poleceń, piętnastoletni spryciarz imieniem Ned Walker. Powoli *Spitfire* zbliżał się do trawersu przylądka Rathlee Head. Delancey popatrzył teraz na zegarek. Była za kwadrans dziewiąta. Na zachodzie przebijało jeszcze blaknące światło, ale ani śladu księżyca. Jak dotąd nie mógł zupełnie wypatrzeć okrętu, który był ich celem. Stał on niewidoczny

na tle brzegu. Nie było śladu *Vulture'a*. *Spitfire* jednak był na swoim miejscu, spóźniony zaledwie o kilka minut. Gdyby wiatr się utrzymał, można by liczyć, że uderzy w cel zgodnie z planem.

- Łódź numer jeden! Przygotować się do oddania holu! - To był pierwszy rozkaz Delanceya. Ned pośpieszył przekazać ten rozkaz panu Ewinsowi.

Pożyczona z *Vulture'a* łódź została podciągnięta do burty, zabrała część załogi i w ciągu trzech minut odbiła w morze. Zostały na nią załadowane rzeczy osobiste Delanceya i instrumenty wraz z papierami i dziennikiem okrętowym.

Było coś w tym procesie likwidacji, co nagle przyprawiło go o lęk. Nigdy nie uważał się za bohatera. Nigdy przedtem nie podejmował się na ochotnika jakiejś szczególnie niebezpiecznej misji. Co go, u licha, nagle napadło, żeby zrobić coś takiego teraz? Dlaczego zaplanował całą tę operację? Po co wziął na siebie rolę samobójcy? Kłopot polegał na tym, że rozważył, cały problem raczej abstrakcyjnie. Wiedział, jakie posunięcia powinien teraz zrobić, jak gdyby grał w szachy. Znał ruch po ruchu, mógł z góry przewidzieć, co powinno się stać dalej. Wiedział, że ktoś musi pozostać przy sterze. Wiedział także, że kapitan powinien być ostatnim człowiekiem, który opuści skazany na zagładę okręt. Ale dopiero teraz, sam jeden w ciemności, zdał sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji. Kapitan powinien pozostać aż do końca - ale to ON był tym kapitanem! Łatwo było planować. Teraz dopiero zrozumiał, że poświęcał samego siebie jako część tego planu, tak jak gracz w szachy poświęca pionka. Zadrżał z obawy, czy starczy mu odwagi, by wszystkiemu podołać. Dlaczego nie poszedł za radą Partridge'a? Ale odwrotu już nie było. Właśnie na tle ciemniejącego nieba ukazały się maszty Francuza z pajęczą siecią osprzętu.

- Kurs na cel! - zawołał do sternika.

Ciszę nocy przeszył nagle ogłuszający odgłos wystrzału z działa. Delancey przez moment bał się, że dostrzeżono *Spitfire'a*, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to wypalił *Vulture*. Musiała dochodzić

dziewiąta.

- Druga łódź do odpłynięcia! - zawołał. Chłopak pośpieszył powtórzyć to panu Partridge'owi. Na pokładzie zapanował ruch, spieszna krzątanina i znowu padła ledwie słyszalna komenda:

- Odbijać!

Delancey poczuł się nieswojo, gdy uświadomił sobie, że może już nigdy więcej nie zobaczy Partridge'a. Przecież nawet się nie pożegnali. Odprawienie przez niego łodzi było jak gdyby przygotowaniem się na śmierć, zrobieniem testamentu, przekazaniem ostatniej woli, rozporządzeniem tym, co się posiadało, wyrażeniem ostatniego życzenia. Ale czyż mógł teraz zmienić plan?

W tym momencie *Vulture* wystrzelił raketę. Unosiła się w górę bardzo wolno, a potem wybuchła oświetlając na mgnienie miasteczko Killala. Nastąpił grzmot burtowej salwy słupa, odbiła się ona echem w zatoce. Widząc teraz swój cel, ogniomistrze wzięli go na muszkę. Ale do czego właściwie mieli celować? Do skał na wybrzeżu? Francuzi podobno zamontowali tam jakieś działa. To one były ich celem. Delancey miał nadzieję, że przynajmniej domy zostaną oszczędzone. Wkrótce potem ujrzał znowu błysk ognia z dział *Vulture'a*, a w kilka sekund później usłyszał huk. Słup musiał się znajdować w odległości jakichś pięciu mil; był poza zasięgiem francuskiego okrętu, ale w pełnej widoczności. Czynił wszystko, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Czy francuski kapitan nie będzie na tyle sprytny, żeby dojść do wniosku, że jest to operacja pozorowana i że powinien obserwować, co się dzieje z zupełnie innej strony?

Jeszcze jedna rakietą oświetliła horyzont wokół Ross Point i Delancey popatrzawszy w tym świetle na tarczę zegarka zawołał:

- Trzecia łódź do odprawy!

Młody Ned znowu pośpieszył przekazać rozkaz. Przez minutę lub dwie panował gorączkowy ruch, po czym Delancey miał już pewność, że odpłynął Fairbrother. Powinno było jeszcze zostać dziesięciu ludzi z Shepherdem i Heyworthem, głównie z obsługi dział na dziobie. Francuski okręt był teraz doskonale widoczny. Stał w odległości jakiejś mili. Wydawało się prawie niemożliwe, żeby jeszcze dotąd nie dostrzeżono *Spitfire'a*. Lada moment powinien był ukazać się księżyc. Na razie przesłaniały go chmury. Warunki do ataku brandera wydawały się wprost idealne. Sytuacja zmieniła się gwałtownie w momencie, gdy wystrzeliła rakietą z francuskiego okrętu. Przeleciała w kierunku północno-wschodnim i prawie rozpadła się nad ich głowami, ukazując bezlitośnie *Spitfire'a* ze wszystkimi żalonymi szczegółami. Być może Francuzi nie rozpoznali, że to brander, ale zobaczyli dostatecznie dużo. Otworzyli na intruza ogień z dwóch dział.

- Ognia! - krzyknął Delancey do Shepherd'a.

Pierwsze francuskie salwy poszły w bok i w górę, ale celność ich poprawiła się, kiedy zmniejszył się dystans. Delancey usłyszał gdzieś na przodzie trzask. Wiedział już, że został trafiony forkasztem i że uległ uszkodzeniu bukszpryt. Jeszcze jeden pocisk upadł na śródokręcie i rąbnął w osłonę, która ochraniała koło sterowe *Spitfire'a*.

Odpowiedziały działa z dziobu *Spitfire'a*, bijąc w rufę Francuza, ale jedno z nich zostało z miejsca uciszone. Delancey usłyszał tylko trzask i łomot, kiedy działo to przewróciło się. Potem rozległ się krzyk jakiegoś rannego człowieka i jęki innego, który został przygnieciony działem.

Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że być może będzie musiał podpalić okręt z rannymi na pokładzie. Nie przewidział takiej możliwości i teraz na myśl o tym poczuł skurecz w gardle. Musiał jednak kontynuować obstrzał aż do ostatniej chwili. Teraz ogień francuski był bardziej intensywny. Widocznie wytoczyli na rufę więcej dział. Być może strzelano przez okna z kabin rufowych.

Następna kula trafiła w barykadę, poważnie ją uszkadzając. W ciągu tych kilku minut, jakie jeszcze pozostały, najdłuższych minut w życiu Delanceya, trzymał się on z determinacją kursu, podczas gdy pociski z francuskich dział siekły okręt. Jego jedyne działo wprawdzie odpowiadało ogniem, ale nie wiedzieli nawet, z jakim skutkiem. Lada moment ster mógł ulec zniszczeniu...

Nowe serie potężnych uderzeń trafiły w to, co jeszcze zostało z barykady. Delancey zdał sobie sprawę, że znalazł się już pod obstrzałem muszkietów. Zostało mu jeszcze tylko pięć minut. Przejął ster od marynarza stojącego przy kole i wysłał go z rozkazami, by jedyne pozostałe działo zaprzestało ognia i by ludzie przebiegli na rufę. Chłopak, który był jego gońcem, zgodnie z wcześniejszą instrukcją już rozlewał pośpiesznie naftę wzdłuż pokładu po zawietrznej i rozsypywał proch po śródkręciu, pozostawiając smugi prowadzące do wypełnionych nim worków przymocowanych do masztów.

Pokład był teraz pod jeszcze mocniejszym obstrzałem z lekkiej broni. Heyworth został zabity w momencie, gdy spieszył na rufę. Został też ranny Shepherd, ale dotarł jakoś do steru z trzema swymi ludźmi. Sternik był do tej pory cały i zdrowy. Delancey kazał mu przeciąć trzymające jeszcze wanty po nawietrznej. Został mu już tylko grotmaszt, kiedy i jego ugodził pocisk. Upadł na pokład. Siekiera wyśliznęła się z jego ręki, przeleciała przez pokład, by w końcu

z łomotem utknąć w szpigacie na zawietrznej.

- Czwarta łódź! Odbijać!

Widział, jak po chwili Shepherd wraz z dwoma ludźmi i chłopakiem zniknęli za burtą. Nie licząc rannych (niech Bóg ma ich w swojej opiece), Delancey był zostawiony samemu sobie.

Spitfire zbliżał się do okrętu francuskiego od strony morza ostrzeliwany przez jego działa z rufy i obsypywany kulami z muszkietów. Lada moment w okręt mógł trafić pocisk, który spowodowałby wybuch jego prochowni, a wtedy oba okręty rozpadłyby się na drobne kawałki. Jednakże na szczęście francuskie działa umieszczone na rufie strzelały za wysoko, by unieruchomić swego przeciwnika. Zarówno fok, jak i bezan zostały poszarpane w strzępy, ale zostało jeszcze tyle płótna, by okręt mógł posuwać się do przodu. W momencie, kiedy stenga bukszprytu prawie dosięgła rufy Francuza, Delancey szybko obrócił ster tak, żeby skierować dziób w lewo. Rozległ się ogłuszający trzask i dziobnica *Spitfire'a* rąbnęła we Francuza tuż koło want bezana.

Wstrząs zbił Delanceya z nóg. Stracił oddech; czuł, że jest potłuczony. Gdy przyszedł do siebie, chwycił lont, który przedtem umieścił w pobliżu koła sterowego nad kadzią z wodą, podpalił go i przyłożył do strużki prochu. Płomień przeleciał szybko przez pokład i nastąpiły eksplozje o stopę od każdego masztu. Przez pełną napięcia chwilę wyglądało, jakby wszystkie trzy miały się ostać, ale potem pomalutku grotmaszt poszedł za burtę, szepiając się z reją spankera francuskiego okrętu. Równie powoli także fokmaszt poszedł za przykładem pierwszego i runął na pokład rufowy Francuza. Zataczając się, półprzytomny, dusząc się dymem, kaszląc i krztusząc się, Delancey zdał sobie niejasno sprawę, że uderzył w cel.

Oba okręty były szczipione ze sobą, a jeden z nich stał w płomieniach. Ogień z muszkietów ustał. Nie było słyhać huku strzałów, tylko trzaski płomieni. Nadszedł moment, kiedy mógł wreszcie opuścić okręt. W tej chwili nie wiadomo skąd wyłoniła się przed nim jakaś postać i złapała go za ramię.

- Tędy, sir - usłyszał czyjś głos.

Poczuł, że ktoś popycha go w stronę głównego wejścia po stronie nawietrznej.

Mocna ręka pomogła mu zejść w dół po trapie, ktoś przejął go przy łodzi. Wgramolił się do

środką i usłyszał, że wiosła rozpaczliwie zazgrzytały w dulkach. Wreszcie odbili od *Spitfire'a*. Kiedy przyszedł do siebie i przetarł oczy, oślepienie jeszcze dymem, poznał tych, którzy go wyratowali. Był to młody Teesdale i Tanner, zastępca działomistrza. W tej chwili był zbyt wyczerpany, żeby się zastanawiać, skąd się oni tu wzięli. Po prostu z ulgą widział, jak gig oddala się od miejsca akcji.

Jednakże uczuciu ulgi towarzyszyła świadomość, że coś było nie tak, jak trzeba. Ile czasu upłynęło od momentu, kiedy opuścił okręt? Na pewno ponad pięć minut, może nawet około dziesięciu. Gdyby wszystko odbyło się zgodnie z planem, powinna była już nastąpić straszliwa eksplozja. Strzelanina ucichła i poza pluskiem ich własnych wiosel niewiele było słyhać. Zaklął cicho i obejrzał się na okręty, które zostały za nimi. Blask ognia wygasł, a nad pokładem *Spitfire'a* wyrosło pierzaste skrzydło pary. Z trudem udało mu się rozróżnić dalekie okrzyki komend, co świadczyło o tym, że groźna sytuacja została opanowana. Co do tego nie miał już teraz żadnych wątpliwości. Ogień został ugaszony.

- Uratowali się! - powiedział. Sam był zaskoczony brzmieniem swego głosu, który był dziwnie chrapliwy i słaby. Wiosła leżały

nieruchomo. Przez moment siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Trzeba wracać - odezwał się w końcu. - Do wiosel! Szybko zwrot w tył! - Marynarze usłuchali, ale Tanner spytał dlaczego.

- Ugasili ogień - wyjaśnił Delancey posepnie. - Ten cholerny Francuz znalazł się znowu na wodzie i może odpłynąć, jak tylko się wypłacze i odetnie od *Spitfire'a*. A teraz do wiosel. Obaj!

Robili za wiele hałasu, więc Delancey podarł swoją koszulę i kazał marynarzom owinać płótnem wiosła. Najgorszą sprawą w tej sytuacji było to, że francuski kapitan miał teraz prawo utrzymywać, że zdobył *Spitfire'a*. Można go było dowlec do jakiegoś francuskiego portu z brytyjskim godłem pod trójkolorową flagą. Taki miał być los pierwszego królewskiego okrętu, którego dowództwo mu powierzono... Pomimo iż był zmęczony, musiał zdobyć się na jasne przemyślenie sytuacji i na szybkość działania.

- Posłuchajcie, mamy beczkę prochu na dziobie łodzi, a ja mam lont, hubkę i krzesiwo. Mam zamiar przywiązać tę beczkę z zapalonym lontem do steru francuskiego okrętu. Francuzi będą zbyt zajęci zniszczeniami na własnym okręcie, żeby mogli zauważyć nasze zbliżenie się. Potem opłyniemy jego burty tak, żeby pozostała część okrętu znalazła się między nami a punktem eksplozji.

- Przepraszam, sir - odezwał się Tanner. - Czy ta jedna beczka potrafi wysadzić w powietrze oba okręty?

- Nie. Wystarczy, jeżeli utraci ster i spowoduje przeciek.

Nie mógł im przecież wyjaśnić, że istotną sprawą dla efektów eksplozji jest jak najmniejsza odległość, inaczej wybuch takiej beczki poszedłby głównie w powietrze. Lepiej byłoby, gdyby wybuch

nastąpił między dwoma okrętami, ale to byłoby zbyt ryzykowne! No tak, ale przecież plan, który realizują, jest też niebezpieczny. Próbował wyobrazić sobie, co się dzieje na pokładzie francuskiego okrętu. Pierwszą myślą kapitana było oczywiście ugasić pożar na *Spitfire*. Jego ludzie użyli fokmasztu jako pomostu, choć nie było to łatwe. Pewien był, że niektórzy z marynarzy biorących udział w tej akcji musieli się ociągać. Potrzebny był też łańcuch ludzi podający wiadra z wodą dla ugaszenia ognia. Inni próbowali zdusić go mokrymi płótnami żaglowymi. Trzeba też uprzątnąć wszystkie spustoszenia i odciągnąć zwalone maszty. Oprócz tego należało otaklować na nowo bezan i

wymienić reję spankera. Na pewno zostało im roboty co najmniej na pół godziny. Ryzyko, jakie musiał podjąć, polegało na tym, iż mógł ich zauważyć ktoś wyglądający poza rufę, na przykład w czasie wymiany drzewca bandery. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności księżyc ciągle jeszcze nie wzeszedł, a więc łódź będzie niewidoczna nawet z bardzo bliskiej odległości. Co więcej, odgłosy ich wiosel prawdopodobnie utoną w hałasie, jaki panował na pokładzie okrętu.

- Wciągając wiosła do łodzi! - powiedział Delancey. - I przesunąć beczkę na rufę!

Przez następne dwadzieścia minut, kiedy łódź zbliżała się do Francuza, Delancey manipulował przy otworze szpuntowym beczki, przymocowując do niego kawałek lontu, potrzebny na dziesięciominutowe opóźnienie. Potem podpalił jego drugi koniec, odciągnął kurek swego muszkietu, sprawdził pistolety i poluzował szpadę. Jeżeli nawet ich dostrzegą, to już wiedział, co ma zrobić w ostateczności. W miarę jak się zbliżali do nieprzyjacielskiego okrętu, hałas narastał. Rozróżniali już teraz odgłosy piłowania i walenia młotem, a także poszczególne okrzyki i tupot nóg. Górował nad tym wszystkim jeden głos. Delancey wyobraził sobie, że to kapitan francuski

tak pogania swoich ludzi, nie dając im ani momentu wytchnienia. Z pewnością czuł się jak szczur w pułapce, pocił się, klął i chciał już wyjść z tej przeklętej zatoki przed świtem. Inni Francuzi także coś mamrotali. Nie byli zdyscyplinowani, jak to rewolucjoniści. Wprost nieprawdopodobne było, by dostrzegli lub usłyszeli łódź Delanceya.

Pozostało do przebycia około stu jardów, gdy nagle Delancey zorientował się, że jego plan może skończyć się fiaskiem. Zobaczył prowizoryczną platformę zawieszoną za rufą francuskiego okrętu, a na niej jakiegoś marynarza, który zabijał dziurę po kuli z działa *Spitfire'a*. Dziura znajdowała się tuż nad obudową steru. Delancey wiedział doskonale, co okrętowy cieśla ma tam do zrobienia. Musiał wbić młotem drewniany czop o średnicy kuli (cieśle mają zazwyczaj gotowy komplet takich czopów), a potem przybić gwoździami na tym miejscu kwadratową łatę z ołowianej blachy. W normalnych warunkach nie było to takie trudne. Wystarczyło około dziesięciu minut.

Delancey znów musiał szybko podjąć decyzję. Mógł z małej odległości zastrzelić Francuza, ale nie obyłoby się przy tym bez hałasu. Można było poczekać, aż skończy on swoją robotę i odejdzie, albo też spróbować zabić go bez hałasu przy użyciu szpady. Spojrzawszy na niebo Delancey postanowił dłużej nie zwlekać. W chmurach zrobiła się dziura i wyglądało na to, że lada moment ukaże się księżyc. Cios szpadą mógłby się nie udać. Niełatwo było dosięgnąć cieślę tam, gdzie się znajdował. Ale oto przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Cieśla, jak Delancey zauważył, właśnie zajęty był ołowianą łatą. Delancey ustawił swoją łódź w pobliżu steru, prawie tuż pod platformą.

- Fini?! - zawołał. - *Descendez en bateau!*

Cóż naturalniejszego, jak wysłać łódkę, by okrążyła okręt i zbadała uszkodzenia? Delancey dziękował w tej chwili Bogu, że poznał

francuski w Guernsey. Młody cieśla nie okazał najmniejszego zdziwienia. Włożył do kieszeni swoje gwoździe, młotek wsunął za pasek do spodni i po linie zsunął się na dziób łodzi. Wszystko to odbyło się bez słowa. Nagle dostrzegł wymierzoną wprost w niego lufę pistoletu Delanceya.

- Milczeć! - to był jedyny rozkaz, jaki usłyszał.

Na znak Delanceya młody Teesdale związał Francuzowi ręce i nogi, po czym zakneblował go chustą. Teraz łódź została obrócona i stanęła rufą do steru okrętu, a Delancey przywiązał swoją beczkę do górnego czopu zawiasowego, tuż nad linią wody. Chwycił lont, podpalił spłonkę i obserwował, jak iskra rozpocznie swoją wędrówkę.

Wszystko to mógł zrobić sam, pod występem rufowej galerii. Jednakże oderwanie się od rufy nie

było takie łatwe. Delancey zobaczył z przerażeniem, że cała scena tonęła teraz w świetle księżyca, którego sierp ukazał się właśnie nad pasmem chmur. Nie było jednak żadnego wyboru, odepchnął więc łódź, nakazując swoim dwóm ludziom, by spokojnie zabrali się do wiosł. Ruszyli wolno wzdłuż lewej burty francuskiego okrętu i w końcu przycupnęli pod bukszprytem. Nie ulegało już wątpliwości, że ich zauważono, ale bez względu na to, czy zobaczył ich łódź kapitan czy bosman, musiał przypisywać jej obecność inicjatywie kogoś innego i być może wymyślał sobie w duchu, że sam nie wpadł na ten pomysł. Taka inspekcja była w końcu normalnym środkiem ostrożności. Ukryty pod bukszprytem Delancey zdał sobie w pewnej chwili sprawę, że patrzy na znajdującą się nad nim potężną rzeźbę Herkulesa z maczugą w ręce. Pomyślał, że wyglądałby on na jeszcze bardziej niezadowolonego, gdyby wiedział, co się święci.

Mijały minuty. Tanner i Teesdale poruszali wolno wiosłami, usiłując nie dopuścić, aby przytyw poniósł łódź w kierunku brzegu.

Chwile oczekiwania wydawały się trwać bez końca. Delancey przewidywał, że być może trzeba będzie obmyślić nowy plan. Przypuśćmy, że lont zgaśnie. Czy będzie miał tyle odwagi, by wrócić i podpalić go jeszcze raz? Czy nie za wiele żądałby od swoich ludzi? Coś jednak musiałby w takim wypadku zrobić, aby odciągnąć uwagę nieprzyjaciela, dopóki łódź nie odpłynęłaby na bezpieczną odległość. A co powinien zrobić teraz? Może strzelić w baryłkę z muszkietu?

Minęło następne dziesięć minut. Delancey nie miał wątpliwości. Jego plan zawiódł raz jeszcze. Spoglądając na drugą stronę zatoki, przypomniał sobie, co zaproponował Kerr. Uzgodniono, że pójdzie on za atakiem *Spitfire'a*. Czyżby zawiódł i uciekł? Nie. Nie powinien go o to posądzać. Atak się nie powiódł, wszystkie inne próby zniszczenia Francuza napotkały silną salwę z dział nieprzyjacielskich. To prawda, że połowa z jego siedemdziesięciu czterech dział, znajdująca się na prawej burcie, została zasłonięta przez *Spitfire'a*, ale reszta mogła strzelać, a ponadto Francuzi mogli obsadzić swoimi ludźmi prawoburtową baterię *Spitfire'a*. Nie, *Vulture* rzeczywiście niewiele mógł zdziałać...

W tym momencie rozległ się ogłuszający odgłos eksplozji. Łódź zadrżała jak gdyby ugodzona młotem kowalskim. Potem wybuchła wrzawa na pokładzie Francuza. Padały rozkazy, przekleństwa i okrzyki. Delancey pomyślał, że może jednak odniósł w końcu zwycięstwo...

- Ruszam na pokład *Spitfire'a* - Delancey był niemal zdziwiony usłyszawszy własny głos i wypowiedziane przez siebie słowa. W nim samym jednak nie było już żadnej wątpliwości, że powinien to właśnie zrobić. Kiedy łódź oderwała się od dziobu francuskiego okrętu, zauważył słup dymu unoszącego się z jego rufy. Domyślał się, że

rufowa galeria Francuza była już w ogniu, a być może kajuty oficerskie także. Ogień z całą pewnością mógłby być ugaszony, ale Francuzi przede wszystkim musieli skupić wysiłek na tym, żeby zapobiec jego rozszerzeniu się. Znowu doleciał go głos kapitana i mógł sobie wyobrazić całą scenę na pokładzie, łańcuch ludzi z wiadrami i ludzi z toporkami. Głównym ich problemem było prawdopodobnie ocalenie bezanmasztu czy też tego, co z niego zostało.

Nie było teraz większego ryzyka, że Francuzi go dostrzegą, gdyż byli całkowicie pochłonięci ratowaniem okrętu. Delancey zawrócił więc łódź i skierował ją ku dziobowej części prawej burty *Spitfire'a*. Nad głową rozległy się okrzyki komendy. Marynarze francuscy otrzymali rozkaz powrotu na własny okręt. Ciągłe jeszcze mogli używać fokmasztu *Spitfire'a* jako pomostu. Delancey usłyszał odgłosy ich kroków, gdy biegli w tym kierunku. Z nieco większej odległości dochodził go odgłos pomp i trzask płomieni. Prawdopodobnie w okolicy stewy rufowej Francuza powstał przeciek. A

poza tym była potrzebna woda do gaszenia pożaru. Może zalewali magazyn na rufie. Cokolwiek by to było, w tej chwili był im potrzebny każdy człowiek, jakiego posiadali.

- Poczekajcie tutaj - powiedział Delancey do załogi swojej łodzi i za pomocą zwisającej liny wciągnął się na pokład dziobowy *Spitfire'a*. Ogromnie ułatwiał mu zadanie fakt, że doskonale znał okręt, na pokład którego wszedł. Nie spodziewał się, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Wiedział dokładnie, gdzie się znajduje. Ruszył wprost do opuszczonego forkaasztla i zrobił stos z pościeli, płócien, wielokrążków i różnych rupieci, rozbił mały luk, żeby był lepszy przewiew, i podpalił to wszystko, a potem zatrzaskał drzwi i zabezpieczył je kawałkiem liny. Następnie pobiegł na rufę i zrobił to samo

w magazynie na dolnym pokładzie. Tym razem chciał mieć pewność, że upłynie dziesięć minut, zanim Francuzi zdadzą sobie sprawę z tego, co się dzieje. Bo ogień dotrze do prochowni dopiero za dziesięć minut. Tyle też czasu wystarczy Delanceyowi, żeby dopłynąć do brzegu w najbliższym położonym punkcie. Jeszcze raz spuścił się do łodzi po burcie okrętu.

- Do wiosła! Ciągnijcie co sił! Od tego zależy wasze życie!

Tanner i Teesdale nie potrzebowali popędzania. W łodzi były jeszcze dwa wiosła. Delancey wziął więc jedno, po czym rozwiązał jeńca francuskiego i wyjaśniwszy mu sytuację, dał mu to drugie, zapasowe.

- Ciągnij, jak wszyscy diabli, z całych sił, wypruwając z siebie flaki! Ciągnij tak, jak nigdy dotąd nie wiosłowałeś.

W końcu odpłynęli nieco, ale zniosło ich daleko, efekt ich wysiłku nie był więc zbyt wielki. Niemniej jednak zaczęli pracować z jeszcze większą zaciekłością.

- Nie zwalniać! - zawołał Delancey po piętnastu minutach. - Ciągnąć!

Sam czuł się tak, jakby mu za chwilę miały pęknąć płuca, jakby miał umrzeć z pragnienia. Pomyślał, że bliski jest śmierci z wyczerpania.

- Ciągnąć! - wyszeptał i wtedy nagle łódź uderzyła o grunt. Z plaży dobiegały jakieś krzyki. To był głos Fairbrothera.

- Poddać się, skurwysyny, bo będziemy strzelać! Wyłazić z łodzi z rękami do góry! Vous êtes prisoniers! Jetez vos armes! Levez les mains! Poddać się! O, przepraszam, sir! Nie poznałem pana. Mamy tu kilku więźniów pod strażą. Szkoda, że nie spaliliśmy tego Francuza, ale pan zrobił wszystko, co się tylko dało. Robota jak się patrzy. Założę się, że teraz nie ucieknie. W każdym razie nie po tej ostatniej eksplozji!

- Wnoszę poprawkę do tego zakładu - wyszeptał Delancey. - Po jeszcze jednej..

Od strony morza doszedł huk detonacji jakby odgłos Sądu Ostatecznego. Po chwili nastąpiła druga eksplozja, nieco tylko słabsza od pierwszej. W świetle księżyca wyraźnie było widać, jak oba okręty zostały odrzucone w różne strony. Przez kilka sekund scena była oświetlona jak gdyby przez piekielne płomienie. Maszty i reje rysowały się nieruchomo na tle nieba. Potem rozległ się głuchy, syczący świst. Wreszcie oba okręty znikły. Odgłos obu eksplozji przeszedł echem przez zatokę, w głąb lądu, aż po góry Ox, a potem zaległa cisza;

*

- Wie pan co? To będzie najbardziej niezwykła depesza, jaką kiedykolwiek wysłałem. Muszę opisać coś, co jest najpewniej ostatnim atakiem brandera w historii wojen. Właściwie skończył się on niepowodzeniem. Ale wtedy zniszczył pan nieprzyjaciela niemal własnymi rękami. Po prostu brak mi słów. Tak. Zwyczajnie jest mi wstyd.

- Nie ma pan powodu do wstydu, sir.

- A cóż ja mogę powiedzieć o swoim udziale w tej akcji? *Vulture* nie zrobił nic poza odciążeniem uwagi nieprzyjaciela.

- Pan pokierował atakiem, a ja po prostu przeprowadziłem go. Co więcej - pierwsze niepowodzenie spotkało nas z mojej winy, chociaż doprawdy dalej nie wiem, jak można było tę akcję przeprowadzić skuteczniej.

- Co pan ma na myśli?

- Gdy celem jest coś tak niewielkiego jak rufa pojedynczego okrętu, jedynym sposobem, by wykonać zadanie, może być pozostawienie człowieka przy sterze do czasu, aż nastąpi zderzenie obu okrętów. Inaczej nie moglibyśmy uderzyć w ten okręt. Ogromnie ważną sprawą było też utrzymanie załogi obsługującej działa na dziobie, by można było odpowiadać na ostrzał nieprzyjaciela ogniem. Bez tego nasze maszty i koło sterowe poszłyby w diabły. Ale nie mogłem podpalić mego okrętu ze wszystkimi tymi ludźmi na pokładzie, dlatego podłożyłem ogień za późno i nieprzyjaciel zdołał go ugasić. Kto wie, czy nie byłoby lepiej podpalić prowadzący do prochowni lont tak, aby wybuch nastąpił po trzydziestu minutach.

- Ale nieprzyjaciel na pewno by go znalazł. Gdyby okręt nie stanął w płomieniach, domyśliliby się, na czym polega sztuczka. Nie. Nic więcej nie można było zrobić.

- To prawda. Nie potrafię wymyślić żadnego innego planu. Wniosek, jaki z całej tej sprawy możemy wyciągnąć, jest taki, że brandery, jak sądzę, nie nadają się już do użytku, z wyjątkiem jakichś niezwyklej okoliczności. Tylko że odpowiedni cel nie staje na drodze dwa razy w życiu.

- Co do tego zgadzam się z pańską opinią, kapitanie, myślę jednak, że *Spitfire* usprawiedliwił swoje istnienie pod jednym względem. Przysłużył się do pańskiej nominacji.

- Czy mogę być tego pewien, sir?

- Całkowicie pewny; Jeżeli nie wystarczy sam fakt zniszczenia siedemdziesięcioczerodziałowego Francuza, to doprawdy nie wiem, czego więcej mogłaby sobie życzyć admiralicja.

- Może woleliby człowieka z lepszej rodziny, mającego więcej wpływowych krewniaków?

- Być może tak, ale niech pan posłucha, Delancey. Dam panu dobrą radę. Sam pochodzę, jak pan wie, ze szlacheckiego rodu. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, uważałam pana za przepychającego się łokciami mieszczucha, osobnika na swój sposób

inteligentnego, ale nie będącego ani prawdziwym marynarzem, ani kimś, kto ma jakąś klasę. Pomyliłem się. Pan okazał się prawdziwym demonem w walce i o wiele lepszym człowiekiem, niż mnie się to kiedykolwiek udało. Nie, niech mi pan nie przerywa. Stwierdzam to jako fakt. To nie pańska odwaga jest czymś wspaniałym, chociaż udowodnił ją pan ponad wszelką wątpliwość, ale pański brak zgody na klęskę. Pański pierwszy plan zniszczenia wroga był inteligentny i odważny, ale się nie powiódł. Dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na stu powiedziało sobie: „Zrobiłem wszystko, co tylko mogłem, a ten przeklęty okręt jeszcze tam sterczy. Zostawię go jakiemuś innemu cholernemu bohaterowi! Jedyne, co mi teraz potrzebne, to szklanka brandy i wygodna koja”. A pan wrócił z nowym planem - zgodnie z nim należało wysadzić w powietrze ster tego piekielnego okrętu. Co więcej, nawet to pana nie zadowoliło. Ster poszedł w diabły, ale pan nie czuł się szczęśliwy, dopóki nie rozwalił całego okrętu w kawałki. Właśnie ten upór stawia pana wyżej od wszystkich.

- Proszę jednakże pamiętać, że nasz sukces zawdzięczamy dwóm marynarzom, którzy w ogóle nie powinni tam się znaleźć. Powinni byli opuścić *Spitfère'a* w łodzi, ale samowolnie ukryli się i zostali

na pokładzie w jednym, jedynym celu: aby pomóc mi w ucieczce.

- Wiem, wiem. Już mi to pan powiedział. Ale dlaczego mieliby oni troszczyć się, czy pan ucieknie, czy nie? Doszli do przekonania, że pańskie życie jest więcej warte niż ich. Ten właśnie fakt świadczy o tym, że jest pan dobrym dowódcą. Tyle, jeżeli chodzi o pochwały. Poza tym chciałbym dać panu jedną dobrą radę. Znałem oficerów odważnych i zdolnych, którym brak było „pochodzenia” i czyjegós

zainteresowania, a którzy zasługiwali na awans i powodzenie. Niektórzy nabrali przekonania, że cały świat jest przeciw nim: „Nigdy mnie nie wybiorą do wykonywania jakiegoś poważnego zadania” albo: „Nigdy nie dostanę tytułu szlacheckiego. Wszystkie zaszczyty przepadają ludziom, którzy mają powiązania i stosunki”. Wiem, że tacy ludzie kierują gorzkie słowa pod adresem swoich przełożonych i ludzi z admirałskimi epoletami. Co więcej, niektórzy z nich nabrali gorszego akcentu i gorszych manier niż te, które cechują ich środowisko, jakby chcąc przez to udowodnić, że ich pochodzenie było główną przeszkodą do awansu. Ale ludzie tego pokroju są najgorszymi wrogami samych siebie. Starsi rangą oficerowie nie lubią być krytykowani. Zresztą dlaczego miałyby być inaczej. Mówiąc ciągle: „Ci wszyscy dobrze urodzeni oficerowie są przeciwko mnie” - taki nieokrzesany oficer może rzeczywiście do tego doprowadzić. Proszę to wziąć pod uwagę, jeżeli pan może. Niech pan bez skrpułów naśladowuje maniery cechujące ludzi światowych. Niech pan nigdy w salonie damy nie gra roli nieokrzesanego gbura. Niech mi pan uwierzy na słowo, pańskie prawdziwe walory nie zostaną nie zauważone. Jestem najzupełniej przekonany o pańskich dalszych sukcesach, nawet bez mojego polecenia czy też z rekomendacjami moimi albo kogoś innego. Niech pan zapamięta moje słowa i proszę mi wierzyć, że serdecznie panu życzę wszystkiego najlepszego!

Spis treści

Rozdział 1 - Sprzymierzeniec 5

Rozdział 2 - Bunt 20

Rozdział 3 - Sąd wojenny 45

Rozdział 4 - Burza 71

Rozdział 5 - Camperdown 96

Rozdział 6 - Pokłosie bitwy 113

Rozdział 7 - Brander 130

Rozdział 8 - Fabius 157

Rozdział 9 - Rewolta w Irlandii 176

Rozdział 10 - Koniec *Spitfire'a* 196